mai
05/125

ślizg

wiecej stron!!!

www.slizg.com.pl

PEJA
z liścia i kopa w dupę

BUSTA RHYMES
wariat z kosmosu

ELDO
człowiek, który chciał ukraść alfabet

Bubba Sparxxx
Pono
Fabolous
Tomek Szkiela
Ghostface Killah
Jibmasters

numer 05/125
maj 2006
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6.90 PLN
(w tym 7% VAT)



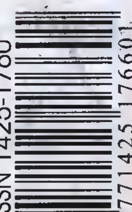
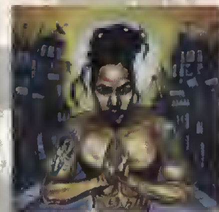




foto: FABJAN



W numerze 05/125

@listy

Elo Redakcjo! Nazywam sie Wojtek i piszę teksty (sam dla siebie) hip-hopowe od ok. 4 lat. Moim kolegom i rodzinie podobają się one. Lubią słuchać moich kawałków. Załączyłem do tego listu też tekst „Już za późno", jak chcecie, to możecie go opublikować. (...) Zwracam się do Was z taką prośbą, czy byście mogli mi jakoś pomóc. Chcę się gdzieś pokazać z tymi kawałkami. Chodzi mi o jakieś adresy, czy coś w tym stylu. Chciałem Was też prosić o komentarz mego tekstu. Gdybyście chcieli, to mógłbym Wam przesłać parę tekstów i byście mogli dawać je np. 1 tekst na 1 numer, jako nowość w Waszym piśmie.

Wojtek OBI

Hm, jakby tu odpisać, żeby nie urazić i nie zniechęcić, a jednocześnie pouczyć i delikatnie się wymigać? Tekstów drukować nie będziemy (prosił nas o to już 50 Cent i jemu też odmówiliśmy – nie publikujemy niczyich tekstów, bo to bez sensu). Nowości w piśmie jest zresztą wystarczająca dawka. Gdzie pokazać się z „kawałkami"? Najpierw można je dać do oceny pani od polskiego, potem wrzucić na forum hip-hop.pl, ale przede wszystkim umówmy się, że tekst rapowy w formie pisanej nie jest „kawałkiem" tylko... cholera wie czym. Co do prośby o komentarz do załączonego tekstu, to odmawiamy odpowiedzi i już. I apel taki na koniec: ludzie, myślcie trochę!

(...) Podobają mi się felietony Marcina CZYSTE SŁOWO – potrafi mi czasem tak wjechać na banię, że normalnie nieporozumienie (tylko często skróty myślowe wprowadzają chaos...). W sposób nietuzinkowy potrafi ująć problem, pokazać różne płaszczyzny tematu, być sentymentalny, ale nie pretensjonalny, zmuszając do zastanowienia, a jako krytyk/recenzent być w miarę obiektywny i prosto z mostu wytykać ewentualne braki. (...) Tak na zakończenie to cieszę się, że „nasz" magazyn trzyma poziom, że nie jest infantylnie głupio wyluzowany na siłę (...) Macie ciekawe pomysły odnośnie muzyki, która nie śmiga w każdym klubie, a jest bardziej „niszowa". Nadal chcę, abyście tak zaskakiwali.(...)

Karol K., Gdynia

Dzięki za długi list (większość z nas mniej napisała na maturze...) i za pochwały. Tylko że co następuje: my jesteśmy jak najbardziej wyluzowani na siłę, epatujemy naszym zgrzybiałym poczuciem humoru i dziwimy się, kiedy nikt nas nie rozumie. Co do zaskakiwania, to owszem, zaskakujemy – samych siebie, że udało się nam skończyć kolejny numer (o, to właśnie przykład wspomnianego humoru...). Zaś co do „Marcina CZYSTE SŁOWO" (Jak na to wpadłeś? Przezabawne!), to nie jesteś osamotniony – wjeżdża on na banię nam wszystkim w redakcji i też zmusza nas do zastanowienia się nad jego osobą.

Witam! Mam pytanie na temat Jeża Jerzego. Czy jest możliwe, żeby to nie były historie kilkuodcinkowe jak ostatnio, tylko jak kiedyś takie krótkie, na jeden numer? Kiedy jest wiele odcinków, ja zaczynam się gubić, a kiedy był jeden, było śmieszniejsze i łatwiej było czytać. (...) Tak w ogóle, to i tak jestem fanem Jerzego, więc i tak będę go czytał, ale może przemyślicie moją propozycję.

karol342

To, czy autorzy Jeża zdecydują się na krótkie historie, czy też na dłuższe opowieści, nie zależy w sumie od nas. Jest to ich suwerenna decyzja. W bieżącym numerze kończymy historię „Potwór z samego DNA piekła", a co będzie potem, to się zobaczy. Na razie jest to dla nas samych wielką tajemnicą i pewnie będziemy mieli taką samą niespodziankę, jak nasi czytelnicy. Ale nam w sumie z tym dobrze, więc narzekać nie będziemy.

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
konto: Bank Zachodni WBK S.A. 35 o/W-wa
14-1090-2851-0000-0001-0357-7914

Redaktor naczelny: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Sekretarz redakcji: Krzysztof Grabowski (grabiszczy@o2.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl)
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@gazeta.pl)
Foto okładka: Marcin Cecko
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Marek Oleksicki, CNE, Andrzej Cała, Sebastian Rerak, Kada, Paweł Gadaczek, Mateusz Orłowski, Tymek Kubik, Keb, Hadero, Med, Dill-O
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Sekretariat i promocja: Monika Jurczak (monika@slizg.com.pl)

Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:
Ślizg
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa
tel. 022 635 84 10 wew. 131
tel. 022 635 98 74 wew. 131
tel. 022 635 58 41 wew. 131
fax 022 635 62 85
e-mail: slizg@slizg.com.pl

„Nie chciałem się bić każdego dnia.
Nie chciałem handlować narkotykami.
Nie chciałem robić tego, co robił
każdy na dzielnicy. Chciałem być inny.
I właśnie to dała mi deskorolka.

—Stevie Williams

i am
what
i am

RbK

rbk.com.pl

„Aby być numerem jeden potrzebna
jest pełna determinacja,
aby nie być numerem dwa."

—Nelly

i am
what
i am

RbK

poznaj nas na
rbk.com.pl



NA START
Madame de...

Nie wiem, czy żałować, że nigdy nie byłem w Le Madame. Teraz już się nie przekonam, czy było warto, bo klub został zamknięty, a zdjęcia z jego rozpaczliwej obrony pojawiały się na pierwszych stronach gazet i w telewizyjnych serwisach informacyjnych. Szopka z komornikiem, płomiennymi przemowami obrońców, wystąpieniami znanych polityków, aktorów i dziennikarzy osiągnęła apogeum w momencie, gdy w Le Madame pojawił się John Malkovich popierając protestujących. Idę o zakład, że wielki aktor generalnie ma Le Madame w dupie, pewnie szybko zapomni o swojej w nim wizycie, ale news poszedł w Polskę. Poza Malkovichem za klubem murem stają znani politycy, dziennikarze, aktorzy...

Co sprawiło, że dziesiątki ludzi stanęły w obronie jednego likwidowanego klubu? Czyżby Le Madame był jedynym przybytkiem kultury alternatywnej w Polsce? Podniosły się krzyki, że to zamach na naszą wolność i że to początek wojny rządu z jego przeciwnikami, czy jakoś tak. Jednak przede wszystkim, nie chce mi się wierzyć, że likwidacja klubu oznacza automatyczne powiększenie sfery wpływu „moherów". Nie wierzę co prawda również Ministrowi Sprawiedliwości, który zapytany na antenie TVN24 przez Grzegorza Miecugowa o Le Madame powiedział, że sprawy nie zna, bo nie czyta gazet. Generalnie jednak wokół jednego klubu robi się więcej zamieszania, niż jest to warte. Tym bardziej, że wszystkie strony zaangażowane w konflikt mówią rzeczy sprzeczne – nawet w kluczowych kwestiach.

Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Takie jest zresztą oficjalne stanowisko władz Warszawy. Podobno poszło o nieuregulowane czynsze, które – według właścicieli Le Madame – nie zostały nigdy jasno określone. W to można uwierzyć, widząc powszechny bałagan, jaki od dawna panuje w Warszawie. Szybko jednak popularność zdobyła teoria, że tak naprawdę chodzi o kwestie moralne. Powszechnie wiadomo bowiem, że Le Madame był klubem – ujmując rzecz eufemistycznie – „gay friendly". Ale przecież w Warszawie działa przynajmniej kilka klubów stuprocentowo gejowskich i nikt ich jakoś nie zamyka na siłę. Powstają, czasem upadają, podobnie jak puby, kawiarnie czy restauracje. Więc chyba jednak nie o to chodzi. Już bardziej prawdopodobne wydaje się, że ktoś upatrzył sobie niezłą lokalizację i użył swoich wpływów, by pogonić Le Madame z Nowego Miasta i wkrótce zagarnie lokal na swoje potrzeby.

Obrońcom klubu chodzi przede wszystkim o aktywność kulturalną: w Le Madame odbywały się ambitne przedstawienia teatralne, czasem koncerty, pokazy filmów, dyskusje... Protest przeciwko likwidacji miejsca promującego niezależną kulturę jest oczywiście słuszny. Ale przecież zamknięcie jednego klubu – zwłaszcza w tak dużym mieście – nie oznacza od razu wojny władzy z całą kulturą niezależną. Ile takich przypadków mieliśmy w stolicy w ciągu kilku ostatnich lat? Z kulturalnej mapy Warszawy zniknęły Kinoteatr Tęcza, legendarny jazzowy klub Akwarium, parę kin studyjnych i wiele innych. Owszem, za każdym razem ktoś protestował (i dobrze), ale nie były to wydarzenia na miarę ogólnopolskich newsów. A ile klubów i kin zlikwidowano w całym kraju? Wkurza mnie cała ta medialna szopka wokół Le Madame. Fakt, że z likwidacji klubu (już niezależnie od tego, jakie były jej przyczyny) zrobiono narzędzie walki politycznej. Gdyby okazało się, że to początek jakiejś tendencji, że faktycznie konserwatywna władza zacznie zamykać ośrodki kultury alternatywnej, wtedy mielibyśmy problem. A tak, to zwyczajne bicie piany. Kultura niezależna nie upadnie bez Le Madame. I nie upadłaby, nawet gdyby władza starała się ją zniszczyć z całych sił.

Kuba

jimmy jazz news



W tegorocznej edycji **ANTI FEST**, największego corocznego festiwalu punkowego w Europie Środkowej, wystąpią dwie grupy związane z Jimmy Jazz Records, będące także jedynymi przedstawicielami polskiej sceny niezależnej w doborowym towarzystwie wielu gwiazd muzyki punk. The Analogs i Vespa pojawią się na scenie festiwalu w czeskich Svojsicach, któremu tym razem organizatorzy nadali formę czterodniowych prezentacji (3-6 sierpnia 2006). Tradycyjnie imprezę odwiedza wielu fanów z Polski, których zainteresują zapewne szczegóły organizacyjne imprezy. Można je znaleźć na stronie internetowej organizatorów: www.antifest.cz lub na stronie firmy Jimmy Jazz Records (www.jimmyjazz.pl), która od lat wspiera medialnie czeski festiwal.

Punkowa formacja **Anti Dread** w maju wejdzie do studia, aby nagrać swój trzeci album. Nowa płyta tej znanej z prześmiewczego podejścia do rzeczywistości kapeli pojawi się w sklepach jesienią. Nieco wcześniej Anti Dread w towarzystwie innej szczecińskiej formacji Roadtrip's Over, grającej melodyjny punk rock zagra serię koncertów w Szwajcarii i Niemczech. Debiutancki album Road Trip's Over powinien trafić do sklepów jeszcze przed wakacjami.



8 maja w sprzedaży pojawi się album warszawskiej formacji **Nowy Świat** znanej już m.in. z wydawnictw składankowych „Prowadź mnie ulico", „Tribute To Partia", Tribute To Kryzys". „Zespół powstał w 1997 roku, żeby grać punk rocka 77 w czystej postaci i pić raczej wino niż piwo. Nasze teksty opowiadają o relacjach damsko-męskich i Warszawie, a szczególnie naszej dzielnicy – Żoliborzu", tak o sobie piszą muzycy warszawskiej kapeli, przez której skład przewinęło się kilku znanych w warszawskim środowisku muzyków, m.in. lider Partii i Komet Lesław, którego utwory także znalazły się na debiutanckiej płycie zespołu. Ultra-przebojowy, motoryczny punk w stylu brytyjskich i polskich klasyków gatunku, pokazuje, jaką mieszankę piorunującą stworzyć może doskonała muzyka i inteligentne teksty. W ostatnim czasie Nowy Świat zaliczył występ na żywo w Polskim Radiu BIS i ma za sobą wiele koncertów u boku krajowej czołówki punk rocka. Długo oczekiwany debiutancki album Nowego Świata udowadnia, że punk trzyma się dobrze, a wiele utworów ma szansę stać się nie tylko środowiskowymi przebojami.

Nowy numer **„Garażu"**, największego polskiego magazynu poświęconego muzyce ulicznej, powinien trafić do sprzedaży na przełomie maja i czerwca. W numerze tradycyjnie znaleźć będzie można sporą porcję wywiadów i biografii zespołów z kręgu punk, ska i hardcore. Tym razem wydawca prezentuje m.in. wywiady z The Cuffs, Tower Blocks, The Kolt, Lunatics, Social Combat, Robertem Brylewskim, Rewizją, Upside Down, Markiem Foggo, The Kolt, 666 Aniołów, Istukas Over Disneyland. W rubryce Punk Egzotyczny pojawi się opis rozwoju punk rocka w Szwecji, a wśród biografii m.in. The Oppressed, Toy Dolls i Bohse Onkelz. Nieco wcześniej wytwórnia wypuści także pierwszy numer nowego pisma poświęconego muzyce jamajskiej. Pismo o nazwie „Reggaebeat" zapewne ucieszy wszystkich fanów ska, reggae i pokrewnych brzmień.

DOT-it™



DOT-it™ firmy Osram to sprytna lampka, którą dzięki samoprzylepnej warstwie i niewielkim rozmiarom można szybko przymocować dokładnie tam, gdzie akurat potrzebne jest nam światło. Bez DOT-it™ nie obejdzie się żadna impreza na powietrzu – bez problemu oświetlimy nią ulubioną ławkę w parku czy opuszczoną fabrykę. Lampka pasuje również do bardziej cywilizowanego otoczenia. Przyda się pod namiotem, na żaglówce, działce znajomych i w samochodzie. Podczas domowych imprez stworzenie oryginalnego, modernistycznego klimatu zajmie kilka sekund. Lampka DOT-it™ jest praktyczna, ale także stylowa i oryginalna – dzięki minimalistycznej, ale jednocześnie nowoczesnej stylistyce można ją potraktować jako oryginalny gadżet i przykleić do deski, roweru, nart, plecaka... Cokolwiek nam przyjdzie do głowy. Stosowanie DOT-it™ nie jest skomplikowane. Wystarczy odkleić pasek zabezpieczający warstwę kleju i przyczepić do w miarę gładkiej powierzchni, nacisnąć – i świeci. Lampkę można wielokrotnie przenosić z miejsca w miejsce Łatwo wymienialne baterыjki AAA zapewniają energię na około 100 godzin świecenia. Okrągła, mieszcząca się w dłoni lampka jest dostępna w 6 metalicznych kolorach: srebrnym, czarnym, czerwonym, pomarańczowym, purpurowym i cytrynowym. DOT-it™ kupisz w Empikach, przez aukcje internetową Allegro, a także w sieci Media Markt i wybranych marketach budowlanych.




etnies
STEP UP
RONNIE CREAGER
etnies
systemG2



FLINTESENCJA
MR. MOJO RISIN

To były głupie czasy. Czasy, kiedy po polowie Marlboro Light kręciło się człowiekowi w głowie, a wypicie połowy piwa podczas „Sprzątania świata" imponowało koleżankom z klasy. Wiem, wiem – teraz trzy klasy wcześniej koleżanki robiłyby pewno dobrze swoim chłopakom (mają za malo do powiedzenia, żeby zwrócić uwagę używając ust w inny sposób?) i dawały się nagrywać na telefony komórkowe. Ale wtedy bylo inaczej. A ja byłem grzecznym chłopcem.

Klasa dopiero się poznała. Była Magda, nieśmiała blondynka w okularach, najmłodsza córeczka rodziców w wieku moich dziadków. Był Michał, zagadkowy typek, u którego w domu na Mokotowie hodowało się ślimaki. Nie łączyło nas nic. Poza Jimem Morrisonem. To było dziwne, bo mój ojciec słuchał Doorsów, a ja odruchowo sprzeciwiałem się muzyce, którą puszczał. Żadnego Led Zeppelin, Deep Purple czy Uriah Heep. Zapomnij. Ale Morrison chwycił. Co do piwa, to malolatom sprzedawali je w modnym wówczas Bolku na Polach Mokotowskich. Pijało się wtedy EB, gazowane jak cholera i bez tradycyjnego stołecznego rozcieńczania smakujące jak rozcieńczone. Co do Michała, to po którymś z tych piw w wyniku głupiej dyskusji rzucił się na mnie z nożem. Magda robiła się coraz mniej grzeczna, w polowie liceum chodziła w kowbojkach, a kiedy spotkaliśmy się na studiach, orientowała się w pubach dla harleyowców i znała kolesi, którzy przyjeżdżali do niej z zestawem ostrych narzędzi.

Kiedy zaczęliśmy gadać z Cess o wszystkim, jakoś nie zdziwiło mnie, że „przechodziła" przez Doorsów, że czytała oczywiście „Nikt nie wyjdzie stąd żywy" i widziała film Stone'a. Wręcz wydawało mi się oczywiste, że tak będzie. Gdy usłyszałem Jaya-Z na sprofanowanym doszczętnie „Five To One" (jeden z moich dwóch ulubionych kawałków Doorsów), wiedziałem, kto wygrał beef. Nas mógłby nawet nawijać teksty Lil Wayne'a. Ironia losu – Kanyego Westa, który wyprodukował to okropieństwo, dziś darzę dużym uznaniem.

Syn miał dwa miesiące i zdarzały się sytuacje, gdy jego mama traciła resztki nadziei. Siedziałem o czwartej rano w fotelu trzymając go na kolanach i na wpół nieprzytomny grałem w Need For Speed Underground 2. Od jego płaczu denerwowała mnie bardziej jedna rzecz: Snoop Dogg ft The Doors „Riders On The Storm (Fredwreck Remix)". Grałem rzecz jasna z wyłączonym dźwiękiem, ale pedalski beat wrył mi się w pamięć raz a dobrze. Poza tym, sam sposób podpisania wykonawców i kolejność, w jakiej występują! Zapomniałbym – „Riders On The Storm" to mój drugi ulubiony kawałek Doorsów.

„Oglądałem film 'The Doors'" – chwali się Cee-Lo z Goodie Mob w książce „Ego Trip", dodając później: „... tak naprawdę to podobała mi się osobowość Jima Morrisona. A Val Klimer świetnie go zagrał. Jim Morrison przypomina mi mnie". Mniejsza o to, że porównanie tych dwóch osób to zupełnie zabawny żart. Dwa dni przed dotarciem do tej wypowiedzi wraz z teściem zrobiliśmy sobie nocny seans, wybierając właśnie ten film. Spojrzałem innym, bardziej marudnym okiem stanowiącym część zezgredziałego organizmu. Morrison nie umiał śpiewać, wiedział zresztą o tym, wiedzieli również koledzy z zespołu. Poetą był dziwacznym, nierównym, pretensjonalnym. „Błękitny autobus wzywa nas"... Co? A jednak elektryzował... Był głosem pokolenia i o ile obecnie nie jest głosem pokoleń, to czasem jego muzyka wraca jak krzyk, którego echa nie da się nie usłyszeć.

„Głos pokolenia". Tak Pono nazywa hip-hop w naszym wywiadzie. Nie on pierwszy, nie ostatni. Czy słusznie? Mój obiektywizm jest tu wątpliwy, ale chyba jak najbardziej. W Polsce to zaszczytne miano oddano walkowerem, bo brak alternatyw kłuje uszy w głuchą ciszą. Na zachodzie wywalczono je w chwale. Kwestia tylko, czy właściwszym sformułowaniem nie jest słowo „był". Owszem, kiedyś niezależnie od gustów muzycznych znało się A Tribe Called Quest, Beastie Boys i De La Soul. Nagrania te inspirowały różnych ludzi i środowiska, były dyskutowane, były wydarzeniem. O „zostawieniu portfela w El Segundo" wiedzą nawet bracia Coen, tak jak na naszym gruncie Kora czy Blue Cafe znają (i cenią) Kaliber 44. Miły pan na MTV Base mówi, że to stare czasy, że minęły i jest zupełnie inaczej. Nie można porównywać. Eeee, tam. Trzeba porównywać. Macie u nas współczesnego artystę, którego zdjęcie bez zażenowania chcielibyście powiesić na ścianie na znak szacunku (i nie chodzi mi, kurwa, o Tokio Hotel)? Znacie kogoś, na którego koncercie kolesie nie patrzyliby na tyłki panienek i nie żłopali piwa z wyrazem twarzy nosorożca cierpiącego na hemoroidy, tylko koncentrowali się na muzyce? Typa, który wyda płytę, a ludzie powiedzą: „Tak, to co zrobiłeś, to dla mnie coś wielkiego, kupię twój album, choćbym miał przez dwa dni nie jeść"? Ej, te zespoły nie umieją nawet obudzić dzieci w dzieciach! A większość tych, którzy byli z polskim hh na początku, zdążyło się śmiertelnie na niego obrazić.

Mówiło się o Morrisonie, że każdy koncert grał, jakby miał być jego ostatnim, zresztą sam nigdy nie wiedział, czy tak właśnie nie będzie. Rodzimi raperzy grają raczej tak jakby każdy koncert był ich pierwszym, to jednak nieważne. Ci z zachodu grają lepiej, ciekawiej, ale to raczej bardziej barwny show mocniej ogłupia. Nie chodzi o emocje. Pisałem wyżej, że cenię Kanyego Westa. Ale wciąż zastanawiam się, czy wydać hajs na jego koncert... Już samo to, że kalkuluję, jest niepokojące.

Marcin Flint





PJ

the comfort is_**the best part**



czapki mass

Najnowsza kolekcja wiosenno-letnich czapek MASS jak zwykle obfituje w wiele ciekawych i nietuzinkowych modeli! Znajdziecie wśród nich full-capy, tirówki, kolarzówki, marineski oraz pierwsze polskie czapki „fitted"! Przekrój kolorów i ich kombinacji jest bardzo szeroki, dodatkowo indywidualne kamuflaże i kratki. Cała wiosenno-letnia kolekcja ubrań marki MASS dostępna jest w oficjalnym sklepie internetowym: http://shop.massdnm.com



buty osiris merk

But, który właśnie oglądacie, jest nową kolorystyczną i materiałową wersją Merka. Od starej wersji nie różni się ona niczym poza barwą i tym, że jest wykonana z płótna. Jeżeli macie żyłkę survivalowca i lubicie obozy przetrwania, but ten jest dla Was. Dzięki kolorom maskującym nikt nie dostrzeże Was w lesie.



buty podium

Oto trzy modele z nowej kolekcji Podium. Do biegania, jazdy na desce, na bmx-ie, w ogóle do wszystkich form aktywności fizycznej, normalnego chodzenia po ulicach nie wyłączając. Wygodne, kolorowe, skórzane i zamszowe (aż się samo rymuje). Normalnie, się gra, się ma. Bajerka jest.







SKRĘĆ COŚ - TO JUŻ OSTATNI DZWONEK!

Maj rozkwita, a wraz z nim konkurs organizowany przez 4fun.tv i UPC - Skręc coś! Przygotowujemy się do zebrania plonów, czyli wyłonienia najlepszych spośród najlepszych. Na prace czekamy do końca maja, natomiast finał całej akcji będzie miał miejsce w czerwcu w warszawskim Multikinie.

Podczas gali rozdania nagród zaprezentujemy najlepsze nadesłane filmy, animacje i fotografie. Przedstawimy zwycięzców i wręczymy im zasłużone nagrody. Nagrody są warte poświęcenia, dla zwycięzców w poszczególnych kategoriach przygotowaliśmy:

Film: darmowy pierwszy rok studiów w szkole filmowej.
Animacja: Emisja na antenie 4fun.tv 10 animowanych odcinków / zlecenie produkcji
Fotografia: Wyjazd do Rzymu (4-6 sierpnia) z fotografem National Geographic Haydenem Turnerem.

Czekamy na wasze prace, to już ostatni dzwonek. Prace należy przesyłać na adres: ***4fun.tv, ul.Bobrowiecka 1A, 00-728 Warszawa oraz na adres e-mail: skreccos@4fun.tv****. Zanim wyślecie swoje dzieło, nie zapomnijcie odwiedzić strony http://skreccos.4fun.tv. Tam znajdziecie wszystkie potrzebne informacje dotyczące wymagań technicznych oraz formularz zgłoszeniowy. Czyńmy dobro poprzez sztukę! Wyrażajcie swoje pasje, emocje i zgarnijcie nagrody!*



etnies

Etnies przyszykował nowe kolekcje ciuchów i dla kolesi, i dla dziewczyn (chociaż różową bluzę może założyć i jakiś ultra ekstrawagancki bywalec modnych klubów – na pewno zostanie tam zauważony). Ciekawe propozycje na wiosnę i lato. Uszyte z najlepszej jakości materiałów ciuchy mogą służyć nie tylko do jazdy na desce (do tego zresztą potrzebna jest przede wszystkim deskorolka), ale i do zwyczajnego lansowania się w towarzystwie. Aha, proponowane zestawy to oczywiście tylko przykład – możecie je zestawiać dowolnie. Pozwalamy.



error

Powoli zaczyna robić się ciepło (jeszcze nie za bardzo, ale w sumie jest OK), słoneczko grzeje coraz częściej i coraz dłużej, więc pora przerzucić się z bluz i zimowych kurtek na tiszerty i czapeczki. No, to specjalnie dla Was nowe ubrania od Errora. Nic dodać, nic ująć.



Zupełnie nowa kolekcja wiosenno-letnich kurtek prosto od Croppa. Skutecznie ochronią przed deszczem i wiatrem. Już dostępne w całej Polsce.

CIUCHY CROPP DOSTĘPNE W SIECI SALONÓW cropp town

IMPREZOWE INFO:
SZCZEGÓLNIE POLECAMY:

Cropp Booty Challenge 2006, czyli zawody taneczne dla solistek. Dziewczyny, jeśli lubicie sobie potańczyć w rytmach hip-hopowych i r'n'b, to zapraszamy na eliminacje w Gdańsku (12 maja, klub Parlament, prowadzą WSZ i CNE) i w Warszawie (19 maja, Piwnica pod Harendą, prowadzi Numer Raz). A finał już w czerwcu! Trzęście pupami, dziewczęta! Yo!

RBK – G-SHOCK Basket Music Tour 2006 to sześć imprez koszykarsko-muzycznych, które w tym roku zawitają do Białegostoku, Gdańska, Poznania, Rzeszowa, Łodzi i Warszawy. Tour to całodobowe turnieje streetballa i muzyka, o którą zadbają DJ Bart i DJ Grubaz. Imprezy prowadzić będą WSZ i CNE oraz Numer Raz.

O.S.T.R. koncertuje już kolejny miesiąc. Niedługo będzie go można zobaczyć w następujących miejscach: Rzeszów (Pod Palmą, 28 kwietnia), Gryfino (1 maja), Wrocław (Pola Marsowe, 5 maja), Toruń (11 maja), Lublin (14 maja), Siedlce (17 maja), Biała Podlaska (20 maja).

Tworzywo Sztuczne, czyli Fisz i Emade, zagra natomiast w Warszawie (Punkt, 28 kwietnia), Wrocławiu (6 maja), Krakowie (12 maja) i Białej Podlaskiej (20 maja).

Pogodno promuje swoją płytę koncertową „Całe życie z wariatami" i wystąpi m.in. w Gryfinie (1 maja), Wolimierzu (5 maja), Wrocławiu (6 maja), Rybniku (10 maja), Toruniu (13 maja), Cieszynie (17 maja) i Warszawie (18 maja).

New Model Army ponownie w Polsce. Zagra na trzech koncertach z Cool Kids Of Death: 9 maja we Wrocławiu (WZ), 10 maja w Poznaniu (CK Zamek) i 11 maja w Gdyni (Ucho). Natomiast 12 maja zespół zagra z Armią i Dezerterem na warszawskich Juwenaliach (koncert otwarty na Dużym Dziedzińcu UW).

Oi Polloi, szkocka legenda punkrocka, wystąpi na trzech występach w Polsce: 8 maja w Poznaniu, 9 maja w Warszawie i 10 w Katowicach.

Heineken Open'er Festival Powiększa się lista gości, którzy pojawią się w Gdyni (6-8 lipca). Na chwilę obecną swój przyjazd potwierdzili: Kanye West, Pharrell Williams, The Streets, Coldcut, Franz Ferdinand, Placebo, Manu Chao, Basement Jaxx, Sigur Ros, Ladytron i Scissor Sisters. Dla każdego coś miłego.



Rozmowa z Eldo jest pułapką. Zapędza on człowieka w tematy poruszane z raperami rzadko. Istota czasu, proces twórczy, wolność, filozofia, sztuka to pojęcia, które zgłębia z zaskakującą naturalnością - zarówno w wywiadzie, jak i na swojej płycie. Hip-hop ma służyć zabawie, to prawda, ale dobrze, że ktoś stara mu się przywrócić powagę i świadomość. Przed wami więc Eldoka - jeszcze raper, być może już niedługo pisarz

ELDO

MASSDAM

CZŁOWIEK, KTÓRY CHCIAŁ UKRAŚĆ ALFABET

tekst i foto Cess

Na płycie kilkukrotnie poruszasz temat upływającego czasu. Główna refleksja jest taka, że czas dla Ciebie to przede wszystkim „tu i teraz"...
(śmiech) Zawsze było to „tu i teraz". Po prostu nie przywiązuję wagi do przyszłości, bo jej nie ma, a przeszłości nikt mi nie zabierze. I ewentualnie muszę z pokorą na nią spojrzeć, ale również z dumą, bo mam świadomość tego, że wszystkie wydarzenia z mojego życia – tak samo te dobre wydarzenia, jak i te niechlubne – spowodowały, że jestem w tym miejscu, w którym jestem teraz i jeżeli byłbym niezadowolony z tego stanu rzeczy, to byłoby nienajlepiej. Uważam jednak, że wszystko jest okej, poukładaliśmy swoje sprawy muzyczne, wszystkich rzeczy dopilnowaliśmy. A ja skupiam się na „tu i teraz", bo to jest najważniejsze, to jest to, na co mam wpływ.

Nie planujesz swojej przyszłości?
Nie, nie... Dlatego, że czasami moje życie się tak układało, że w niektórych kwestiach przyszłości mogło nie być, i nawet jeśli sobie poukładałem przyszłość, to okazywała się ona rozczarowaniem. Stąd przekierunkowałem swoje myślenie i nie skupiam się nad tym, co będzie.

W Twoich utworach jest wyraźna tendencja do pisania o tworzeniu, jakaś taka fascynacja samym procesem powstawania tekstu...
Wydaje mi się, że akurat na tej płycie udało mi się od tego uciec, bo tej kwestii dotyczy raptem jeden kawałek z Jimsonem i to jest tak naprawdę jeden z najstarszych kawałków na tę płytę, ale to nawet nie o to chodzi. Ja doskonale sobie zdaję sprawę z tego, że ktoś tam powie: „O, znowu jest kawałek o tym, jak się nagrywa kawałki". Po prostu jest tak, że temat samej twórczości jest dla twórcy bardzo ważny. Nie wiem, czy inni się nad tym zastanawiają, jeśli się nie zastanawiają, to im współczuję, a jeżeli się zastanowili i nie muszą o tym napisać ani jednego kawałka, to serdecznie gratuluje i bardzo proszę o odpowiedź na maila z całą genezą i analizą procesu twórczego, może się czegoś dowiem i nie będę musiał pisać kawałków o tym, co się dzieje w głowie, jak piszę. To jest dla mnie ważne, z każdej strony zastanawiam się jak do tego dochodzi i wydaje mi się, że to nie są analizy typu: „Biorę kartkę i idę na ławkę", tylko są to analizy bardziej psychologiczne czy takie, które odnoszą się do czegoś więcej niż fizycznego pisania. Więc teraz wrócę do domu i będę słuchał tej płyty ze złością, żeby wyłapać wszystkie te Leszkowe follow-upy do siebie (śmiech).

Czy studia, które podjąłeś, wpłynęły na Twój sposób myślenia? Bardziej ci pomagają czy przeszkadzają w tworzeniu?
Tak naprawdę, to wszystko, co robię w życiu, ma wpływ na to, jakie piszę teksty. I to, jakie studia wybrałem, i to jakich ludzi spotykam, i jakiej muzyki chcę słuchać, jakie kino lubię – cała ta rzeczywistość ma wpływ na to, jak piszę. W pewnym momencie po prostu zaczynam zastanawiać się nad złożonością rzeczywistości, w której żyję, a filozofia czy psychologia to są takie dziedziny, które w bardzo nieformalny sposób mogą pomóc w zrozumieniu tej rzeczywistości, bo wnioski z obu tych dziedzin (dosyć kontrowersyjne dla mnie jest nazywanie ich naukami) dają niezbyt konkretne wyniki. Najczęściej są to wskazówki, ewentualnie koncepcje, pomysły, ale nie gotowe rady i gotowe odpowiedzi. Tak naprawdę zmieniło to sam sposób myślenia, ale nie to, co myślę, bo ideologicznie jestem dość konsekwentną osobą.

Wydaje się, że kwestia wolności jest dla Ciebie także bardzo istotna...
Tak naprawdę jest to najistotniejsza rzecz w moim życiu. Bardziej wolność niż to pisanie, bo pisanie jest po prostu przejawem tego, że jestem wolny – nikt inny nie kontroluje tego, co się dzieje w środku.

Wolność dla Ciebie to bardziej ta wolność z obrazu Delacroix – czyli, powiedzmy, idea poza nami – czy coś, co tkwi w każdym z nas?
Wydaje mi się, że każdy człowiek rodząc się, kiedy już przejmuje kontrolę nad tym, co się z nim dzieje – może nie akurat na etapie kontroli wydalania, bo trudno wtedy mówić o wolności, ale wtedy, kiedy pojawia się pewna świadomość tego, kim jest, jakim jest człowiekiem, w jaki świat został wrzucony, gdzie się znajduje, jakie ma zobowiązania, co mu wolno, nie tylko co może – ma tę wolność. To odpowiedzialność za samodzielnie podjęte decyzje. Mam szczęście, że żyję w takim kraju, w którym mogę ją realizować, bo wystarczy troszkę inny układ polityczny i 250 km w prawo i jest zupełnie inaczej. Jest więc tak, że wielu z nas nie zdaje sobie sprawy, jaką mocą dysponuje i jak wiele od nas samych zależy, bo kiedy człowiek nie kontroluje świata, w którym żyje, tylko ktoś inny mówi mu jak ma myśleć, co ma robić, gdzie pracować, za kim się opowiadać, co oglądać, to po jakimś czasie człowiek staje się takim bezwolnym baranem – wszystko za niego jest już zdecydowane. Żyjąc tutaj też możesz stać się takim człowiekiem, kiedy twój pracodawca zaczyna decydować, kiedy ty masz czas wolny, kiedy osoba, z którą jesteś w związku, zaczyna decydować, z jakimi ludźmi się spotykasz, kiedy sam wybierasz formy, w których się zamykasz. Dlatego najtrudniejszą rzeczą jest nauczyć się korzystać z wolności tak, żeby z jednej strony nie krzywdzić innych, a z drugiej w pełni realizować samego siebie. Człowiek, któremu się nie udaje w wieku dwudziestu paru lat, kiedy wchodzi w dorosłe życie, uzyskać tej autonomii „ja", jest przegrany.

Ale tak naprawdę dzieciakom nie ma kto powiedzieć, czym w zasadzie jest wolność. Media pokazują, że polega ona na mówieniu wszystkiego niezależnie od konsekwencji, podobnie polityka...
Ludziom najczęściej wolność kojarzy się z tym, że mają dużo możliwości wyboru, że to jest wyłącznie to, co mogę, a nie to, co powinienem, a wydaje mi się, że o tym, że jesteś wolny i kontrolujesz swoje wybory, świadczy nie to, co ci wolno – bo to są głównie fizyczne ograniczenia – ale powinność. Jeżeli każda telewizja w pewien sposób pompuje taką łatwą lifestyle'ową papkę typu „bądź kolorowy i wyluzowany, a będziesz miał kobietę i będą cię lubić", to osoby, które w jakiś sposób nie mają swoich spostrzeżeń na temat świata, nie myślą w pewien sposób, nie mają dystansu do reklam, do tego, co widzą wokół siebie, chłoną to i stają się maszynami. To już nie moja wina, bo ja się staram otaczać ludźmi, którzy umieją świadomie podejmować wybory.

A nie masz czegoś na kształt poczucia misji?
Nie, nie. Kilka lat temu może w jakiś sposób chciałem sprzedawać swoją ideologię innym. Teraz jest to ostatnia rzecz, którą chciałbym robić. Na tej płycie na przykład więcej jest emocji, nastrojów, kolorów, opisu uczuć niż sprzedawania ideologii. Pracowałem nad swoim systemem wartości dość długo, a teraz już go zamknąłem w słoiku i nie mam go ochoty pokazywać innym. Owszem, zawsze coś z tego systemu wartości przenika do tekstów, bo to jest naturalne, w końcu są to moje teksty, nikt mi ich nie napisał i zdaję sobie z tego sprawę. Ja nigdy nie chciałem być czyimś autorytetem, bo jestem tak nieprecyzyjnym i grzesznym człowiekiem, że nie nadaję się na jakikolwiek autorytet.

Obecnie w ogóle brak autorytetów...
Bo teraz są ikony popkultury, a nie autorytety. Przykładem tego jest Jan Paweł II – jego prawy czy lewy profil w piusce na głowie zaczyna być bardziej popularny niż to, co mówił. Sądzę, że jakbyśmy zaczęli w tym wywiadzie rozmawiać o „Veritatis Splendor", to niewiele osób wiedziałoby, o co chodzi. Pewnie znalazłoby się kilku czytelników, ale najczęściej JPII dla ludzi to „miły dziadek", który je kremówki. Większość ikon czy osób, które powinny być autorytetami oddziaływującymi na ludzi, staje się obrazkami na pocztówce, logiem na koszulce. Wszystko się spłyca. Żyjemy niestety w rzeczywistości telewizyjnej, która wszystko sprowadza do kilkusekundowego newsa, shota z twarzą. Sami jesteśmy sobie winni tego, że autorytetami stały się osoby pokroju Michała Wiśniewskiego. To może być idol, ale nie autorytet. Natomiast u nas nastąpiła zamiana. Najczęściej u ludzi autorytetami stają się idole.

Na „Człowieku..." kilkukrotnie przywołujesz obraz kultury na śmietniku. Odnosisz to głównie do kultury masowej, która chyba z założenia jest odrobinę śmietnikowa, dla wszystkich, czyli schlebiająca niższym gustom.
Nie, nie uważam, że ta kultura powinna być aż tak śmietnikowa, bo kultura popularna pojawia się w przestrzeni publicznej tak, abyśmy mieli największą szansę do niej dotrzeć. I mimo nawet swoich starań, żeby interesować się na przykład teatrem offowym, dobrą literaturą, prób sięgania po nią, to podróżując przez miasto, włączając telewizor czy radio, czytając gazetę, masz kontakt tylko z kulturą popularną. Kiedy zaś zaczynam uważać ją za coś absolutnie pustego, potwornie głupiego, to pojawia się problem. Nie pasuje mi to, że większość ludzi karmiona jest czymś takim jak „Taniec z gwiazdami" czy Dan Brown, bo jeżeli w Polsce przez wiele miesięcy absolutnymi bestsellerami są książki z kodem w tytule, więc tak właściwie pseudoliteratura, to bardzo mi przykro. Kiedyś sprzedawały się dużo lepsze rzeczy. Już wolę, żeby się sprzedawał Paulo Coelho. Mnie po prostu nie pasuje to, że w przestrzeni publicznej jesteśmy zaśmiecani taką papką jak familijne kino z USA, gotowe, składane na czas morały i recepty. Wszystko jest takie lifestyle'owe. Telewizje muzyczne już nie są muzyczne, pokazują ci za to, w co masz się ubrać, na jakie imprezy chodzić, jakich gadżetów używać. Te nośniki, które kiedyś służyły kulturze, teraz niosą sztucznie wykreowany sposób życia, tylko dlatego, że reklamodawca więcej zapłacił – to zaczyna być niebezpieczne. Poza tym, jeśli będziemy marginalizować kulturę wysoką i spychać ciągle do przestrzeni offowej płyty, które nie są „siaba-daba", to w pewnym momencie one znikną. W pewien sposób wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że to, co się dzieje na rynku, bardzo często jest uzależnione od sprzedaży, więc jeżeli kultura wysoka zostanie zepchnięta na margines przestrzeni publicznej, to przestanie przyciągać ludzi, którzy w jakiś sposób będą gotowi za nią zapłacić. Wówczas artyści przestaną się zwyczajnie zajmować tą kulturą. Jeżeli żyjemy w wolnorynkowej rzeczywistości, to sprzedaż decyduje o tym, co przetrwa – to Dan Brown przetrwa, a któryś z młodych poetów skoczy przez okno albo po prostu nie będzie miał woli walki. Zgadzam się z tym, że wiele ciekawych projektów w Polsce ma swoją publiczność, że Leszek Możdżer ciągle żyje, że Artur Rojek ciągle pisze teksty, tylko bardzo żałuję, że zamiast Artura Rojka w przestrzeni publicznej częściej pojawia się Kasia Cerekwicka. Nie umiem się zamknąć w swoim świecie artystycznym, takim, który mnie interesuje, ale dostrzegam też to, co dociera do moich znajomych, rodziców i w ten sposób pośrednio do mnie, bo ja też chodzę po mieście, widzę billboardy i kiedy sięgam po jakąś kolorową gazetę, to zaczynam być przerażony. Wydaje mi się, że 50 lat temu, jeżeli wychodziła książka, która była „literaturką", piętnowano to zjawisko, a teraz cała dyskusja na temat Browna nie opiera się na tym, co to jest, tylko o czym to jest. To pewien problem.

Ale też bywa tak, że grono odbiorców kultury wysokiej jest bardzo zaborcze i zazdrosne i niespecjalnie ma ochotę się dzielić z „plebsem"...
Nie można, niestety, tworzyć elitarnych klubów, bo z czasem każda taka inicjatywa, mówiąc brzydko, zaczyna pieprzyć się w tyłek, zjadać swój ogon. Zawsze z przymrużeniem oka traktowałem ekskluzywne kluby znajomych kogoś, bo to jest głupie. Nie można ukrywać, że ludzie w pewien sposób chcą się zabezpieczać. Nie wydaje mi się, żeby w radiu X płyta Ostrego czy moja płyta mogły jeszcze zaistnieć komercyjnie tak bardzo, jak parę lat temu. Po prostu jesteśmy skazani na swoją spokojną hip-hopową egzystencję w światku ludzi, którzy nas znają, a popowa muzyka poszła już w innym kierunku i ten hip-hop telewizyjny to będzie już tylko radosne „siaba-daba", gościnny kawałek z Murzynem ze Stanów za 1000$, bo menedżer zna menedżera menedżera. Jeżeli to ma tak wy-

glądać – nie ma sprawy, tylko że nie złościłbym się wtedy na to, że scena zaczyna się izolować od świata zewnętrznego, bo wydaje mi się, że za 2-3 łata koncerty hip-hopowe to będą albo eventy-spędy albo kameralne imprezy w klubach dla 300 osób jak za starych czasów.

A teraz pytanie z zupełnie innej beczki. Zwłaszcza na najnowszej płycie, można wyłapać tropy wskazujące, że bliskie Ci jest to, co było obecne w poezji czy literaturze XIX wieku czy nawet schyłku romantyzmu – z jednej strony mistycyzm, rozmowy diabła z poetą, a z drugiej zbliżający się futuryzm, fascynacja miastem czy to, co zaprzątało ówczesnych filozofów – słowa, ich znaczenia. Nie jest tak?

Być może to przez literaturę, którą czytam. Zawsze lubiłem 20-lecie międzywojenne i romantyzm, uwielbiam Williama Blake'a. Wiadomo, że świat, w którym się poruszasz, filmy, książki, ludzie mają ogromny wpływ na to, co piszesz, jak piszesz, jakim jesteś człowiekiem i ja w żaden sposób nie próbuję od tego uciec, bo zdaję sobie sprawę z tego, że się tym fascynuję. Jestem ogromnym fanem angielskiej poezji romantycznej, uwielbiam polski romantyzm. W zasadzie każdy rodzaj sztuki, który odrzucał mechanicyzm świata, a kazał wierzyć w jego duchowość i metafizykę, trafiał do mnie. Zawsze też będę starał się tak pisać, ale nie sądziłem, że to jest aż tak widoczne. Wiem, że parę razy jest takie dość bezpośrednie odniesienie do symboliki, do języka, jakim posługiwali się poeci romantyczni, którzy często znajdowali inspirację poza sobą – na przykład w muzach. Erato też się pojawia u mnie parę razy. To wiąże się z pewną koncepcją sztuki, która wyznaję, bo dla mnie ona jest przynależna do twórcy, ale pojawia się w nim z zewnątrz. Nie jest czymś, co jest dane na zawsze i co będę potrafił w każdej minucie. Wiem po prostu, że czasami Erato sobie przyjdzie, usiądzie na łóżku, poszepcze do ucha, a następnego dnia ja to mówię. Myślę, że gdybyś spytała osób, które zajmują się pisaniem, w jaki sposób napisały to, co później jest ich autorstwa, one nie umiałyby w żaden sposób odpowiedzieć, jak to się stało, kiedy, dlaczego takie słowa, a nie inne. Jest taki bardzo ładny wiersz Artura Rimbaud na temat twórczości, który zaczyna się od tego, że mówi, iż język, którego używa, mógłby opisać pożar i cały długi ciąg słów odpowiadający temu, że coś tam w środku się strasznie gotuje, kończy zaś zdaniem „zgoda, demonie". Jest to sprowadzenie tego, co tworzysz, do ingerencji czegoś wewnętrznego czy też zewnętrznego. Odwiedza nas to i sprawia, byśmy mówili nie swoje słowa swoim językiem? Nie wiem. Dlatego uważam, że twórczość jest obiektywna – bo na tej długiej linii jest miejsce i dla Leszka Kaźmierczaka i dla kogoś innego. I to, że mówimy, oznacza, że jesteśmy tubami, a przemawia kto inny.

Od zawsze tłem dla Twoich utworów było miasto, z tym że na poprzednich płytach w miejsce nazwy „Warszawa" tak naprawdę można było wstawić dowolną inną nazwę miasta. Teraz już tak nie jest, to jest konkretnie Warszawa, jej ulice, klimat niektórych miejsc. Jak na przykład w tej opowieści o człowieku. Słyszałam, że mowa tu o Twoim dziadku.

To pośrednio jest historia mojego dziadka, mojej babci, ale również jej braci. To może być ktokolwiek z tego miasta, kto żył w tamtych latach. Takich ludzi było sporo, bo takie rzeczy im się po prostu przydarzały. Wiem, że niektóre rzeczy powiedziane w tym utworze miały miejsce w życiu konkretnych ludzi, ale nie chciałem nikogo wskazywać palcem, między innymi również przez to, żeby nie był z czymkolwiek kojarzony. To jest człowiek w masce, a za maską może być ktokolwiek. Ale tak, jest to konkretne miasto, bo moja rodzina stąd jest i aktywnie brała udział w tym, co się tu działo. Rodzina mojej matki i rodzina ojca brały udział w Powstaniu Warszawskim, moja matka urodziła się na Mokotowie na Narbutta chwilę po wojnie, ja się wychowałem na Śródmieściu tuż przy placu Zbawiciela. Spędziłem tam kilka lat swojego życia, moja babcia mieszkała przed wojną na Franciszkańskiej, więc ja dorastałem wśród opowieści o tym wszystkim. Będąc człowiekiem świadomie szukającym tej wiedzy, dotarłem do historii, które miała do powiedzenia moja babcia czy inni członkowie rodziny i zacząłem dostrzegać to, że pewne uczucia, które towarzyszą mi, kiedy spaceruję sobie po chociażby tej Brzeskiej i Ząbkowskiej czy po Alei Róż, mają konkretne podłoże. Dlatego tak ważne jest dla mnie to, żeby móc obcować z Warszawą, żeby sobie pójść na Starówkę, żeby zobaczyć Wisłę. Już wiem, dlaczego się tak dobrze czuję przyjeżdżając na Centralny. Po prostu czuję, że jest to moje miasto, że jestem przynależny do tego miejsca i jestem odpowiedzialny, żeby pamięć o pewnych rzeczach kultywować. W pewnym momencie zaczynasz szukać swojej tożsamości, tym bardziej, że żyjemy w takim kraju, że jeszcze 60 lat wstecz można coś znaleźć, ale później jest to oddzielone grubą kreską, za którą sięgnąć nie sposób. Dużo dziejów mojej rodziny jest właśnie tak oddzielonych. Szukałem, skąd to się wzięło, gdzie byliśmy, gdzie wędrowaliśmy, i teraz wiem skąd jestem – jestem z Warszawy. Nie wiązałem z tym jakichś oczekiwań, odkryłem za to, dlaczego czuję to, co czuję, i dlaczego nie umiałbym zamieszkać w żadnym innym mieście Polski. Nie dlatego, że nie lubię innych miast, tylko zdaję sobie sprawę, że tutaj oddycham, tutaj są moje miejsca, tutaj chodząc po chodniku coś czuję. Pamiętam, że Pjus po przeczytaniu tekstu tego utworu napisał mi, że tak się pisze kawałki, kiedy się chodzi po ulicach miasta, z którego się jest – nie stopami, ale sercem. Wydaje mi się, że to jest najlepsze wytłumaczenie tego, co znaczy moje miasto dla mnie w tej chwili. To nie jest żaden lokalny szowinizm, tylko zdrowy patriotyzm lokalny, do którego jestem zobowiązany. To, co robiła moja rodzina, w jakiś sposób obliguje mnie do tego, aby tę pamięć kultywować.

W hip-hopie jest dużo miejsca na lokalny patriotyzm, z tym że u nas najczęściej zatracany jest ten walor uniwersalności.

Ja mam nadzieję, że ta historia jest uniwersalna i niesie ze sobą dużo rzeczy, które nie są przynależne tylko Warszawiakom, ale w ogóle nam, ludziom. Że będzie zrozumiała. Nie będzie to coś, co wywoła tylko kolejną dyskusję na temat tego, czy Warszawa fajnym miastem jest, czy nie. Jest moja, mam ją w sobie, i wiem, że gdziekolwiek wyląduję, ona będzie. Zresztą nie sądzę, żebym gdziekolwiek mógł wylądować.

Wielu ludziom jest trudno zaakceptować Warszawę: widzą to, co najbrzydsze...

Tak, to jest związek w jedną stronę – „daj mi, a ja tobie nic nie oddam" – i w ten sposób śmiesznie jest jechać autobusem w Warszawie i słyszeć, że wszyscy są źli albo że modnie w Warszawie jest mieszkać w Falentach. Kiedy ty masz świadomość, że modnie to się mieszka, ale na Saskiej Kępie, bo to jest Warszawa, a w Falentach to może i modnie, ale truskawki hodować czy kartofle kopać. Ja po prostu przeszedłem dość dobrą edukację warszawską i śmieję się z tego, jak słyszę, że w Wilanowie jest ładnie, bo tam jest tylko kościół świętej Anny i pałac Wilanowski. Ładne miejsca w Warszawie to Ujazdów, Bielany, stary Mokotów.

Wróćmy do muzyki. Skąd wzięła się u Ciebie miłość do niej? Ktoś ją zaszczepił w Tobie czy też w domu było dużo płyt?

Nie, w domu było dużo książek, może to jest kwestia tego, że piszę, a nie robię muzykę – u Mikołaja w domu było na przykład dużo muzyki.

Dlaczego więc pisanie przełożyłeś na wyrzucanie słów w postaci dźwięków?

Ja strasznie chciałbym już przestać wyrzucać słowa poprzez dźwięki, chciałbym sobie tylko pisać. Taki jest generalnie mój cel. Za parę lat chciałbym nie musieć posługiwać się swoim głosem, a tylko swoim pismem. Aczkolwiek nadal sprawia mi to ogromną przyjemność i nadal bardzo fajnie mi się to robi, tylko po prostu zacząłem szukać. Forma stricte hip-hopowa zaczęła mnie dusić. Dlatego zrobiłem tę płytę z Bitniksami, dlatego też wyniknęły kwestie instrumentów, aranży i różnych rzeczy. Wiem, że niedługo będę zwyczajnie za poważny, żeby siebie w tym widzieć, za dojrzały, by uważać, że mogę do ludzi przemawiać ze sceny. Nie wiem. Na pewno, jeżeli to poczuję, to przestanę to robić, bo nie mam zamiaru siebie samego oszukiwać. Teraz pracuję z wielką pokorą i dużym dystansem do tego, co robię, nad jednym zbiorkiem opowiadań. Może się to wyda razem z jakimiś wierszami. Szczerze powiedziawszy, ten utwór o diable nie miał być na tę płytę, ma – jeżeli zauważyłaś – rytmikę wiersza i podział wiersza, jego strukturę, to było napisane jako wiersz, nie jako kawałek. Tylko w pewnym momencie powiedziałem sobie, że podoba mi się, pasuje do bitu, zróbmy więc z tego singiel. Tak naprawdę, nie zamykam się w jakiejś formie. Jeżeli będę miał ochotę na wydanie płyty ze spoken wordami, to ją wydam. Jeżeli będę miał ochotę na wydanie płyty, do której zrobię okładkę tekturową, którą pomaluję własnoręcznie – też to zrobię. Nie ograniczam się. Mam swoje pomysły i na szczęście moja pozycja na scenie pozwala mi na to, żebym mógł je realizować. I żeby byli ludzie, którzy chcą mi w tym pomóc i chcą przy tym pracować, a to nie jest łatwe, bo zdaję sobie sprawę z tego, że jestem tak dużym indywidualistą, że lubię, jak coś jest zrobione po mojemu. Uważam, że właśnie to jest jeden z przejawów wolności – to, że możemy spełniać swoje marzenia. 18 miesięcy nagrywałem najważniejszą płytę życia, a kiedy chciałem ja wydać, okazało się, że najlepiej zrobić to samemu. I gdybym miał wehikuł czasu, to bym się przeniósł do czasów „Epki" czy „Świateł..." i podjął decyzje samemu... Chociaż nie, dzięki temu, co przeżyłem, wiem, jakich błędów nie popełniać. Bardzo się cieszę, że to zrobiliśmy i teraz już wiem, jaką pracę trzeba przy tym zrobić i na ile autentyczne są roszczenia wytwórni, które opowiadają historie o tym, jak coś ciężko załatwić i czym uzasadniają swój udział w procentach z płyty. Ale dopóki czerpiemy z tego radość, a demon chce mnie niepokoić o 3.00 w nocy, będziemy to robić.

Właśnie. Wracając do demona czy też muzy, czy to nie jest tak, że chętniej Cię odwiedza, kiedy jesteś smutny?

(śmiech) To już jest kwestia konstrukcji psychicznej człowieka. Nie ukrywam, że zawsze łatwiej mi było opisać siebie poprzez coś smutnego, refleksyjnego, melancholijnego niż przez coś śmiesznego. Jeżeli próbuję napisać coś śmiesznego, to staje się to śmieszne tylko przez cynizm albo ironię, a to nie jest prawdziwa śmieszność. Zgadzam się z tym, ale zauważ, że smutny kawałek na nowej płycie jest jeden i w dodatku ukryty.

Mam wrażenie, że w ogóle w poezji trudno jest przekazać radosne stany, szczęśliwość.

Może dlatego, że samo szczęście jest mało interesujące. Bardziej intrygujące jest to, jak sobie radzimy, kiedy coś szczęścia nie daje.

Być może smutek dotyczy większej ilości ludzi?

(śmiech) No, nie wiem, należałoby może porównać sprzedaż płyt Bobby'ego McFerrina i Coldplaya – pewnie wychodzi na korzyść tych drugich. Ale jeżeli się zastanowić nad tym, co powiedziałaś, to wszystko, co w życiu robię, a także sztuka, jaką podziwiam, wiele rzeczy muzycznych, których słucham, obrazów, które mi się podobają, filmów, jest po prostu smutnych. Osoby, które uważam za najlepszych tekściarzy, piszą raczej rzeczy melancholijne, nostalgiczne, aż tak naturalistyczne, że przygnębiające. Wszystko to nie przynosi wniosków, że świat jest piękny, tylko że jest parszywie, źle i „chrzanić wszystko". Może nazwijmy to po imieniu – jestem egzystencjalistą, wierzę tylko w osobiście zaakceptowaną etykę, a z drugiej strony jestem gotowy do poświęceń. Na pewno czuję, bo to nie jest jakaś chłodna kalkulacja, tylko burza namiętności, emocji i uczuć. Wszystko powstaje z jakiegoś brudu, z bólu. Dla niektórych ludzi po prostu większą inspiracją jest upadek, porażka, destrukcja, a nie kreacja. Zawsze wolałem jesień od wiosny...



Peja
z liścia i kopa w dupę

Peja powraca w 2006 roku z mocnym uderzeniem. Z weteranem polskiego rapu rozmawiamy o mającej ukazać się lada dzień składance z jego gościnnymi występami, o nadchodzącym i planowanym na jesień nowym produkcie studyjnym w ramach Slums Attack i o mnóstwie innych ciekawych spraw

rozmawiał Grabiszczy
foto Mateusz Raszewski

W kawałku „Geneza" na płycie „Najlepszą obroną jest atak" mówisz: „Chcesz, zapytaj Rycha, czy pożarła Rycha pycha?" To pytam – pożarła?
Wiesz, wszyscy jesteśmy ludźmi, wszyscy do pewnego stopnia jesteśmy odporni na różne rzeczy... Nie stwierdzę jednoznacznie, że tak. Wręcz byłem mocno przekonany o tym, że raczej nie. Myślę, że te słowa bardziej były podyktowane dużą pewnością siebie i odbiciem wszelkich zarzutów wobec mnie pod tym kątem. Bo jeżeli ktoś mówi, że się bujam, to trudno – to przyznam, że się bujam i mam na to wyjebane. Nie będę się kulił w sobie, chował głowy i uciekał wzrokiem. Czy pożarła mnie pycha, o to trzeba spytać raczej ludzi z mojego otoczenia. Tak jak na płycie „Kameleon" Olsen i Fu mówią w jednym kawałku „Co ty o mnie możesz wiedzieć, co?" Sposób tak zwanej kreacji, tego, jak pokazujemy siebie na zewnątrz, naszego wizerunku, nie musi oznaczać tego, jacy naprawdę jesteśmy. Nie zawsze się nam jako muzykom, artystom – choć słowa artysta raczej unikam – udaje do końca przekazać prawdę o samych sobie. Ja jestem prawdziwy w tym, co robię, a to co mówię, uważam za prawdę i zawsze – nawet patrząc z perspektywy czasu – się w tym utwierdzam. Ale zawsze możesz zostać odebrany w różny sposób – ilu ludzi, tyle opinii. Nie, nie jestem pyszny, nie pysznię się. Prawdy o samym sobie dowiaduję się z plotek krążących po mieście, choć nie jest to akurat prawda, jaką ja sam znam o sobie (śmiech).

Wiemy, co myślisz o ludziach, którzy krytykowali Cię za Twoje słowa, że „reprezentujesz biedę", bo dosyć dosadnie odpowiedziałeś im na poprzedniej płycie. Ale z drugiej strony sam w jednym z wersów przyznajesz, że ulica się od Ciebie odwraca. Jak to w końcu jest?
Cały czas jestem przy ulicy, ona mnie nie odrzuciła, a ja też od niej nie uciekam. To, o co pytasz, powiedziałem dlatego, że w pewnym momencie poprzez rzeczy, którymi się zajmuję i przez poziom, na który się wdrapałem, ciężko mi było i jest podtrzymać niektóre znajomości. To przykre, ale w pewnym momencie niektórzy ludzie nie nadążają za Tobą z najprostszych przyczyn: nie wyjedziesz z kimś na wakacje, jeżeli go na to nie stać, jeśli chcesz kogoś zaprosić na bibę, to musisz się liczyć z tym, że to ty stawiasz, a przez to ci ludzie są przez ciebie w kłopotliwej sytuacji. Nie chciałbym zauważyć w pewnym momencie, że ludzi nie stać, żeby się ze mną zadawać, to byłoby przykre. Daję im od siebie tyle, ile mogę, niech oni to potwierdzą. W sumie nikt się nie odwrócił – tylko szuje, którzy nigdy nie mówili mi cześć, a teraz przypominają sobie i jak podbija do mnie jeden z drugim przy barze, to może dostać najwyżej z liścia i kopa w dupę...

Widzisz, powiedziałeś, że „reprezentujesz biedę" i narobiłeś sobie problemów, bo teraz każdy w to wnika i pewnie wnikać będzie. Jak o biedzie może mówić zarobiony raper?
Nie uciekam od stwierdzeń, że jestem zarobiony. Ale ja nikomu w kieszeń nie zaglądam, a sam zarabiam uczciwie. Menedżer klubu przynosi mi pieniądze z bramki, kiedy gram koncert i zarabiam ten hajs, który ludzie sami mi dali. Nie miałem koncertów sponsorowanych przez miasto czy innych tego typu, granych dla przypadkowych, dziwnych ludzi, którzy przyszliby mnie zobaczyć tylko dlatego, że mają to za darmo. Zatem zarabiam uczciwie, bo sprzedaję płyty i gram koncerty i są to jedyne rzeczy, jakimi się zajmuję, nie robię żadnych pobocznych akcji w stylu „zaróbmy na nazwie Peja, zaróbmy na nazwie hip-hop". Zatem wszelkie zarzuty są bezpodstawne, a ja się z nich śmieję i będę śmiał, bo wiem, kim jestem. Wiem, ile lat wspierałem tę muzykę, ile działałem, ile mam kupionych płyt. I muszę mierzyć się z klientami, którzy próbują podjeżdżać i zarzucać mi, że jestem nie w porządku, kiedy oni są o połowę młodsi i na dobrą sprawę są wytworem kultury masowej, pop-kultury, którą my też zaczynamy współtworzyć jako muzycy, którzy opuścili swoją niszę. Hip-hop już przestał być niszą, a możliwe, że zaraz stanie się jednym wielkim gównem i o tym też należy pamiętać, przestrzegać, rozmawiać, bo nasze milczenie byłoby akceptacją tego stanu. A ja nie chcę być w mediach wymieniany w jednym rzędzie z jakimiś popowymi gównami i dinozaurami rocka. Mimo że mamy znaną nazwę, nie korzystamy z tego, chociaż moglibyśmy bardzo wysoko zajść w tak zwanej muzyce rozrywkowej. Byłoby tyle chałtur, że swoje bym pewnie zarobił. A tak naprawdę, to ja nie wiem, co będzie jutro i cały czas muszę dbać o swoje, bo wiem, że to nie będzie trwało wiecznie, nie będę z tego żył do końca życia, bo nigdy się nie wstrzelę w ten przedział z Marylą Rodowicz. Może inni tak, ale ja będę cały czas walczyć o szacunek środowiska i tylko to środowisko będzie mnie weryfikować, czy dokonuję rozsądnych wyborów, czy też nie. Nawet wydanie takiej składanki jest teraz wątpliwe, bo nasza młodzież jest bardzo ograniczona – kiedy na przykład czytam, że Fat Joe jest do dupy, bo nagrał z Rickym Martinem, to śmiać mi się chce. To świadczy tylko o braku wiedzy muzycznej. Jest ciężko na rynku, ale nie rozmienię się na drobne nawet mimo tego, że nie chciałbym schodzić z tego levelu, na którym się znalazłem. Bo można zakosztować takiego życia ponad stan i pobawić się troszeczkę, pomyśleć tylko i wyłącznie o sobie, ale wywodzę się z takiego syfu, że kiedy hip-hop zejdzie do podziemia, a ja zejdę z poziomu, to nie dostanę przez to na głowę, nie zwariuję. Wiem, jak miałem kiedyś – może być tylko lepiej, ja nie mam prawa narzekać. Wiem też, jak ludzie żyją i byłoby świętokradztwem mówić, że jest mi ciężko. Fakt, jest ciężko utrzymać się z muzyki, ale ja i tak mówię tu o kwotach, które normalnemu, szaremu człowiekowi się po prostu nie śnią. Taka jest prawda.

A propos Twojego podejścia do rapu i hip-hopu w ogóle, to O.S.T.R. wymienili Cię jako jedną z osób w Polsce, wobec których jest pewien, że będą walczyć o tę kulturę, które mają na tym punkcie największą korbę.
Miło mi słyszeć, że coś takiego padło z ust człowieka, którego też bardzo szanuję. Właśnie jego nowa płyta jest przypomnieniem prawdziwego hip-hopu, jego esencją. Na mojej następnej studyjnej płycie akurat tego nie znajdziecie, bo tam będzie „lifestyle of the rich", zabawa, chwilówki, bo musi też być taki okres. Nie będę rapował cały czas tylko o rzeczach szarych i przy-

gnębiających, chociaż nie odszedłem od tej konwencji i będą tam też tematy społeczne, typowo podwórkowe. Ale też te o kobietach, o imprezach, bo nie jestem klientem, który nigdzie nie wychodzi i nie liznął życia, przecież „jakie życie, taki rap" i cały czas trzymam się tej dewizy. A co do hip-hopu – cały czas podkreślam, że nie da rady chować się tylko na tym, co wychodzi w Polsce, bo wtedy nie będziemy mieli porównania, na jakim nasi twórcy są poziomie. Nie wychwycimy całej esencji, nie wiedząc, co działo się i dzieje za oceanem. Jestem za tym, żeby słuchać każdego hip-hopu. Jeśli dzieciaki uważają, że polski hip-hop jest dobry, to jest to dla nas nobilitacją, ale mam świadomość, że często wychodzi to po prostu z niewiedzy. Nie chcę być tutaj trującym trzydziestolatkiem, żeby dzieciaki cały czas namawiać: sięgnijcie po starsze rzeczy, dowiedzcie się, kim był Jam Master Jay, kim był Big Pun, kim był Big L. Dopóki w każdym mieście będą ludzie tacy jak Ostry, którzy nie pozwolą zapomnieć o tym, co jest ważne w hip-hopie i będą dbać o świadomość i rozwój, to wszystko będzie szło powoli w dobrym kierunku. Ja swoją postawą też nie chciałbym przyczynić się do myślenia na skróty przez ludzi. Mam w swoim dorobku rzeczy takie jak „Prawdziwe czy nie?" z płyty „Całkiem nowe oblicze", „Nie-kocham hip hop" z „Na legalu?" – to tematy rzadko poruszane na polskiej scenie, bo najczęściej poruszają je undergroundowe składy, które wytykają wady tym bardziej utytułowanym, co nie znaczy zdolniejszym emcees, których już zaistnieli i nadpsuł ich smak sukcesu. A ja jestem jednym z nich, jestem zepsutym skurwysynem (śmiech).

Wpadł mi w ręce jakoś ostatnio wywiad z Big Cycem. Skiba mówi tam o hip-hopie jako o „Wujku Dobra Rada". Uważasz, że słusznie?

Skiba niech zostanie przy swoich rzeczach, a całość niech weryfikuje środowisko i ludzie, którzy tego słuchają. Opinie na ten temat są podzielone. Są raperzy, którzy udzielają rad, mają poczucie misji i wierzą, że przez to dzieciaki będą mądrzejsze. Nie piętnuję tego, ale sam nie staram się do tego stopnia udzielać rad, żebym sam mógł być nazwany tym „Wujkiem Dobra Rada". Ja tyle jeszcze nie wiem o życiu i o świecie, że ograniczam się do tego, co wiem, nie silę się na moralizatorstwo, dydaktyzm. Mówi się, że to smutny rap i nie zawsze ludzie tego chcą. Te rady się już powielają, wypaczają, tracą swoje rzeczywiste znaczenie, tracą na wartości przez to, że wielu emce brnie dalej w ten nurt i bezmyślnie to powiela. Przez osoby z zewnątrz postrzegane to może być w krzywym zwierciadle i dlatego Skiba mógł odnieść takie wrażenie. Dlatego dbajmy o indywidualność i pamiętajmy, co jest dla nas ważne. Jeżeli chcemy być uznawani, szanowani i tolerowani, powinniśmy też tolerować to, co robią inni. Nie musimy się z tym zgadzać, możemy o tym głośno mówić, ale jeżeli treść jest dobra i forma jest w porządku i ludzie chcą tego słuchać, to ja się nie będę tego czepiał. Ja robię swoje i ci ludzie robią swoje. Jeżeli dzieciaki wyniosą z tego coś dobrego, to tylko należy się z tego cieszyć. Ja czasem kładę nieodpowiedzialne teksty podyktowane atmosferą chwili i też za to odpowiadam. Ale wolałbym być skrytykowany za palnięcie głupoty, niż dojść do wniosku, że moje rady nie sprawdziły się w praktyce.

Może teraz pytanie o nadchodzącą składankę. Dobrze myślę, że pomysł na jej wydanie przyszedł Ci do głowy mniej więcej w tym czasie, co sam kawałek „Fturując"?

Nie. Kawałek ten opiera się na dobrym pomyśle. Realizacyjnie nie wyszedł do końca tak, jak miał, bo na przykład dopowiedzi pan Magiera zgubił i nie mogę go słuchać do dziś. Zrobiłbym go inaczej, nie powinienem mówić, że jest słaby, ale jestem niepocieszony z efektu końcowego. Tak bywa, że niektórzy ludzie nie traktują w sposób profesjonalny swoich powinności, panie Tomku! Pozdrawiam przy okazji. Natomiast, co do płyty, to nie chciałem robić składanki „best of". Pomyślałem o kawałkach, które gdzieś utknęły, bo na przykład dana płyta nie miała mocnej sprzedaży czy artysta promował się innymi kawałkami. Zależy mi na robieniu takich kawałków na inne płyty, ale pomyślałem, żeby mieć je wszystkie w jednym miejscu, fajnie mieć coś takiego dla siebie. Są niepublikowane remiksy Ski Składu, dwa kawałki, które nagrałem wcześniej na znakomitych bitach DJ'a Zela z Elbląga i które w ogóle nie ujrzały światła dziennego, kawałek z „Kodexu" czy featuringi z Włodim albo z Trzecim Wymiarem – to jest ambitna pozycja, nie będę się jej wstydził. Pokazuję, że robiłem coś między 2003 a 2005 rokiem, bo ludzie mnie pytali już w wywiadach, co się wtedy działo. A ja mówię, jak to, co się działo? Zagrałem trzysta koncertów i nagrałem sporo materiału. W trakcie kompilowania składanki stwierdziłem, że tytuł musi oddawać jej charakter i pożyczyłem ze wspomnianego kawałka. A czy płyta znajdzie odbiorcę, to czas pokaże.

A nie boisz się, że będą zarzuty, że wydajesz płytę z większości znanymi kawałkami, które już były publikowane, tylko po to, żeby zbić hajs?

Na pewno nastawiam się na to, że ktoś tę płytę kupi, ale tantiemy wypłacane wytwórniom, artystom – musieliśmy to odkupić za swoje środki, więc nie będzie z tego kokosów. Ja się nie zamierzam z tego tłumaczyć i zastanawiać, czy ktoś w to uwierzy. Po prostu skalkulujcie, ilu tam jest wykonawców, producentów, wydawców do opłacenia i potraktujcie to, jak chcecie. Ja przypominam się tym materiałem przed premierą nowej płyty, w środku ją sobie zareklamuję i bardzo mi to pasuje. A że termin wydania składanki jest bliski terminowi wydania płyty – no, cóż, musieliśmy często walczyć z wydawcami o to żeby oddali materiał i to nie za darmo, pomimo, że prawa do niego mamy zarówno my, jak i on, całość kosztowała nas bardzo dużo zdrowia i gdybym miał całą historię zaczynać dzisiaj, to olałbym to. Ale skoro powiedzieliśmy A, to musimy powiedzieć B i być konsekwentni. Obiecaliśmy tę płytę, poszły newsy i ta płyta będzie. Nie traktujcie tej płyty jako nowego albumu Peji. Nie rozumiem tylko, dlaczego rzeczy dodatkowe, poboczne, których powinno być więcej i powinny cieszyć prawdziwego fana, mogą źle świadczyć o wykonawcy i wiązać się od razu z hajsem. Przecież zresztą każda płyta jest wydawana z myślą o zarobieniu pieniędzy, przyjmijcie to do wiadomości. O mojej następnej płycie też tak będą mówić – że o dupach, o zabawie i zrobiona dla hajsu. A ile można mówić o tym, że się kocha hip-hop, że się siedzi i słucha oldschoolowych kawałków, że się szanuje podziemie. Ja już tracę poczucie potrzeby mówienia tego, bo to i tak nie dociera do ludzi.

Zanim zadam następne pytanie, powiedz, częściej się uśmiechasz czy wkurwiasz?

Jeżeli jestem zdystansowany – a zdarza mi się – to się uśmiecham. Wkurwiam się na chwilę, bo nie będę przenosił do domu i w moje środowisko rzeczy, które mogą mnie toczyć jak rak. A ja chcę żyć, chcę być szczęśliwy, chcę mieć fajne życie według własnych przekonań i założeń. Wiadomo, że widać więcej złego niż dobrego i dlatego o tych złych rzeczach my Polacy zawsze mówimy. A życie tak naprawdę jest zajebiste, tylko trzeba zdecydować, co się chce w nim robić. Ja małymi środkami, często nie mając nic, nalepiając plakaty na mąkę, robiłem imprezy i cieszyłem się, dawało mi to niesamowitego kopa i nadzieję na lepsze jutro. Już nawet wtedy nie miałem powodów do narzekań. Myślę, że trzeba się uśmiechać. Bez poczucia humoru i pozytywnego nastawienia człowiekowi szybko się odechciewa żyć. Nie można się przygnębiać, za dużo myśleć o problemach, choć i uciekać od nich też nie wolno.

Zapytałem, bo czasem mówisz, że masz w sobie dużo nienawiści. Do czego lub do kogo jest ona głównie skierowana?

Do siebie, do świata. O tym mówię w „Odpale", kawałku na nową płytę. Jesteś nieraz tak naładowany, że musisz to jakoś odreagować. Ja staram się być spokojny i jak się napiję, to nie ma tak, że idę coś rozwalić czy usunąć kogoś ze swojej drogi, chociaż nie powiem, żeby nie bywało... Czasem na przykład potańczę komuś na dachu samochodu przed blokiem, bo włączy mi się zwariowany matołat. Bywa, że wszystko mnie wkurwia: sytuacja w kraju, to, że ludzie się staczają. Może jestem za blisko tego wszystkiego i się za bardzo przejmuję. Przejmuję się też wszystkim, co bezpośrednio mnie dotyczy. Projekty, które są blokowane, moja niemożność zrealizowania czegoś przez ograniczone środki finansowe – pomimo że jestem uważany za osobę zamożną, to też nie uważam się za nadzianego, żeby wpierdalać całą kasę np. w teledysk i potem się jeszcze zastanawiać, czy ktoś go zechce wyemitować. Napięcie towarzyszy mi w całym moim życiu. Mówię o tym wszystkim w kawałku „Sex, dragi, rap", że możesz sobie to tłumaczyć w ten sposób, że mama mnie nie przytulała, jak byłem mały. Także mam w sobie spory potencjał zła i nienawiści i uważam się za złego człowieka, chociaż ludzie, którzy są przy mnie, mówią, że nie mam racji i mam dobre serce. W każdym razie, zło, które ja wyrządzam komuś, odbija się też na mojej psychice i też cierpię. To nie jest tak, że ja komuś pocisnę, skłócę się z kimś, wyrzucę go ze swojego środowiska, skończę znajomość z kobietą, która oddałaby mi wszystko i mam na to wyjebane. Jest to jakaś odrobina człowieczeństwa we mnie. W ten sposób się pocieszam.

No właśnie, konflikty. Słyniesz z niewyparzonego języka, z tego, że mówisz, kiedy coś Ci nie pasuje. Często słyszy się, że Peja jest z kimś skonfliktowany. Z czego to się bierze? Masz pecha do ludzi?

Wiesz, za każdym razem trafiają się jacyś chujograjce. Kiedy ktoś do mnie coś mówi, ja uważam, że mówi prawdę. Potem wychodzą z tego takie rzeczy, że nie możesz na niego patrzeć, a najchętniej, to zajebałbyś mu w mordę. Ja tak działam. Nie lubię podawać rąk ludziom, których nie szanuję. Dlatego wiele rzeczy nie wypala, wiele projektów, wiele historii medialnych, bo ci ludzie nie mają odpowiedniego podejścia. Wiesz, my nie jesteśmy jakąś zamkniętą enklawą, że nikomu nie ufamy i chodzimy cały czas nabuzowani. Jeżeli grasz w chuja, to nie spodziewaj się, że my to zaakceptujemy. Jeżeli ludzie chcą się z nami zadawać tylko dlatego, żeby osiągnąć jakiekolwiek korzyści, my to wyczujemy i nie pogodzimy się z tym. Ja nie będę się godził z tym, że będę miał wokół siebie wielu ludzi tylko, dlatego, że mam wyrobioną jakąś tam markę czy że dobrze się kojarzę. Takich chujów będziemy gnać tak długo, aż ich wszystkich wytłuczemy. Jesteśmy szczerzy i otwarci. Ludzie, którzy z nami pracowali przy kawałkach, które skompilowałem na „Fturując", mogą się na ten temat wypowiedzieć i ja się nie będę tego obawiał, bo nikomu z nich nie zrobiłem krzywdy. Ale jest pełno ciot, które gadają za plecami, a świat rapowy jest tak zepsuty i nastawiony na plotki, że aż nie idzie. I wszędzie hajs, ludziom błyszczą się oczy, a ja już tym rzygam, nie mogę na to patrzeć. I stąd konflikty. Dużo rzeczy jest podyktowane emocjami, ale myślę, że pierwsza reakcja jest najprawdziwsza. Trzeba być konsekwentnym. Nigdy nie żałowałem tego, co powiedziałem. Chyba, że w stosunku do człowieka zaprzyjaźnionego, z którym łączą mnie silne więzy – wtedy wiadomo, że pożałuję i przeproszę. Tak naprawdę, to te konflikty biorą się z dupy, tak ci powiem. Po prostu mówimy to, co myślimy, a oni są zesrani. Bo będę mówił „oni", żeby nie wnikać w szczegóły.

A kiedy mówisz „my", to, kogo masz na myśli?

Nie tylko Decksa, ale ogólnie naszych ludzi, nawet niekoniecznie związanych z hip-hopem, z którymi mamy jeden schemat myślowy.

Rozumiem. Może opisz jednak jakiś przykład konfliktu.

Tyczy się to na przykład raperów z miasta Poznań i okolic, z którymi kiedyś współpracowaliśmy, a którzy nigdy nie byli naszymi kolegami i nigdy od nich niczego nie potrzebowałem. Wypromowaliśmy ich zapraszając na kawałek, a z tego urodziła się legenda, że powstanie jakiś elitarny skład pod nazwą All Stars. Ale taki pomysł powstał w ich głowach, oni tym się promowali, że byli na kawałku z Decksem i Peją. Czytałem wywiad z Guralem, który mówił, że ten skład nie miał szansy zaistnieć, bo po prostu nie było tam więzi koleżeńskich i trafił w sedno. On wiedział to nawet bez jakiejś szerszej styczności z tym projektem. Konflikt między jego PDG i „naszym" All Stars to bzdura. Ktoś wymyślił, że mam ekipę, bo na tym kawałku z nimi skomentowałem sytuację z Guralem na końcu zwrotki i zostało to źle odebrane. Nigdy nie byłem żadnych ich mentorem, nagrałem z nimi jedną rzecz, potem jeszcze byłem na płycie Owala, na płycie Hansa i powiedziałem basta.

Zrobiłbyś to jeszcze raz?

Nie. Wszyscy są chuja warci.

Kariera Foxy Brown do pewnego momentu wyglądała jak z bajki. Błyskawicznie osiągnięta popularność, sława, pieniądze, znajomości i dobre kontakty z najgorętszymi w hip-hopowej branży. Single na najwyższej rotacji, okładki wysokonakładowych magazynów, obecność we wszystkich kronikach towarzyskich. Jak to wygląda na teraz? Boleśnie. Księżniczka jest głucha i w przeddzień wydania nowego albumu więcej się mówi o jej zdrowiu niż formie muzycznej

tekst Andrzej Cała („Machina")

O 26-letniej Foxy Brown (właśc. Inga Marchand, ur. na Brooklynie w Nowym Jorku) mówiło się zawsze dużo, najczęściej pikantnie, a i bardzo krytycznych, jadowitych głosów nigdy nie brakowało. Na scenę hip-hopową wkroczyła bardzo przebojowo. W tajniki biznesu wprowadzał ją Kid Capri (nie dziwota to – łączą ich bliskie koneksje rodzinne), przez co już jako nastolatka poznała wielu najważniejszych graczy nowojorskiej sceny, a przede wszystkim mając zaledwie piętnaście lat zadebiutowała na płycie LL Cool J'a. Aha – jeszcze tytułem wstępu. Dlaczego Foxy Brown? „Jako młoda dziewczynka byłam fanką filmów blaxploitation. Nad moim łóżkiem wisiał plakat Pam Grier (ikona tego rodzaju kina, uznawana wielokrotnie za najważniejszą afro-amerykańską aktorkę w historii – przyp. red.), którą podziwiałam. Właśnie postać Foxy Brown, w jaką wcieliła się w jednym z filmów, stanowiła dla mnie inspirację". Dodatkowo, nie wiem, czy uwierzycie, ale jako nastolatka Inga przyjaźniła się z... Lil' Kim. Panienki razem snuły wizje podbicia rapowej sceny, co im się zresztą udało. Tyle że w międzyczasie jedna ukradła drugiej flow, druga pierwszej faceta (a może się nimi tylko wymieniały?), no i było trochę jak w kawale o tym, jak to siedziały w jednym pokoju blondynki, pięknie i uroczo się bawiły, dopóki nie przyszła brunetka zabierając im klocki. Tutaj zamiast brunetki rolę ciemnego charakteru przejęło magiczne słowo „sława" i to wszystko, co z nim związane. A że dziewczynki lubią błyskotki, drogie ubranka, modne dodatki, luksusowy tryb życia i chciały to zdobyć same, a nie będąc jedynie dupą na utrzymaniu jakiegoś ustawionego typa, ich drogi się rozeszły.

Czy Foxy wykazywała się specjalnym talentem? To kwestia co najmniej dyskusyjna. Nie jest tajemnicą, że Inga Marchand nie pisała sobie tekstów, najczęściej prosząc o taką przysługę Jaya-Z. Nie do podważenia jest też fakt, że gdy okazało się, iż to Lil' Kim ma więcej fanów i większy szacunek w rapowym środowisku, Foxy po prostu „pożyczyła" sobie jej flow. Całe to prześciganie się w image'u „the hottest hip-hop bitch" też bawiło tylko przez chwilę. Szczególnie, że obu paniom do miana pięknych dam trochę brakuje. Chociażby kilku centymetrów więcej i kilku kilogramów mniej.

Z drugiej jednak strony patrząc... Brown mając niespełna 15 lat wygrała jeden z contestów Lyricist Lounge, a to budzi tylko jedno skojarzenie i kluczowy termin – „szacunek". Jej debiutancki album „Ill Na Na" (listopad 1996) to naprawdę bardzo przyzwoity nowojorski mainstream. Gościnne udziały Method Mana, Jaya-Z, Mobb Deepów czy artystów związanych ze sceną r&b zapewniły dużo tłustego, imprezowego towaru, który nawet dziś może rozgrzać temperaturę niejednego party. Hiciory „I'll Be" czy „Get Me Home" wyciągnęły płytę aż na 7. lokatę listy Billboardu, a sprzedaż rzędu 1,5 miliona sztuk była jednym z najlepszych wyników Def Jamu w tamtym okresie. Nie ukrywajmy – Foxy była wtedy naprawdę gorąca, jako siedemnastolatka podbiła scenę i... chyba nie umiała do końca trzeźwo do tego podejść. Facetów zmieniała jak rękawiczki, nie kryjąc tego zanadto. Koniec swoich związków komentowała krótko: „By znaleźć księcia, musisz pocałować też trochę ropuch". Jedną z nich okazał się... Nas.

Foxy Brown była przez pewien czas protegowaną Jaya-Z. Zapewne też kochanką, co się tu oszukiwać. Nie przeszkodziło jej to jednak spotykać się też z Nasem, który zafascynowany jej umiejętnościami i urodą włączył raperkę do składu The Firm. Z perspektywy czasu chyba wszyscy tego żałują. Płyta The Firm okazała się niewypałem, a forma Foxy, pozbawionej pomocy Jaya-Z, bladła z tygodnia na tydzień. Inga próbowała to ratować zamawiając u Cartera kilka tekstów na swoje drugie solo i prosząc go o pomoc przy produkcji krążka „Chyna Doll". Co z tego wyszło? Lepiej nie mówić. Niech was nie zmyli 800 tysięcy sprzedanych płyt i 1. miejsce Billboardu. To album tragiczny. Nawet nie tragikomiczny, bo śmieszy tylko przez kilka pierwszych minut, później wołając o pomstę do nieba. Foxy na nim skrzeczy, próbując połączyć swój styl z pierwszej płyty i flow Lil' Kim. Nie wyrabia się z rapowaniem, jakby nie nadążając czytać tekstów z kartki. I nawet mocno prowokująca okładka to niewypał, bo zdradza jedynie, że Brown nogi ma krótkie i ciut koślawe. Wpadunia, oj wpadunia!

Biust ma za to wybitnie udany. Eksponując go mocno w klipie do raggującego „Oh Yeah" przerwała ciszę i powróciła swoją trzecią płytą. Wakacyjny hicior sprawdził się doskonale, umilając wielu osobom lato 2001 r. Co zaś do całej płyty „Broken Silence"... Udało jej się, naprawdę. Pomogli Neptunsi, DJ Clue?, ale przede wszystkim to, że sięgnęła po karaibskie i jamajskie rytmy, no i... tak, tak – sama napisała teksty! Może nie wszystkie wysokich lotów, za to pełne osobistych refleksji, pasji, ciekawych przemyśleń. Lisiczka postawiła dużo na jedną kartę. Wygrała, zyskując coś dużo ważniejszego dla artysty niż kasa czy notowania listy przebojów – szacunek i uznanie.

Jak to w życiu bywa – łatwiej dostać się na szczyt, niż się na nim utrzymać. Co najsmutniejsze, w jej przypadku powodem spadku nie było wcale artystyczne fochowanie. Najpierw ktoś wykradł i puścił jako bootleg jej album „Ill Na Na 2: The Fever" z 2003 r. Def Jam nie zdecydował się go puścić legalnie, bojąc się klapy finansowej. W podobnym czasie Inga Marchand zaczęła głuchnąć. Ujawniono to dopiero w maju 2005 r. Wirusowa choroba narządu słuchu nie bierze się jednak tak ot, znikąd. W dodatku mocno nadwyręża psychikę, doprowadzając chorego do ostrych stanów nerwowych i pobudzając agresję. Nie tłumaczy to oczywiście wszystkich głupot, jakich Foxy dopuściła się w ostatnich lat (pobicia, obraza sądu, kłótnie i obrażanie się na pół świata), ale po części je usprawiedliwia.

Niebawem usłyszymy pierwszy album nagrany przez Foxy już dla Roc-A-Fella. Do pewnego stopnia historia zatoczyła koło i Brown wróciła do obozu swojego rapowego mentora. Kilka kawałków z albumu „Black Roses", jakie wyciekły do sieci, zdradza wysoką formę raperki z Brooklynu. Ponoć od razu po wydaniu płyty Inga Marchand ma się poddać operacji i terapii, dzięki której może wrócić w pełni do zdrowia. Życzymy jej tego z całego serca. Może w końcu znajdzie swojego księcia i w spokoju skoncentruje na muzyce, bo tak naprawdę wszystko jeszcze przed nią. W końcu ma dopiero 26 lat, a już dosyć pokaźny bagaż doświadczeń za sobą.



foxy brown

„By znaleźć księcia, musisz pocałować też trochę ropuch"

Jeden z najbardziej płodnych członków legendarnego Wu-Tang Clanu powraca ze swoją piątą już solową płytą. Podczas gdy jego „Fishscale" zbiera wszędzie pozytywne recenzje, my przyjrzyjmy się, jakimi to atrybutami posługiwał się ten raper na przestrzeni swej kariery. Oto przybornik Ghostface Killah

tekst Grabiszczy

POŃCZOCHA

Jeśli komuś przyszło do głowy, że Ghost jest być może skrytym transwestytą, to spudłował. Chodzi natomiast o to, że ów pożyteczny rekwizyt przydał się raperowi choćby przy okazji sesji zdjęciowej do debiutanckiej płyty Wu-Tang Clanu „Enter The Wu-Tang (36 Chambers)". Jako że Dennis Coles był rzekomo akurat poszukiwany listem gończym, trudno mu się dziwić, że przywdział na głowę pończochę. Generalnie sprawa z policją jest tylko niepotwierdzoną plotką, ale fakt pozostaje faktem – w początkowej fazie swej kariery, która jeszcze wówczas nie była na dobrą sprawę karierą – Ghost ukrywał twarz przed szerszą publiką. Choć z drugiej strony mogło to być równie dobrze po prostu sprytne nawiązanie do pseudonimu rapera, który ten pożyczył z kolei od głównej postaci hongkońskiego filmu „Ninja Checkmate" z 1979 roku, Ghost Face Killera. A jeśli już u zarania sławy GFK jesteśmy, to warto przypomnieć, że to właśnie jego zwrotka rozpoczyna pierwszy album Wu-Tangu. Z perspektywy czasu można to odczytać jako symbol. Wszak to właśnie Ghost jest dziś uważany za czołowego emce z grona WTC, jego solowe płyty zbierają najlepsze recenzje i to on obdarzany jest największym szacunkiem przez środowisko hip-hopowe na całym świecie. Aha, noszenie pończochy GFK zarzucił, kiedy tylko przestały na nim ciążyć zarzuty, więc dziś już nie ujrzycie go w takim przebraniu.



ZBROJA

Inną inspiracją dla nomenklatury używanej przez członka Wu-Tangu stał się komiks „Iron Man". Nie tylko nazwał on po nim swój debiutancki solowy album, ale i zaczerpnął stamtąd bardzo często używaną przez siebie alternatywną ksywkę, Tony Starks. Niezorientowanym wyjaśnię, o co chodzi. Otóż komiks opiera się na następującym pomyśle: genialnemu wynalazcy i miliarderowi Tony'emu Starkowi grozi po odejściu z biznesu militarnego śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony byłego konkurenta, więc zmuszony jest on w obronie swego życia skonstruować nowoczesną, wciąż udoskonalaną przez siebie zbroję i staje się „Niezwyciężonym Człowiekiem z Żelaza". Co ciekawe, zgodnie z panującą ostatnio modą na tworzenie filmowych wersji komiksów, także i „Iron Man" doczeka się w 2007 roku swej ekranizacji. Nie wiadomo jeszcze, kto w filmie zagra, ale producenci popełniliby błąd nie dając choćby drobnej rólki naszemu bohaterowi. Jeśli zaś nie mają tego w planach, to ktoś powinien im pilnie podesłać klasyczny krążek Ghosta z 1996 roku.

SŁOWNIK

Rekwizyt, bez którego ani rusz, jeśli ktoś chce się zagłębiać w teksty Ghostface'a. Zwariowane gry słowne to cecha charakterystyczna jego stylu – obok wysokiego, podniesionego, często określanego jako „lamentujący" głosu i świetnych storytellingów, których GFK jest mistrzem. Choć w gruncie rzeczy prawda jest taka, że nawet i słownik może czasami okazać się niewystarczający, bo raper lubi tworzyć nowe słowa do tego stopnia, że nawet anglojęzyczni recenzenci jego płyt często czują się zagubieni pod natłokiem neologizmów. „Kiedyś rap polegał na oryginalności i wymyślaniu nowych słów. Teraz mamy Czarnuchów, z których wszyscy używają tych samych wyrażeń, ale ja wywodzę się z ery Slick Ricka i Biz Markiego, kiedy wszyscy musieli brzmieć inaczej", mówi Ghost i już wszystko jasne. Kiedyś emce pisał swoje zwrotki bardzo szybko („For cryin out loud my style is wild so book me / Not long is how long that this rhyme took me" – pamięta jeszcze ktoś „Protect Ya Neck"?), z czasem jednak jego wersy stały się bardziej przemyślane, bardziej złożone, bardziej pokręcone i często przez to bardziej niezrozumiałe po pierwszym przesłuchaniu. Jest to tym ciekawsze, że w bezpośrednich rozmowach Ghostface Killah nie wypada najlepiej i sprawia wrażenie, że sam powinien zajrzeć do słownika...

SZLAFROK

Jakoś tak wyszło, że sporo garderoby nam się tu zebrało. Szlafrok to jednak bardzo ważny atrybut i nijak nie da się go przy charakterystyce GFK pominąć. W końcu Ghostface to także „Pretty Tony", „Śliczny Antoś", koneser kobiecej urody i ulubieniec damskiej części publiczności, na dowód czego fanki uznały go za najprzystojniejszego członka Wu-Tangu. Szlafroki (czy też należałoby rzec „szaty", ale nie przesadzajmy) mają mu dodawać dostojeństwa i oryginalności. Raper zdecydował się nawet wdziać jeden z nich na okładkę płyty „Bulletproof Wallets", a na stronie internetowej artysty jeszcze kiedy powstawał ten tekst, można było wziąć udział w konkursie, w którym do wygrania była oczywiście charakterystyczna część garderoby Ghosta. Spróbujcie, może jeszcze się nie skończył i zyskacie szansę na zdobycie fajowego wdzianka. O szlafrokach jeszcze przeczytacie.

LALKA

To już symbol lekkiego wywożenia Ghosta, który zawsze był pewny siebie i swoich możliwości. Weźmy choćby taki przykładowy cytat: „Gdziekolwiek się nie pojawię, na północy, południu, na zachodzie, Czarnuchy okazują mi miłość, bo szanują mnie jako prawdziwego artystę". Ale do rzeczy – do sprzedaży trafiła mianowicie ekskluzywna figurka rapera, która jest bardziej wylansowana niż sam Olivier Janiak. Jak to możliwe? Wystarczy zawiesić laleczce na szyję kajdan z czternastokaratowego złota, w rękę włożyć kielich wysadzany kryształami od Swarovskiego i oczywiście ubrać w jeden ze szlafroków Ghosta (a nie mówiłem, że jeszcze o nich będzie?), a do tego dodać jej możliwość wypowiadania charakterystycznych dla rapera tekstów. Seria jest limitowana do tysiąca sztuk, a każda figurka mieszka sobie w złoconym pudełeczku. No, tak. Pozostaje jeszcze jedna kwestia: cena. Otóż wynosi ona jedyne pięćset dolarów, zatem może sobie na nią pozwolić praktycznie każde Murzyniątko z getta, które jara się nagraniami GFK...

EHM, WAGA...

I to taka, która służy do ważenia ryb, jakby to wynikało z tytułu ostatniego albumu. Zaraz, coś nie tak? No dobra, wiemy, że Ghostface'owi niezupełnie chodziło o jakąkolwiek wagę, ale czytają nas też nieletni, więc teraz oni zasłaniają sobie kilka następnych linijek, a my już przystępujemy do wyjaśnienia. Otóż „fish scale" to waga do ważenia ryb tylko w sensie dosłownym. Tytuł płyty „Fishscale" oznacza natomiast ni mniej ni więcej tylko najwyższej jakości gatunek kokainy... GFK często porusza w swoich tekstach tematykę narkotyków. Razem z Raekwonem – już na debiutanckiej solówce płycie tego drugiego („Only Built 4 Cuban Linx" z 1995 roku, na której Ghost wydatnie się udzielał, pojawiając się aż w 12 kawałkach) – chłopaki obmyślili sobie image narkotykowych mafiosów i nazwali się „Gambinos" od jednej z pięciu legendarnych rodzin mafijnych kontrolujących zorganizowaną przestępczość w Nowym Jorku. „Pokazaliśmy wszystkim, jak robić ten dealerski, życiowy, czarny rap, wiesz, o co chodzi", tłumaczy Ghostface. Jak widać, raperowi nie przeszła ta zajawka do dzisiaj, co może trochę śmieszyć, bo sam przyznaje, że od dwóch lat nie zapalił nawet marihuany. Dobrze zatem, że cały album jest mądrzejszy od jego tytułu. Małolaci odkrywają teraz końcówkę tekstu i czytają dalej:... i tak właśnie było z tą, ehm, wagą. Koniec.

GHOSTFACE KILLAH



KLASYKA I EKSPERYMENT

PONO

PONO

Najszybciej i najgęściej nawijający Zip wraca z nowym materiałem. W przededniu wydania jego drugiej solowej płyty mamy dla was wywiad. Wrócimy do korzeni, zahaczymy o kwestie społecznie, a przede wszystkim udowodnimy wam, że można być jednocześnie tradycjonalistą i eksperymentatorem

rozmawiał Marcin Flint
foto Mateusz Piekarski / Odnowa

Wydaje się, że jesteś tradycjonalistą, człowiekiem, w którego życiu najbardziej liczy się wiara i rodzina. W muzyce zaś jest wierny klasycznemu brzmieniu.

Tak to wygląda. Jestem starszym koleżką, zaczynaliśmy w 1996-97 roku i „robię rap, taki jak sam posłuchać lubię". W ten deseń. Robię coś, przy czym czuję się dobrze.

Zanim wejdziemy jednak w muzykę, pomęczę Cię o kwestie rodzinne. Pamiętam, kiedy w dodatku „Gazety Wyborczej" byłeś na sesji zdjęciowej z własną matką ubraną zresztą na hip-hopowo...

W „Wysokich obcasach"... Przy redagowaniu ich udzielały się „Dorotki" („Dorotki", czyli członkinie zespołu PareSłów – przyp. red.), więc zadzwoniły do mnie pytając, czy moja mama nie chciałaby uczestniczyć w takim przedsięwzięciu. Zapytałem się mamy, nie wyraziła obiekcji i poszło.

Miło, że dostajesz wsparcie, bo za często słyszy się o przykładach rodziców starających się zawrócić dzieci z hip-hopowej drogi...

Moja mama jest wielką fanką hip-hopu. Śledzi, co się dzieje, a nawet pomaga mi w dobieraniu utworów na single i tak dalej. Odbieram to jako głos rozsądku przy tworzeniu materiału, zdaję się na jej gust, bo gust ma dobry. To wielka pasjonatka muzyki w ogóle, a odkąd robię rap, zwraca na niego uwagę. Naturalna rzecz: chce wiedzieć, co synek wyprawia.

Rap zacząłeś robić jeszcze przed Zip Składem, w tworzonym razem z Sokołem TPWC. Sokół miał barwne życie, często zmieniał miejsce zamieszkania. Jak udało się Wam zgadać na wspólny zespół?

Poznaliśmy się w partyzantce (śmiech). Nie no, wyrzucili go ze szkoły, do której mnie przyjęli. To była szkoła plastyczna imienia fundacji szkolnej. Jakoś zgadaliśmy się, ponieważ obaj chcieliśmy działać. Nasza przyjaźń skupiła się wówczas wokół kartonu i farb, później jakoś to ewoluowało i powstało z tego TPWC. Na siłowni u mojego ojca próbowaliśmy pisać teksty. Nie wiedzieliśmy, co z tego wyjdzie, ale byliśmy ciekawi. Przecięliśmy się więc na płaszczyźnie szkolnej, czysto artystycznej. Spotykaliśmy się z paroma osobami z liceum po nocach, malowaliśmy na jednym kartonie, każdy po czymś (śmiech). Od plastyki do muzyki, twórcza akcja to przecież twórcza akcja.

Robisz coś z rozwojem swojego talentu plastycznego?
Nie, nie... („On go w ogóle nie znalazł", dorzuca siedzący obok producent Fred - przyp. red.). Skupiam się na muzyce i swoim życiu, pozostawiając to najwyżej jako alternatywę na przyszłość, hobby, do którego powrócę.
Z Sokołem zaczynałeś, teraz jest Twoim wydawcą. To ten moment, kiedy relacja czysto przyjacielska staje się biznesowa. Coś się zmieniło?
Podchodzimy do siebie jak dawniej. Faktem jest, że mamy mniej czasu. Sokół mieszka w Śródmieściu, ja na Ursynowie, i to koliduje. Jest zespół, robimy coś wspólnie, zawsze jest czas, żeby przegadać pomysły. Dorastamy, czy może dorośliśmy. Mamy swoje życie, swoją pracę. Nie ma już melanżu na ławce. Przede wszystkim robota.
Sokół wspomniał, że chciałby zrobić coś tylko z Tobą. Jak byś się zapatrywał?
Tak powiedział, bo dużo o tym gadaliśmy. Pomysł się rozwija, ale trzeba znaleźć na niego czas. Póki co, skoncentrowałem się na płycie z Fredem, Sokół zaś koncentruje się na WWO i kalendarzu Prosto. Jeżeli do tego dojdzie, to jak to u nas – na zasadzie czysto spontanicznej historii. Póki co, nie wiemy, jak dojdzie, ale mam nadzieję, że dojdzie.
Non stop podkreślasz, że jesteś Zipem, że masz za sobą swoich ludzi i tak zwany instynkt stadny. To już druga płyta, ale wciąż ciężko uwierzyć w Pono solo...
Tworzę Zip Skład, każdy z nas jest osobowością ze swoimi pomysłami. To kwestia realizacji samego siebie, nie chce mi się siedzieć i nic nie robić. Nie odcinam się, realizuje pomysł. To cała historia.
Kiedyś hardcore'owi raperzy niemal nie kombinowali z formą, techniką składania słów. Dyskutowało się zresztą sporo na ten temat, wiadomo. Zawsze wtedy padał przykład Pono jako ulicznego mc, który przywiązuje jednak wagę do tego, jak słowa się lepią, przeplatają, jak rymy się nawarstwiają i żeby całość płynęła w ciekawy sposób.
Moją zajawką jest robienie czegoś, czego nikt nie zrobił przede mną. Wiadomo, każde słowo zostało już w życiu powiedziane, więc kwestia tylko jak je powiesz. Bardzo istotną sprawą jest treść, każdy utwór ma nieść jakiś przekaz. Nawet kiedy się wydaje o niczym, to coś jest w nim ukryte. W treści jednak potem rzeźbię słowem. Czysta zabawa, technika, przekładanie. Dla mnie to przypomina puzzle: kiedy siadasz z gotowym tekstem, wszystko do siebie pasuje, wszystko ładnie się klei, jest jak ułożony obrazek – wtedy dopiero wiesz, że tekst jest skończony. Każdy ma swoją historię – ja najpierw rozpisuję to, co chcę sobie napisać, potem to ubarwiam: słowa, akcenty i tak dalej. To jest taka moja zajawka.
Na płycie słychać dwa stanowiska. Jedno zakłada, że nie przejmujesz się większością rzeczy, jak mówisz wprost w jednym z kawałków, „pierdolisz to". Z drugiej strony, przyznajesz się, że trudno byłoby robić rap inny niż hardcore'owy, bo za dużo rzeczy Cię wkurwia na tyle, by wypowiadać się o nich w agresywnym tonie.
I tak mi się wydaje, że ostatnia płyta jest w samej formie bardziej „lajtowa" od poprzednich. Przynajmniej muzycznie. Kiedy dziać się będą fajne rzeczy, będziemy rapować, że jest fajnie. Póki co nie jest, a wiarygodność to ważny akcent. Jestem z ulicy, reprezentuję uliczny nurt i zawsze będę do niego nawiązywać. Następną płytę chciałbym uczynić bardziej hardcore'ową w samych beatach, bardziej „streetową". Na tej starałem się wrzucić trochę śpiewanego wokalu, trochę jazzu i stąd współpraca z Fredem, bo taką muzykę robi i taki nurt prezentuje. Świeża ręka odpowiedzialna za muzyczne stonowanie. Podstawę stanowi jednak hardcore i ulica.
Tak, nazwałem Cię tradycjonalistą, ale rzeczywiście – o ile „Hołd" mógł dziwić reggae'owymi akcentami, tutaj jest szczypta jazzu.
Kiedy nagrywałem „Hołd", reggae nie było do końca odkryte. „Tabu" wpisał się w początek nagrywania hybryd w polskim wykonaniu i dla szerszych mas. Reggae mi nie przeszło, co najlepiej pokazuje kawałek z Bilonem pod dancehallowy bicik, ale teraz mam zajawkę na jazz i słychać to na płycie. Zastanawiam się nawet nad specjalną reedycją materiału pod żywe instrumenty jazzowej ekipy. Choć to temat jeszcze otwarty.
Mówisz, że lubisz eksplorować nowe tereny. O ile reggae było nie odkryte, to jazz odmienilo już przez wszystkie przepadki wielu polskich producentów i raperów.
Jazz jest eksploatowany, ale kiedy fascynuje się i inspiruje z pewnymi motywami, to kwestia „czy to było, czy tego nie ma" nie jest zupełnie moją sprawą. Nowatorska jest za to obecność wokalu męskiego i żeńskiego. Waco coraz lepiej daje sobie radę z wokalem. Brzmienie albumu ma być wyrazem mojego buntu wobec elektroniki opanowującej mainstream. Jest obecna w stopniu minimalnym, zależało nam na efekcie żywego bandu. Wszystko było robione na maszynie, ale staraliśmy się, żeby brzmiało jak najbardziej naturalnie.
Część Zipów wyraźnie lubi plastik i poszła w jego stronę. Zdarzają się Wam dyskusje na temat orientacji muzycznej?
Oczywiście, jak najbardziej. Na tym to wszystko polega. Każdy ma inną zajawkę, stąd podział na projekty. Kiedy ja unikam elektroniki, a ktoś inny ma na nią jazdę, to już wiadomo, że kiedy pomysły się gryzą, to nic w tym temacie wspólnie nie zrobimy.
Bardzo dużo słuchaczy czeka na zipskładową dwójkę, a z tego co mówisz, wynika, że trudno będzie o kompromis...
Nie chodzi o niego. Raczej o czas i zmobilizowanie wszystkich do przyjścia do studia. Ciężko to skoordynować i przegadać. Robimy to raczej na zasadzie turowej – najpierw gadamy z tym, potem z tamtym. Jest już konkretna rozmowa i konkretne pomysły. Bliżej tej płyty niż dalej.
Czytelnik będzie czytał i się zastanawiał: Pono ma kontrakt w wytwórni własnego przyjaciela. Ma wsparcie rodziny. Ma kupę przyjaciół. Czemu więc mówi, że jest źle. Czego mu, do cholery, w tym życiu brakuje?
Pieniędzy. Wsparcie jest jak najbardziej: moralne i duchowe. Z rapu nie da się jednak utrzymać, dopadają nas trudy dnia codziennego, trzeba sobie radzić. Rap to zajęcie dodatkowe. Dlatego płyta powstawała tyle czasu – nie było czasu na studio. Wpadałem na dwadzieścia minut, zgrałem kawałek, musiałem lecieć dalej. Trzeba płacić czynsz, a pieniędzy na czynsz nie ma. Nie jest tak lekko jak mogłoby się wydawać. Kolorowo wygląda to w telewizji, w życiu zaś szarówka jak u każdego.
To dobry wstęp do przejścia w kwestie społeczno-polityczne. Sporo ich przecież na płycie... Można na przykład odnieść wrażenie, że sympatyzujesz z antyglobalizmem...
Powiem ci szczerze, że ciężko określić. Wszystko ma swoje plusy i minusy, jeśli zaś chodzi o globalizm, to za mało jest w tym temacie rozpoznany. Wiele rzeczy nurtuje mnie w samym systemie. Na przykład konsumpcja i wkrętka pod tytułem „kupujcie!!!". Kiedy ludzie są biedni i nie mają pieniędzy na życiowe podstawy, wpychane są im zupełnie zbędne akcesoria. „Kup, kup, musisz mieć!"
Z drugiej strony te najnachalniej promujące się wielkie centra prezentujące interesy wielkich korporacji umożliwiają kupowanie podstawowych produktów po znacznie niższych cenach.
To też jest temat dyskusyjny. Te produkty z jakiegoś powodu są tańsze. Z różnych powodów. Wiesz, buntuję się przeciw wielu rzeczom, wiele rzeczy mi nie pasuje, wyrażam się o nich na płycie. Praktycznie tylko o tych, które mi nie pasują (śmiech). Jest źle, jesteśmy głosem pokolenia z określoną siłą przebicia, a rap jest narzędziem. Kto będzie o tym mówić? Polityk nie pójdzie i nie powie tego z mównicy w Sejmie. Dzieciaki to powiedzą. Ja to powiem.
Wraca też kwestia policji. Kolejny raz. Oczywiście można zrozumieć dlaczego, ale jak to rozwiązać? Powołać kolejnych drogich urzędników do nadzoru?
Staraliśmy się to ująć z Bilonem z zupełnie innej strony. Nie, że kolejne dojeżdżanie, „HWDP" i tak dalej. Postawienie zarzutów, atak dojrzały, który postawi ich pod ścianą i nie będzie im ubliżać, ale powie, o co nam chodzi.
No właśnie, ale co zrobisz? Nie ściągniesz intelektualistów do policji.
Co mogę zrobić? Mogę tylko protestować! Im więcej ludzi za tym pójdzie, tym większa będzie siłą protestu przeciw całej akcji z policją, nadużywania władzy i tak dalej. Tego nie widać na ulicach, jeśli tylko się po nich chodzi. Ale gdyby ludzie weszli w bramę i zobaczyli, co się dzieje głębiej na podwórkach, na których dzieciaki nie mają co ze sobą zrobić i są lane przez policję... Gdyby weszli, to by zauważyli i coś z tym zrobili, ale de facto nie wchodzą, więc trzeba im o tym powiedzieć.
Mówicie na albumie, że żyjemy w kraju, w którym rządzi polityka strachu. Ale i tak wolności mamy sporo. Pomyśl, co się dzieje w Stanach, gdzie po sprawie z „dwoma wieżami" ludzie dobrowolnie zrezygnowali z części wolności, by czuć się bezpieczniej. Są podsłuchiwani, monitorowani, trzepani.
Nie byłem w Stanach, Fred musiałby odpowiedzieć. Każdy ma prawo wyboru. Póki co, nie odczuliśmy jeszcze wolności maksymalnej, żeby z niej rezygnować. Na razie trzeba o nią walczyć. Niby jest, ale brak wszystkiemu poukładania, wyzwolenia się z chaosu. To wolność w cudzysłowiu, czego najlepiej dowodzi przykład marihuany. Kiedy jest wolność, nie ma prawa czepiania się ciebie za nic.
Marihuana... Dla rastafarian to świętość.
W takim razie jestem rastafarianinem (śmiech).
Więc właśnie. Mówisz o niej często i z dużym entuzjazmem. Masz jakąś ideologię z tym związaną?
W tym momencie jestem na etapie walczenia z nałogiem, ale oczywiście, że tak. Mam podejście takie, że gdyby nie marihuana, nie zacząłbym robić rapu. Siedziałbym w biurze i nie wpadł nawet na pomysł, żeby pisać rap. Marihuana ukształtowała mnie jako wykonawcę hip-hopowego. Zmieniła mój tok myślenia. Pobudza wyobraźnię, otwieram się na niektóre rzeczy, zyskuję umiejętność opisania innych. To moja osobista jazda. Wolę zapalić jointa, niż nachlać się wódy, a najbardziej denerwuje mnie brak swobody wyboru. Mogę się upić, a nie mogę się upalić?
Upalenie rozleniwia...
To zależy od osoby i tego, jak reaguje jej organizm. Jednego pobudza, drugiego przymula. Zależy też od marihuany samej w sobie. Wszystko jest dla ludzi z głową. Jeżeli ci nie służy – to ogranicz, nie masz z tym problemu – rób, co chcesz, twoja sprawa.
Na koniec zapytam Freda, czy nie ma problemów, ale nie z marihuaną, a przy okazji współpracy z Tobą.
Fred: Proszę cię! (śmiech) Myślę, że jest tak jak z każdą osobą, która ma pojęcie o tym, co robi i mniemanie, że robi to dobrze. Rafał na pewno tak ma. Na szczęście mi podobają się jego rzeczy. Czasami jest ciężko, nic nie wychodzi tak od razu. Robimy tę płytę razem z Wacem, który też wiele rzeczy umie...
Pono: I też ma ciężki charakter...
Fred: Czasami jest trudno zebrać trzy głosy.
Pono: Czasami jest jak na froncie (śmiech).
Fred: Nikt nie liczył na łatwą współpracę. Łatwo to sobie można pograć w bierki. Jednak do końca dogadaliśmy to bez mordobicia. Płyta wyszła fajnie, lubię ją, jest OK. Przy następnych projektach będziemy brali się pod uwagę na pewno.



ALKALINE TRIO

bractwo serc z drutu kolczastego



Są tacy, którzy zarzucają piosenkom Alkaline Trio monotematyczność. Zarzut to o tyle słuszny, że gros utworów ekipy z Chicago traktuje o rozdrapywaniu niezagojonych ran po miłosnych rozczarowaniach. O ile jednak większość przepełnionych żalem love songów przywołuje piękne chwile spędzone z ex-sympatią, tak Alkaline Trio jest raczej skłonne wyrazić życzenie, by padła ona trupem przejechana przez ciężarówkę

tekst Sebastian Rerak

„Jestem jak złamana płyta / Rysuje mnie igła / Wstrzykuję dożylnie alkoholową truciznę / Nie obwiniam cię za to, że odeszłaś" – śpiewa Matt Skiba, wokalista Alkaline Trio w piosence „This Could Be Love". W ramach terapii po miłosnym zawodzie domaga się, by była dziewczyna poderżnęła mu krtań i babrała się w jego krwi. To właśnie Alkaline Trio, mistrzowie makabrycznych historii o sercach złamanych i wdeptanych w ziemię przez złe kobiety. „Wszystkie wielkie piosenki w historii opowiadają o złamanych sercach" – zapewnia Skiba. „Mogę stwierdzić z przekonaniem, że nie ma nic lepszego niż dobry utwór o miłosnym rozczarowaniu, ponieważ opowiada o emocjach, z jakimi łatwo się identyfikować, uczuciach wspólnych dla wszystkich".

Ze swoimi tekstami o miłości i śmierci Skiba wydaje się punkowo-zadziorną wersją Leonarda Cohena. Niby romantyk i wrażliwa dusza, ale z niebezpiecznie wysokim współczynnikiem agresji i samopoczuciem wahającym się między melancholią a raptowną neurastenią. Być może, gdyby nie grał w zespole, spędzałby czas na kozetce, zwierzając się psychoanalitykowi z czarnych myśli i obsesji śmierci. Szczęśliwie Alkaline Trio gwarantuje odreagowanie, niekoniecznie jednak zachowanie zdrowia psychicznego. „Nie chcę łazić przygnębiony przez cały czas, a tak by zapewne było, gdybym nie mógł wyjść każdego wieczora na scenę i wykrzyczeć tego z siebie. Mogę zrzucić ciężar z piersi i już więcej o nim nie myśleć. W pewien sposób to terapeutyczne doświadczenie" – wyznaje Matt.

Alkaline Trio rozpoczęło kolejne stadium wspomnianej terapii. Album „Crimson", piąta produkcja zespołu, ma przynieść antidotum wszystkim cierpiącym z powodu umęczonej duszy. Chicagowscy punkersi znów wybrali się na rekonesans po mrocznych zaułkach umysłu i ciemnych kwartałach serca. Pławią się w najczarniejszej makabrze z autoironicznym zacięciem i nawet na zdjęciach wyglądają jak pracownicy kostnicy. Ze sztafażem wesołkostwa a la NOFX na pewno nie byłoby im do twarzy. Matt Skiba (gitara, głos), Daniel Andriano (bas) i Derek Grant (bębny) doskonale zdają sobie sprawę z tego, że z ich dramatycznymi doświadczeniami mogą utożsamiać się słuchacze. Skiba: „To smutne, ale emocje, które ludzie przeżywają, gdy są samotni, są dosyć powszechne. Myślę, że kiedy mówisz o tych sprawach, a inni cię słuchają i podzielają twoje zdanie, to dajesz im pewną nadzieję. Przynajmniej wiedzą, że nie są jedynymi, którzy tak czują".

Wokalista zdaje sobie sprawę z wagi swoich słów. Dzięki muzyce nie musi realizować wyrażanych w swoich piosenkach zamierzeń, takich jak skok z okna wieżowca. Co jednak z tymi, którzy są bliscy wprowadzenia w życie podobnych pomysłów? To z myślą o nich powstała specjalna interwencyjna linia telefoniczna 1-800-SUICIDE. Alkaline Trio wsparło tę inicjatywę serią benefitowych koncertów. Bo choć makabreski zespołu mogą wydawać się niepoważne, to sami muzycy traktują to, co robią, bardzo serio. „Istnieje konkretny powód, dla którego gramy taki rodzaj muzyki" – zapewnia Matt. „Pokazujemy dzieciakom nieco mroczniejszą stronę punk rocka. To odróżnia nas od zespołów śpiewających o spacerach po deptaku i gumie do żucia."

Alkaline Trio powstało w 1996 roku jako wynik równania: miłosny zawód + gniew + litry wypitego alkoholu. Śpiewający gitarzysta Matt Skiba, perkusista Glen Porter i basista Rob Doran zaszyli się w salce prób i rozpoczęli komponowanie piosenek. Wkrótce nagrali cztery z gotowych utworów i wydali je jako EP-kę „For Your Lungs". Krótko po premierze płytki grupę opuścił Doran, zastąpiony przez Daniela Andriano. Pierwsza płyta Alkalicznych, „Goddamnit" (1998), powstawała etapami, kiedy Skiba i Porter – obaj pracujący jako gońcy rowerowi (pamiętacie kultową grę „Paperboy"? Powiedzmy, że to o nich) – brali wolne w robocie. Już rok później dyskografia chicagowskiego tercetu była bogatsza o dwa tytuły: kolejny album „Maybe I'll Catch Fire" i kompilację singli zatytułowaną po prostu „Alkaline Trio".

Z nowym perkusistą, Mikiem Felumlee, w składzie Trio nagrało album „From Here To Infirmary" (2001), który okazał się biletem wstępu do ekstraklasy punk rocka, a zarazem furtką do sławy. Kolejne półtora roku upłynęło „dumie Midwestu" na koncertowym maratonie. Zespół trafił na setki scen w Ameryce i Europie, a gdyby nie tragiczny incydent 11 września, występów na żywo mogłoby być jeszcze więcej. Po ataku na WTC wiele zabukowanych koncertów zostało bowiem odwołanych. W międzyczasie doszło też do transferu w składzie – Mike'a zastąpił stary kumpel Daniela, Derek Grant. Już z Grantem za bębnami Alkaline Trio nagrało dwie kolejne płyty, „Good Mourning" (2003) i wspomniany „Crimson".

Alkaliczni uwielbiają mocować się z instrumentami na żywo, ale koncerty są też ich żywiołem. Jeden z takich występów, w Halloween 2002 roku, w ich rodzinnym Chicago został sfilmowany i wydany na DVD. Dzięki temu srebrnemu dyskowi można w całej demonicznej okazałości podziwiać sceniczny danse macabre zespołu. Z koloratkami przy kołnierzykach, przystrojeni grobowymi makijażami muzycy produkują się na tle błyszczącego odwróconego krzyża. Zamiłowanie do grozy i satanicznych symboli to swoista wizytówka tercetu. Wszelkie kontrowersje narosłe wokół rzekomego satanizmu Alkaline Trio wyjaśnia Matt: „Jeśli w ten sposób obrażamy ludzi, którzy boją się kwestionować swoją własną wiarę, to dobrze. Znaleźliśmy się na liście zespołów, których płyt Kościół domagał się wycofania ze sklepów. Byłem z tego wręcz zadowolony. Tak naprawdę nie wierzę w szatana i piekło, ale ich podobizny są ekscytujące i prowokujące".

Równie prowokujące mogą być niektóre teksty z ostatniej płyty. „Crimson", piąta część z cyklu pop-punkowej makabreski, to trzynaście słodko-gorzkich piosenek o miłości, śmierci, zawiedzionych kochankach i topieniu żalu w alkoholowej desperacji, wygrywanych przez trzech gości przy użyciu mniej więcej takiej samej liczby akordów. To cierpkie jak sok z cytryny hymny współczucia dla samego siebie i pełne gniewu ballady. Słuchając albumu oczywistym wydaje się, że szatan nie poskąpił swym „podopiecznym" iskry i talentu do komponowania śmiertelnie (w sensie dosłownym) przebojowych piosenek.

Alkaline Trio jest dziś dużym zespołem. Ale jest to wielkość na miarę talentu. Zespół z Wietrznego Miasta podtrzymuje solidne tradycje hałaśliwych tercetów takich jak Green Day czy The Jam, a zarazem podąża ścieżką wytyczoną onegdaj przez Elvisa Costello, Jawbreaker i Samiam. Melodyjny emocjonalny punk rock Alkalicznych podoba się tysiącom fanów zespołu, którzy zdążyli już przyzwyczaić się do hiperaktywności swych ulubieńców. Dzieląc czas między scenę i studio nagrań, formacja z Chicago nie toleruje bezczynności. Tak zaznacza się jej progres. „Oczywiście wciąż się rozwijamy" – zapewnia Skiba. „Uważam, że zespół odniósł sukces w ciągu kilku ostatnich lat. Na początku graliśmy po prostu dla zabawy, ale bardzo chcieliśmy, by z czasem stało się to naszą pracą". Energii powinno wystarczyć im jeszcze na długo. W końcu na świecie nie brak ani miłości, ani śmierci, które pospołu służą grupie za paliwo napędowe.

Pozwolę sobie jeszcze przywołać odpowiedź Matta Skiby na pytanie o to, czy lepiej kochać i stracić, czy nie kochać w ogóle: „Lepiej kochać i stracić" – nie ma wątpliwości wokalista. „Nie kochać nigdy mogłoby być nudne. Nawet jeśli przyjdzie ci żałować, że kiedykolwiek poznałeś tę drugą osobę, na pewno ciekawiej jest kochać i stracić, niż nie kochać w ogóle".

I tak dalej toczyć się będzie historia Alkaline Trio – w rytm bolesnego bicia złamanego serca i toczącej się trupiej czaszki.



projektor

coś się już dzieje

Południe budzi się z letargu. Po płytach od IGS'a i Daba pojawił się debiut przygotowany przez Miuosha i Puqa w MaxFloStudio. Jeśli wierzyć słowom pierwszego z chłopaków, to początek ofensywy. Póki co, zapraszamy do przesłuchania krążka „Miraż" i przeczytania rozmowy. Tym bardziej, że o ile nie uczestniczył w niej twórca większej części beatów - Rahim, którego niefortunnie zmogła choroba - to swoje trzy grosze dorzucił sam Fokus

tekst Marcin Flint
foto Cess

Jeden z początkowych utworów na płycie mówi na temat kłamstwa. Często zdarza się Wam kłamać?
Puq: Tylko kiedy trzeba.
Miuosh: Czasem trzeba pościemniać. Może nie tyle kłamać, ale przeinaczyć fakty czy podciągnąć pewne elementy do potrzeb rzeczywistości (śmiech).
Puq: Wiadomo... Nie wszystko można mówić.
Więc jeżeli już, to w życiu prywatnym czy w szołbiznesie?
Puq: W szołbinzesie się kłamie i jest to powszechnie przyjęta zasada. Tak mi się wydaje. Natomiast w życiu prywatnym to już zależy od człowieka.
Miuosh: Staramy się nie okłamywać ludzi. Kawałek, do którego nawiązujesz, łączy życie prywatne i szołbiznes. Mówi, jak można z kundla zrobić amstaffa, a z jednej dziewczyny zrobić tłum fanek.
Puq: I kręcić blanty ze stu złotych...
Pytałem dlatego, by sprawdzić, czy przypadkiem nie oszukujecie słuchaczy sloganem promującym płytę, który brzmi „debiut roku"...
Miuosh: To jest element promocji wymyślony przez ludzi za to odpowiedzialnych. Postanowili sformułować to tak a nie inaczej i poszli z tym w tę stronę. Wydawało się, że to na razie jest właśnie taki debiut. „Straho instrumentals prezentuje debiut roku" było formą teaseru, żeby nie dawać ludziom wszystkiego na dłoni, tylko ich zaciekawić.
Puq: Dla niektórych może to będzie debiut roku. Dla tych, dla których nie będzie, będzie inny...
Rozmawialiśmy ostatnio z Trzecim Wymiarem i panowie doszli do wniosku, że na południu nie dzieje się wiele. Kiedyś region rzeczywiście trzymał rękę na pulsie, stanowił alternatywę, teraz rzadko można trafić na płyty z niego pochodzące.
Puq: To dlatego, że nie byli nigdy w MaxFlo. Gdyby przyjechali, zobaczyliby, że coś się już dzieje.
Miuosh: Wszystko się rozkręca. Stworzyliśmy MaxFlo wspólnie, przedsięwzięcie ruszyło tym wszystkim, ludzie zaczęli się na nowo ze sobą widywać, powstają nowe projekty i pomysły. Wchodzą nowi ludzie, a ci którzy kształtowali scenę, zaczynają się odradzać i powoli działają. Jest cicho, na razie... Na wszystko trzeba czasu i cierpliwości. My skończyliśmy, zaczynamy od nowa... Ciągle powstają następne projekty od naszych najbliższych znajomych i niedługo będzie tego naprawdę dużo.
Wiadomo – artyści nigdy nie lubią etykietek, to dziennikarze ich potrzebują. Sam nie jestem pewien, czy można mówić o „neopsychorapie", ale pojawiło się grono wykonawców nawiązujące do tego, co wcześniej panowie wynaleźli: DKA, Rymoplastykon, Mona, Kanał Audytywny.... Wy też wydajecie się czerpać z psychorapowej przeszłości.
Miuosh: Na pewno.
Puq: Nie da się ukryć. Mieszkając w podobnym miejscu, wychowując się na tym, bo przecież ta muzyka była najbliżej, jeżdżąc na koncerty... Kiedy byłeś małolatem, nie mogłeś sobie jechać na koncert do Warszawy, więc jechałeś na to, co było blisko. Słuchałeś tego, co dojrzewało obok ciebie.
Miuosh: To najbardziej nam się podoba i to chcemy robić. Może nie „psychorap", ale fajnie jest to gdzieś przemycić czy też poszerzać to, co wcześniej się zaczęło.
Puq: Fajnie kiedy ludzie się nawzajem inspirują, a inspiracja zastępuje podziały.
Więc współpraca z Rahimem nie była zwykłą współpracą na linii raper-producent? Rah był dla was zapewne kimś więcej.
Miuosh: Po pierwsze, to nasz przyjaciel. Po drugie, człowiek, który umie robić zajebistą muzykę. Po trzecie, ktoś, kto wychował nas swoją muzyką, a potem zaczął współpracować z własnej inicjatywy, wciągając w bardzo przyjemne dla nas miejsca i etapy tego wszystkiego. Bardzo nam pomaga. Razem pomagamy sobie nawzajem jak tylko możemy.
A Puq i Miuosh to duet zbudowany na podobieństwach czy raczej przeciwieństwach?
Miuosh: Chyba bardziej przeciwieństwa... Podobne myślenie, ale zupełnie inne ujęcie.
Puq: Wiadomo, że nikt nie jest taki sam.
Miuosh: To dużo daje, płyta ma dwie twarze, tak jak jest to uwidocznione na okładce – jest rozbita na dwie strony. Widzimy to samo, inaczej o tym mówiąc. Podobieństwo i przeciwieństwo w jednym.
Część płyt i utworów z południa trzymała się określonego nazewnictwa. Tak więc był „Film" Kalibra 44, potem „Kinematografia" Paktofoniki, teraz dostajemy „Miraż" od Projektora...
Miuosh: Nazwa projektu to czysty przypadek i nie ma żadnego łącznika z „Kinematografią" czy „Filmem"...
Fokus: ...i z „Wideoteką". (nawiązanie do tytułu płyty Jeden Osiem L – przyp. red.).
Miuosh: Z „Wideoteką" tym bardziej nie, uuuuu (śmiech). We wcześniejszym etapie bardziej skupialiśmy się na słowie „projekt", bo wówczas jeszcze całe przedsięwzięcie było połączeniem działań ludzi z dwóch różnych zespołów. W efekcie wszystko inne się rozpadło, zostaliśmy sami z nazwą „Projektor".
Puq: Nazwa nazwą, a muzyka muzyką. Myślę, że nazwa nie jest najgorsza.
Miuosh: Mi się podoba. Jest dużo „r". Rrrrrrrrrr....
Projektor zostawmy w spokoju, natomiast „Miraż" to rzeczywiście ciekawy tytuł, nie mający nic wspólnego z przypadkiem. Poświęciliście w końcu temu utwór. Czy rzeczywistość wydaje się Wam mało konkretna i przypomina właśnie miraż?
Puq: A jaka tobie się wydaje rzeczywistość polska?
Wydaje mi się czasem wręcz boleśnie...
Miuosh: ...mirażowa. No!
Puq: Jest tak. Nasz kraj i ludzie, którzy w nim żyją. Umówmy się, nie wszyscy są normalni i doskonale widać to na samej górze.
Miuosh: Dużo jest rzeczy, które nie są elementami świata, którymi powinny być, i je udają. To właśnie stanowi miraż. Przynajmniej w tym numerze, bo nazwa utworu i płyty z zamysłem jest inaczej napisana, bo bezpośrednio się ze sobą nie łączą.
Miuosh, wiem, że wychodzisz poza samo pisanie i rejestrowanie zwrotek. Grasz imprezy, freestyle'ujesz i wiele ponad to. W czym z tego wszystkiego odnajdujesz największą przyjemność?
Miuosh: Ze wszystkiego, co może robić człowiek w muzyce, tyle samo. Cieszę się, kiedy napisze zwrotę i ją nagram albo kiedy z Minim dojedziemy beatboxową akcję i nagramy to na dyktafon, żeby później sobie puścić. Tak samo się cieszę, jak mam okazję wyprodukować dla kogoś jakąś muzykę – czy dla Textylu, bo tam miałem dużo produkcji, czy dla Pokahontaz, czy dla nas na płytę, czy dla kogokolwiek innego. Nawet jeśli w studiu realizuję kogoś wartego poświęcenia mu czasu... Myślę, że przez studio przewija się dużo przyszłych wymiataczy.
A idea PFK Kompany wciąż jest żywa?
Miuosh: To nie mnie się pytać, ja nigdy w nie byłem członkiem PFK Kompany.
Fokus: No, chyba już nie jest żywa... Trudno mi powiedzieć. Jakoś się rozmyła. Jest logo, które zwisa nad różnymi projektami, ale nie ma z tym tego rodzaju specjalnej identyfikacji, jaka była kiedyś.



Wbrew pozorom Archiwum X nie zamknięto. Służy obecnie monitorowaniu pozaziemskiej aktywności w hip-hopie. Dotarliśmy do trzech raportów w sprawie nr 4753247 dotyczącej Busta Rhymesa

tekst Marcin Flint

FOX MULDER – RAPORT #45734653

„Gdyby w jakimś równoległym świecie była czarna, gotycka planeta, to Busta Rhymes byłby jej piekielnym przywódcą", pisze Harry Allen w artykule o wszystko mówiącej nazwie „Alien". Agent K i agent J odpowiedzialni za monitorowanie aktywności obcych na ziemi zwykli powtarzać, że Dennis Rodman jest kosmitą i nawet się z tym nie ukrywa. Podobnie rzecz ma się z Marilynem Mansonem (Busta nazwał jego autonomię „kurewsko piękną do obserwowania"). Sytuacja z samym BR nie jest natomiast jasna. Najprawdopodobniej mamy do czynienia z przypadkiem niemniej tragicznym niż dzieje Erica Cartmana, małego chłopca z prowincjonalnego miasteczka, któremu wszczepiono sondę analną, by przejąć nad nim kontrolę. Zachowanie obserwowanej przeze mnie jednostki na pierwszej płycie Leaders Of The New School było zupełnie normalne, rzecz jasna jak na warunki rapowego środowiska. Problem zaczyna się przy krążku „T.I.M.E.", gdzie – jak dowodzi Stanton Swihart – panowie zaczęli „wgłębiać się w rodzaj miejskiego, fantastyczno-naukowego mistycyzmu". „Dążę do zniszczenia i mordowania wszystkich bezmyślnych organizmów", groził w jednym z utworów Busta Rhymes. W praktyce groził więc całej planecie. I nie był niestety w swoim zamierzeniu osamotniony.

Mechanizm przybywania obcych został doskonale ujęty na pierwszym materiale solowym. Chodzi o kawałek „Abandon Ship". Jasno padają tam słowa: „Czarnuchy mówią gówno, a następnie porzucają statek". Indywidualny debiut „The Coming" został zresztą właściwie odczytany przez część ziemian. „Easy Mo Bee i DJ Scratch zrobili większość beatów, które mają futurystyczne, kosmiczne brzmienie idealnie pasujące do pokręconego, szalonego jamajskiego flow (...) Nagrania brzmią, jakby były nagrane przez trzygłowego obcego na Wenus. Mając na względzie jego muzykę sprzed roku 2000 myślę, że Busta Rhymes właściwie jest kosmitą", zeznaje słuchaczka na łamach amazon.com. Tymczasem reszta Leaders Of The New School została odsunięta na dalszy plan, a ich miejsce zajęli bezlitośni Flipmodianie. Cytując za Lordem Have Mercy z intra drugiej solówki: „Wielkie klęski będą uderzać we wszystkie poziomy egzystencji. Zostało doniesione, że prawdziwie przerażająca rzecz przybędzie w formie obfitej jak skład, jak Flipmode Squad". W tytułowym „When Disaster Strikes" pada natomiast stwierdzenie, że materiał przeznaczony jest „dla wszystkich matkojebców wzdłuż i wszerz galaktyki". Bezczelnie więc wysyłane są sygnały do innych wrogich cywilizacji, zapewne z pominięciem Marsa, bo jak doskonale pokazał to Tim Burton, Marsjanom wyraźnie szkodzi muzyka ze starych płyt winylowych. Busta Rhymes zapowiedział, że „będzie krzyczał, a potem patrzył, jak cała planeta Ziemia odpowiada". Widać tu doskonale, iż przestał traktować Ziemię jako planetę macierzystą.

Na odpowiedź „czarnuchów" nie trzeba było długo czekać. Wiadomo skąd wziął się kryptonim – od barw strojów, czarnych koszulek z okrągłym złowieszczym symbolem. Postanowiono zniszczyć Ziemię, pokonując ją w meczu koszykówki. To stara taktyka: kwestionując ważne autorytety sportowe i moralne pokroju Briana Boitano czy Michaela Jordana łamie się morale podbijanego świata. Busta Rhymes nie ukrywał, że meczu ziemian z kosmitami jest po stronie tych drugich, bo jakże miałoby być inaczej. Wraz z LL Cool J'em, Method Manem, B-Realem i Coolio przybrali nawet ich barwy klubowe. Ale zlekceważono ten ważny sygnał. Tymczasem krwiożercze więzi zostały zawiązane, wymieniono informacje i na wstępie trzeciej płyty „Extinction Level Event" Busta głosił „apokalipsę opisywa-

FOX MULDER – RAPORT #4573

ną w każdej świętej księdze znanej ludzkości" (znowu doskonale widać więc, że nie czuje się jej częścią, trzyma dystans). To nie jedyna przesłanka na tej płycie. Była nią również muzyka – „W 'Everybody Rise' mamy kojarzące się ze smokami i lochami ryczenie Busty na syczącym tle przypominającym DJ'a Premiera transmitującego z Marsa", konkluduje Alex Pappademas z „Weekly Wire". „Intro" wymaga jednak większej uwagi. Obiekt mojej analizy mówił, iż ludzka rasa udowodni sobie, że nie jest niczym ponad rasę bezlitosnego ścierwa i padnie ofiarą pełnych okrucieństwa ataków z rąk międzyplanetarnych plemion obcych. O ironio, rozwiązaniem tego problemu ma być przekazanie władzy w ręce Flipmode Squadu, który ma obronić nas przed tymi, z którymi spiskował. To typowy, cyniczny sposób przejęcia. Żeby było widać, jak jasno można go odczytać, cytuję w oryginale: „Yo, callin all live niggaz! / Callin all live bitches! / We have a job for ya'll on planet earth / Flipmode world domination in progress". Czwarta płyta Rhymesa, „Anarchy", zawiera równie klarowne stanowisko: „Walczymy, by rządzić naszym własnym rządem". Apeluję o dodatkowe fundusze na działania śledcze. Być może Busta Rhymes miał coś wspólnego ze zniknięciem mojej siostry.

DANA SCULLY
– RAPORT #190976

Na wstępie przyznam, iż fizyczne oględziny Busta Rhymesa mogą dostarczyć dowodów na to, iż pochodzi z innej planety bądź w jego skórę wcielił się ktoś inny. Proszę przyjrzeć się potwornym grymasom fizjonomii. Usta obserwowanego obiektu są w stanie ułożyć się w uśmiech około 15 cm dłuższy od tradycyjnego ziemskiego uśmiechu. Ciało porusza się dzięki rwanym, chaotycznym ruchom z dynamiką obcą zwykle istotom o takim wzroście. Agent K i agent J spotkali się z takimi przykładami (proszę sprawdzić w archiwum pod hasłem „robal"). Czaszka (na której włosy układają się w sposób przeczący prawom fizyki) jest zdolna wytrzymać czołowe zderzenie z baranem, czego dowodem jest próba, która odbyła się na planie klipu „Break Ya Neck". Frapujący jest też wrzaskliwy system komunikacji i serie słów wyrzucane z oszałamiającą szybkością właściwie bez brania oddechu. Ponoć emisja krzykliwych komunikatów rozpoczęła się od współpracy z A Tribe Called Quest przy projekcie „Scenario". To sprzyja tezie o przejęciu kontroli nad ciałem artysty. Promujący „ELE" teledysk „Gimme Some More" nie na darmo rozpoczyna się sceną, w której bezbronne dziecko ulega metamorfozie w niebieskiego, agresywnego kosmitę.

Kamery na planie „Woo-Hah Remix" zarejestrowały przypadkowo scenę, w której Busta Rhymes wystrzeliwanymi z oczu promieniami poraża niewinnego człowieka. Busta jest tam zrośnięty z ODB za pomocą srebrzystej, kratkowanej materii, z przeraźliwie długimi wypustkami w okolicach rąk i głowy (zapewne celem ukrycia macek). Niemal pewne są pozaziemskie inspiracje przy doborze garderoby, nie tylko w ostatnich produkcjach, gdzie przewija się kilkanaście kosmicznych kreacji, ale nawet we wczesnym okresie. Czarny lśniący komplecik z białym, wysokim, przydużym futrzastym kołnierzem i podobnymi rękawami oraz pufiasty seledynowy kaszkiet z olbrzymim daszkiem plus długa seledynowa kurtka jakby ściśnięta w połowie sznurkiem w „Woo-hah!". Beret niczym wielka szarlotka i tęczowa kurtka jakby pozszywana z małych kawałeczków w „Scenario" ATCQ. Image wielkiego opasanego folią bąka z „Rumble In The Jungle" Fuges. Tego nie mógł wymyślić człowiek.

Wszystko potwierdza kompleksowa analiza wielopłytowego materiału dowodowego. Już pierwszy „The Coming" zdradza wiele morderczych właściwości. Wersy: „Podgrzewam całą miejscówkę / trafiam cię gównem, które sprawia, że czarnuchy wyglądają jak zdeformowani", ale i: „Mam zimnokrwiste flow, które zamraża matkojebców" wskazują na możliwość ofensywnego wykorzystania właściwości termalnych i biegłej manipulacji temperaturą. Fani są ponoć zdolni do „chwytania promieni słonecznych" z jego muzyki. On sam przyznaje, że „zawsze świeci, bo bije od niego wysoce profesjonalny blask". Linijka: „Skomplikuję twoje wizje i sprawię, że cały świat będzie wyglądać dziwnie" informuje o możliwości wywołania halucynacji, zaś „Maksymalne częstotliwości przez twoje stereo" mogą prowadzić do sparaliżowania narządu słuchu. „Sprawię, że poczujesz mój proton, neutron i elektron", ostrzega przybysz zdolny „rozbijać gówno aż do molekuł". „Uderzę cię swoją ultraprzemocą, laserowym flow powodującym raka skóry i zdolnym do wywołania zamieszek". Do tego dochodzi kompletna regeneracja, o której dowiadujemy się z przerażającego komunikatu „If I die, I'ma only come back". Mamy do czynienia z jednostką błyskawicznie ewoluującą, i to nie tylko dlatego, że w „Keep Doin It" z Dirtbagiem i Mystikalem rzuca błyskawice gołymi rękami. Drugi album świadczy o tym, że jednostka owa opanowała już „rymową telekinezę" („Bend your mind with rhyme telekenesis"), półmaterialność („Yo, I walk through brick walls"), polimorfię zewnętrzną („Focus on the energy that'll make your skin curl"). Rymy „Zakażę cię swoją szczepionką / skrobia, węglowodany, dużo protein" dowodzą biegłego opanowania arsenału broni biologicznych. Trzecia płyta przynosi zdolność „wszechwidzenia" („Fight seein at every angle like a motherfucking satellite"). Ujawnił się też talent do podróży w czasie, dzięki czemu „Victory" – klip z Puffym, Biggie'em i Rhymesem – udało się nakręcić w 3002 r. Na szczęście, po trzecim albumie BR stwierdzono zatrzymanie się w rozwoju.

WALTER SKINNER
– RAPORT #8748974

Czytając raporty agenta Muldera i agentki Scully odniosłem wrażenie, iż nie rozumieją zasad funkcjonowania FBI. Nie chodzi o poznanie prawdy. Busta Rhymes, a tak naprawdę Trevor Smith Jr., może być przecież kosmitą. Cóż byłoby w tym dziwnego, skoro hip-hop wywodzi się z funku, a jeden z jego ojców, George Clinton, utrzymuje, iż „nagrania Parliamentu/Funkadelic przychodzą bezpośrednio ze statku-bazy – wehikułu obcych, który przywiózł muzyków na ziemię". Zeznawał, iż wraz z Bootsie Collinsem spotkali obcego przy autostradzie do Toronto. Przyznał też, że gdyby „obcy przybysz wyskoczył teraz, z pewnością nie byłby nudnym skurwysynem". Kosmici i ludzie dzielą się na podporządkowanych i niepodporządkowanych. Kiedy mamy do czynienia z drugą grupą, należy ją marginalizować, a w efekcie usunąć. Busta Rhymes-kosmita nigdy nie byłby nudny, raczej wywołałby furorę i niezdrową fascynację, dlatego należy podkreślać raczej jego jamajskie korzenie (czyli że przybłęda zabiera pracę prawdziwym Amerykanom) czy udział w islamskim stowarzyszeniu 5 Procent (pożyteczne skojarzenie z terroryzmem i obracaniem w proch symboli Nowego Jorku zrobi swoje). Rhymes jest niestety szczególnie niepokorny, być może dlatego, iż jego mentorem był Chuck D z Public Enemy, człowiek odpowiedzialny za zdefiniowanie rapu jako „czarnego CNN" i tropiciel bogatych białych deformatorów czarnej kultury – obecnie dzięki naszym staraniom bytujący na marginesie sceny i uważany za nieszkodliwego, nienawistnego dziwaka. Panowie poznali się w 1986, Trevor dostał swoją ksywkę po futboliście Busterze Rhymesie. Chuck D widział w nim podobną siłę i agresję, przez kilka lat nauczył rapera odpowiednio ją kierować, a przy okazji umiejętnie podchodzić do korporacyjnej Ameryki. Już konfrontacyjna terminologia przy nazywaniu płyt była proszeniem się o kłopoty i nadzór – „Rezultat masowej zagłady", „Anarchia", „Nie jest już bezpiecznie", „Gdy kataklizm zaatakuje", czy w wypadku najnowszej pozycji „Wielkie Bum". Niestety, artysty nie udało się ograniczyć. Nie zadziałał lep Hollywood – zamiast ratować ziemię u boku Willa Smitha, zagrał w „Studentach" Johna Singletona („Higher learning"), gryzącym sumienie traktacie o rasizmie, w którym liczy się „wizja społeczeństwa podzielonego na dziesiątki nienawidzących się grup", przyczynił się też do rewitalizacji czarnej legendy, detektywa Shafta. Krytyk Tommy Lott zwraca przy okazji uwagę, że najbardziej innowacyjni czarni twórcy filmowi odnaleźli się w tworzeniu teledysków, polu działania poza jurysdykcją Hollywood. U Hype'a Williamsa spuścizna dawnej plemiennej kultury zderzyła się z science fiction, wcielając w życie afrofuturyzm. Czarni wpisujący się z nowym nurtem na polu estetyki – nie do przyjęcia dla białych grup interesów. A jednak... Williams i Rhymes wspólnie pracowali na swoją wielkość cynicznie wykorzystując „kosmiczny" wątek przy okazji wielu klipów. U kręcącego rybim okiem, używającego wysoce nasyconych barw, biegłego w optycznych sztuczkach pozwalających przekłamywać skalę i odrealnić rozmiar Hype'a nawet ulice gett wyglądały jak Star Trek. Trevor trwał przy image'u hiperseksualnego przybysza. I tak miało być. Nawet kształt okularów Missy Elliott ma kojarzyć się z aparatem wzroku kosmitów z filmów science-fiction. Co do rapu, próbowaliśmy motywu z operacji „brudne południe", dzięki której głos pokolenia stał się sterowalny, a widzowie automatycznie połączyli rap z pomiataniem kobietami, agresją i biżuterią. Na drugiej płycie „When Disaster Strikes" Busta zamiast bluzgać i grozić, nagrał „One" – ładny numer na miękkim samplu ze Stevie'ego Wondera, mówiący o miłości między dwojgiem ludzi i wzbogacony wokalem afrocentrycznej Eryki Badu. Ku naszej rozpaczy, stało się to zaczątkiem utrwalania dwóch oblicz BR – charyzmatycznego, wrzaskliwego lidera z nowojorskich ulic, ale i zabawnego, ułożonego faceta mruczącego spokojnie przy światowej sławy wokalistkach takich jak Mariah Carey czy Janet Jackson i koncertującego z Lauryn Hill, którą za nic nie da straszyć się wyborców. FBI zrobiło, co mogło, i płyta sprzedała się w USA sporo gorzej niż debiut. Niestety, odniosła znaczny sukces w Europie, w której kontrolować udaje nam się jedynie Polskę. Przy okazji kolejnych albumów udało się nawet dodać bardziej osobiste akcenty („Anarchy") i utrzymać pozycję ikony tworzącej mainstream na poziomie („Genesis", „It Ain't Safe No More").

Wywiad zareagował nerwowo, ale według procedur. Należało dyskredytować wykonawcę. Matka T'Ziah, syna Busty, oskarżyła go o niepłacenie alimentów i chciała uzyskać sądowy zakaz zbliżania się. Sprawa ucichła. Korzystając z naszych wtyczek w „New York Post", udało się opublikować artykuł „Busta Crimes!". Raper został złapany z naładowaną, niezarejestrowaną bronią. Niestety, w branżowych publikacjach pojawiły się informacje, że Trevor był nienotowany, zachował się „dżentelmeńsko" i puszczono go bez kaucji. Dzięki bogu, a raczej dzielnym chłopcom w mundurach, udało się go skazać. W zawieszeniu. To nie koniec wyników obławy. Przypomnijmy atak na kobietę w Massachusetts (2002 r.) – uderzenie jej głową o stół (wersja prokuratora) zakończyło się 6 miesiącami... w zawieszeniu. Ostatnio wyciągnęliśmy pobicie na planie klipu w Nowym Jorku, ale efekty tej polityki nie są zadowalające. Trzeba było sięgnąć po skuteczniejsze środki. W 2003 otworzono ogień w siedzibie Violatora (wśród klientów firmy: Busta, Missy, 50 Cent) na Manhattanie, ale kule zatrzymały się na drzwiach. Kamery nic nie zarejestrowały, firma odmówiła zajęcia stanowiska. W 2006 r. na planie teledysku „Touch It" dokonano próby zastrzelenia BR. Kule przyjął ochroniarz Israel Ramirez. Sukces jest częściowy – udało się wmówić ludziom, że śmierć była wynikiem konfliktu między obozami G-Unit i Ruff Ryders. Policja przedstawiła stanowisko, z którego wynika, że Buście nie zależy na zidentyfikowaniu mordercy, bo nie chce współpracować.

Jego rola wciąż jest jednak zbyt znaczna, zwłaszcza przy koordynowaniu działań sceny branżowej. To ogniwo, które łączy wielkie nowojorskie rap rodziny (od Bootcampu przez D.I.T.C. po Wu-Tang i Q.B.C.) i komercyjne imperia (m.in. G-Unit, Bad Boy, No Limit, Ruff Ryderz). Znajduje punkt wspólny między oldschoolowcami (choćby ATCQ, Big Daddy Kane, KRS-One, De La Soul i EPMD) i wariatami z południa (Banner, Budden, a nawet D4L i Ying Yang Twins). Przyciąga nawet „świadomych raperów" pokroju Kweliego i Mos Defa.

Nie możemy więc ustać w zwalczaniu afrocentrycznego spisku i układu zagrażającego przyszłości białych.

Bubba SparXXX
siła stereotypu



Siła stereotypu jest wielka. Spytajcie byle psychologa społecznego, a usłyszycie na ten temat długą tyradę. Tak jak stereotypowemu myśleniu ulec jest bardzo łatwo, tak myślenie w inny sposób już przysparza nam pewnych problemów. Japończyk - pracowity, rudy - fałszywy, Bubba Sparxxx - wieśniak...

tekst Grabiszczy

JESTEM ZE WSI, TO WIDAĆ...

Duży biały fajtłapa w byle jakich ciuchach, jadący na traktorze albo taplający się w błocie. Typowy wizerunek gwiazdy hip-hopu, nieprawdaż? Image ten trudno nazwać zachęcającym do zainteresowania się prezentującym go artystą, tym bardziej w kraju, gdzie jednoznacznie kojarzy się z nim (z image'em, nie artystą) raczej muzyka country, na pewno zaś nie rap. W każdym innym przypadku taką kreację należałoby przyjmować z przymrużeniem oka, jednak u Bubby Sparxxxa przyszła ona niejako naturalnie. Chłopak wychowywał się bowiem na naprawdę straszliwym zadupiu, gdzie jego najbliższy sąsiad mieszkał prawie kilometr dalej. Zauważcie, jak wielki jest zatem kontrast między młodością bohatera tego artykułu a (często rzekomym) dorastaniem na „złowrogiej ulicy", o którym mówi dziewięćdziesiąt procent amerykańskich raperów...

Bubba przekornie postanowił za wszelką cenę pokazać, skąd pochodzi. Fakt, że nieco przegiął – po jego pierwszym klipie, „Ugly", fani na całym świecie WIDZIELI go jako beztroskiego „rednecka", który czas spędza na hulaszczej zabawie z podobnymi mu obleśnymi kolegami ze wsi. Raper sam ukręcił na siebie bat. Używał tu i ówdzie prowincjonalnego slangu (określanie kobiet jako „Betty" czy zwrot „okey-dokey"), mówił o sobie jako o „wiejskim skurwielu", opowiadał o piciu piwa i Jima Beama. Wszystko to nie wpłynęło co prawda w żadnym stopniu na sprzedaż krążka, z którego pochodził singiel – „Dark Days, Bright Nights" odniósł bowiem komercyjny sukces – ale jednoznacznie ukierunkowało postrzeganie Sparxxxa przez publiczność. Nie dostrzegano lub pomijano fakt, że dysponuje on naprawdę ciekawym i dopracowanym flow, że ma dobre pomysły na numery, że doskonale wpasowuje się w klimat poszczególnych tracków. Ot, zabawny koleś, który dostał od losu szansę, bo zaopiekował się nim na początku wielkiej kariery sam Timbaland.

Tymczasem prawda nie zawsze jest oczywista. Mylił się ten, kto myślał, że Sparxxx wziął się znikąd. Jego debiutancki album ukazał się bowiem w swej pierwotnej wersji niezależnie i to już na pewien czas przed debiutem w majorsie. Raperem zainteresował się z początku Jermaine Dupri (już na pięć lat przed sukcesem „Ugly"), zaś po wyjściu pierwszego „Dark Days, Bright Nights" uwagę zwrócił na niego sam Jimmy Iovine z Interscope'a. Dopiero wtedy wrota do kariery stanęły otworem. Pojawiła się przede wszystkim możliwość współpracy z Timbo, który właśnie rozkręcał swój sublabel Beat Club. Do tego doszły produkcje od Organized Noize Productions czy współpraca instrumentalna Scotta Storcha. Zatem image image'em, ale na debiutanckiej płycie Bubby Sparxxxa otrzymaliśmy całkiem niezłą dawkę południowego brzmienia okraszonego dobrym aranżem i nietuzinkowym wokalem.

... JESTEM ZE WSI, TO SŁYCHAĆ...

Mimo sukcesu, raper nie był zbyt zadowolony z tego, jak zaczęto go postrzegać. W związku z tym, w porozumieniu z Timbalandem zdecydował się na dosyć drastyczny krok. Drugi album, „Deliverance", miał pokazać ludziom prawdziwego Bubbę. Do wizerunku doszła chęć pokazania, że to coś więcej niż zabawa. „Zabolało mnie, kiedy ludzie uznali klip do 'Ugly' za dowcip, kiedy myśleli, że wszystko to jest jakimś wielkim żartem. Na drugim albumie zamierzam zabrnąć w to gówno tak głęboko, żeby sprawić, że wszyscy zrozumieją dokładnie, skąd pochodzę i czym to jest. Dowiecie się, że moje życie to nie pieprzony dowcip!" – zapowiedział raper przed wydaniem „Deliverance". I trzeba przyznać, że dopiął swego. Zdecydowanie było SŁYCHAĆ, że Bubba jest ze wsi... Drugi krążek rapera w warstwie tekstowej nie jest bardzo odmienny, choć fakt, że niekiedy bywa bardziej retrospektywny i poważniejszy. Jeśli jednak chodzi o podkłady, to wzbogacone zostały o tak nietypowe dla hip-hopu – ale charakterystyczne dla klimatów amerykańskiej wsi – instrumenty jak harmonijka ustna czy skrzypki (dogrywane bądź samplowane), pojawiły się nawet wokalne elementy z country.

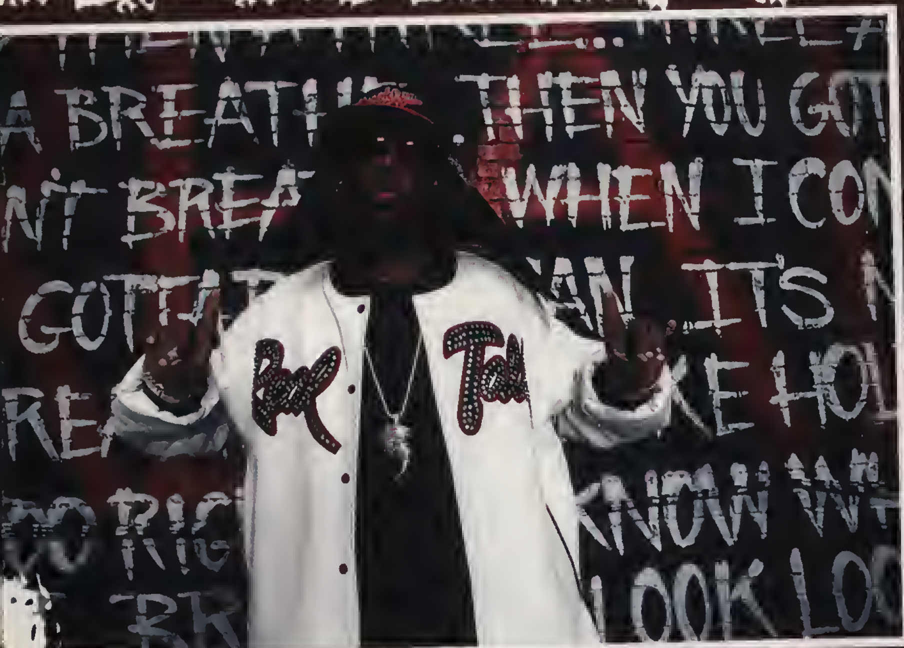
Brzmi jak profanacja, ale bynajmniej nią nie jest. „Deliverance" to album, który po prostu płynie. Stanowi on przemyślaną całość, posiada niepowtarzalny klimat, gdyż producenci (tym razem tylko Timbo i Organized Noise), według wytycznych Bubby, skupili się w dużej mierze na oddaniu w muzyce atmosfery wiejskich terenów Georgii, nie rezygnując przy tym z charakterystycznych dla siebie futurystycznych wycieczek. Nie jest to płyta tak łatwa w odbiorze jak debiut rapera, a przede wszystkim pozbawiona takiego hitu jakim był „Ugly" (w mniemaniu masowego odbiorcy, rzecz jasna), stąd i kompletna klapa sprzedażowa. „Wiedzieliśmy, że albo opchniemy 4 miliony, albo skończymy z jakimiś czterystoma tysiącami. Wyszła druga opcja", powiedział po pewnym czasie Sparxxx.

Kosztem przebojowości postawiono na warstwę artystyczną, a wiadomo, jaki najczęściej jest tego efekt. W sumie twórcy sami się o to prosili, ale mieli przynajmniej szczyptę satysfakcji – recenzje krążka były bardzo dobre... Co z tego jednak, skoro klapa „Deliverance" doprowadziła do rozwiązania Beat Club, a współpraca Timbo ze Sparxxxem również musiała dobiec końca. Jak sami bowiem artyści wspominają, porażka drugiej płyty dużo ich kosztowała (nie tylko finansowo, oczywiście), stąd też wiąże się z nią wiele smutnych wspomnień. Trzeba było iść dalej.

... TO WIDAĆ, SŁYCHAĆ I CZUĆ

„Nigdy więcej nie zrobię płyty, na której nie będzie żadnego klubowego bangera" – to nauczka, jaką Sparxxx dostał po „Deliverance". Nic zatem dziwnego, że taki właśnie kawałek promuje trzeci krążek rapera, wydany niedawno „The Charm" (tytuł nawiązuje do przysłowia „Third time is the charm", czyli angielskiego odpowiednika naszego „Do trzech razy sztuka"). „Ms New Booty", choć nie jest reprezentatywny dla całego nowego materiału, ma po prostu pomóc płycie w uniknięciu komercyjnego losu poprzedniczki. Bubba wciąż jest tym prostym ziomkiem z południa, który nie tylko nie wypiera się swego pochodzenia, ale wręcz je podkreśla, jednak tym razem wybrał inną strategię promocji. Czy trudno się mu dziwić? Wszak jest on – co tu dużo gadać – raperem mainstreamowym, a od takich oprócz dobrego materiału oczekuje się także wysokiej sprzedaży, jakkolwiek szorstko by to nie brzmiało.

„The Charm" wydany został przez Purple Ribbon, czyli label założony przez połowę Outkastu, Big Boia, który zaproponował białemu raperowi kontrakt po spotkaniu w Londynie. Nie będę się w tym miejscu rozwodził nad nowym materiałem (zainteresowanych odsyłam do działu z recenzjami), tym bardziej, że trudno jeszcze przewidzieć, jaki wywoła on oddźwięk. Jedno jest pewne: po zbalansowaniu na trzeciej płycie przez artystę zawartości dwóch pierwszych wydawnictw już nie tylko widzimy i słyszymy, że Bubba pochodzi za wsi – to się po prostu CZUJE. I nie mówcie mi, że ze stereotypami powinno się walczyć – to niemożliwe.



TALIB KWELI:
„Fabolous to bardzo utalentowany dzieciak, na którego naprawdę warto zwrócić uwagę. Ma doskonałe flow, rymuje stylowo i umie uchwycić swymi tekstami wiele ciekawych spostrzeżeń. Z młodej fali nowojorskich emce to właśnie on zasługuje na szczególną uwagę."

DJ CLUE:
„Gdy pierwszy raz usłyszałem tego kota, byłem pewien, że zrobi oszałamiającą karierę. Ten leniwy flow, który tak bardzo przykuwa uwagę i podoba się dziewczynom, jest nie do podrobienia. Ale Fabolous ma też w sobie zajebistą energię, potrafi rozpieprzyć najbardziej hardcorowy bit swoim głosem, sprawić, że słuchaczom przejdą ciarki po plecach. Jest naprawdę kimś wyjątkowym!"

FABOLOUS

JAN KOWALSKI AMERYKAŃSKIEGO RAPU

tekst Andrzej Cała („Machina")

Słuchając Fabolousa można mieć na początku wrażenie, jakby do mikrofonu rymował ledwo obudzony, skacowany piętnastolatek, któremu ktoś kazał pod groźbą chłosty zaprezentować swe umiejętności. Na początku niemrawo, leniwie, ale rozkręca się. Krok po kroku zaczyna nas przekonywać, iż naprawdę ma w sobie potencjał. Jeśli tylko starczy Wam czasu i cierpliwości, by dać mu szansę w stu procentach zaistnieć w głośnikach, nie powinniście już mieć wątpliwości, dlaczego ten dzieciak zrobił w krótkim czasie tak oszałamiającą karierę.

W urodzonym 18 listopada 1979 r. na nowojorskim Brooklynie Johnie Jacksonie (wybitnie oryginalne imię i nazwisko) płynie mieszanka krwi afro-amerykańsko-dominikańskiej. W głowie od najmłodszych lat dominowało marzenie zostania gwiazdą rapu. W tekstach, które zaczął pisać mając naście lat, od początku mieszały się elementy gangsterki (takiej jednak mocno ugrzecznionej), „bling blingu" i romantyzmu kontrastującego z perwersyjnymi marzeniami. Fabolous, od kiedy tylko wskoczył do rapowej ekstraklasy, jest nazywany przez wielu krytyków chłopakiem od wszystkiego. Takim, co to potrafi nagrać doskonały klubowy hicior, buńczucznie pojechać braggadaccio, by po chwili bardzo się uspokoić i zmienić w potulnego szczeniaczka gotowego zrobić wszystko dla swej Pani. W zasadzie takich raperów są setki, by nie rzec – tysiące. Dlaczego udało się właśnie jemu?

Atakował nowojorskie mikstejpy swoimi demówkami od mniej więcej 1998 r. W podobnym okresie, znany chociażby ze współpracy z Jayem-Z, DJ Clue szukał młodych gwiazd do labelu Desert Storm, który planował założyć. Trafił na nagrania Fabolousa i z miejsca poczuł, że to jest ten właśnie człowiek, na którego czekał. Idealnie trafiający w zapotrzebowania mainstreamowej publiczności. Mający w sobie coś ze zwykłego chłopaka, jakich tysiące w amerykańskich osiedlach, a z drugiej strony bardzo pewny siebie i swych umiejętności John Jackson miał jeszcze jedną wielką zaletę. W zasadzie to nawet trzy... Jego flow – wydaje się nudne, męczące, ale to pozory. Jak mało kto, potrafi je wykorzystywać, bawić się nim i nagrywać kawałki w różnym tempie, różnej stylistyce i o szerokim (jak na mainstream) spektrum tematów. Druga zaleta to szczerość zwykłego chłopaka, która idealnie sprawdza się w stanowiących niemal wizytówkę Fabolousa kawałkach o podłożu uczuciowym. Można się śmiać, ale czy słuchając np. pochodzących z drugiej płyty rapera „Into You" i „Can't Let You Go", nie poczuliście czasem analogii do swoich myśli i przeżyć? Jest jeszcze trzecia zaleta, być może największa. Ten chłopaczek pisze być może najlepsze podwójne rymy spośród całej mainstreamowej czołówki i rapuje je z naprawdę dużym kunsztem i wyczuciem.

DJ Clue nie mylił się angażując Fabolousa na przełomie 1999 i 2000 r. jako pierwszą gwiazdę Desert Storm. Nie wahał się też wyłożyć naprawdę dużych pieniędzy, by debiutancki krążek rapera miał wyśmienitą obsadę – zarówno jeśli chodzi o producentów, jak i gości. W zasadzie to poszedł po całości. The Neptunes, Timbaland, Rick Rock, Nate Dogg, Ja Rule – to tylko wierzchołek góry lodowej. Z taką obsadą Fabolousowi nie mogło się nie udać. Na pierwszy ogień poszedł singiel „Can't Deny It" ze śpiewającym jak zwykle doskonale Nate Doggiem. Kawałek dotarł do 25. miejsca na liście Billboardu, a co najważniejsze – zjednał Jacksonowi sympatyków zarówno na Wschodnim jak i Zachodnim Wybrzeżu. Pierwszy krok się udał, z drugim było podobnie – kapitalna imprezowa petarda „Young'n" na bicie The Neptunes spodobała się fanom Południowego brzmienia. Całości dopełnił „Trade It All" z gościnnym udziałem Jagged Edge, który przypadł do gustu przede wszystkim dziewczynom. Płyta „Ghetto Fabolous" w sumie osiągnęła platynowy nakład, wdrapując się aż na 4. miejsce listy Billboardu. Całkiem nieźle jak na debiutanta.

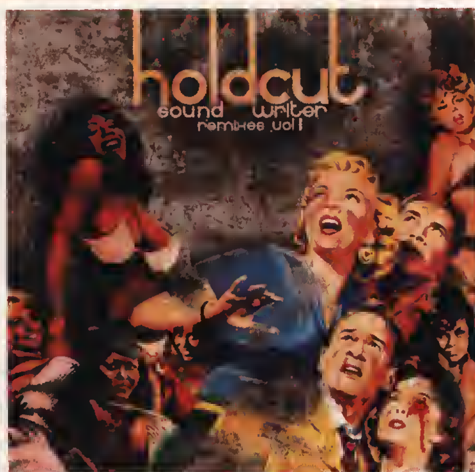
Dużo było głosów, że Fabolous to tak naprawdę tylko i wyłącznie doskonale wypromowany produkt, mający trafić do wszystkich, choć nie bardzo wiadomo dlaczego. Faktem jest, iż trudno go nazwać bardzo charyzmatycznym emce, wybitnym tekściarzem czy wgniatającym w ziemię technikiem. John Jackson ma w sobie wszystkiego po trochu, a do tego dużo szczęścia, doskonałe plecy i jednak „to coś". Nie okazał się bowiem gwiazdką jednego sezonu. Kolejne jego albumy – „Street Dreams" (2003), „More Street Dreams, Pt. 2: The Mixtape" (2003) i „Real Talk" (2004) – choć zbudowane na łudząco podobnym co debiut schemacie („o mydle i o powidle": trochę o imprezach, trochę o dziewczynach, trochę o ulicy, trochę bitów do klubów, trochę spokojnych kawałków na randki i trochę przekombinowanych, nowoczesnych brzmień) trzymały niezły poziom, przynosiły wielkie hiciory i sprzedały się wyśmienicie. Zresztą, czy można się dziwić, skoro na single Fab i jego biznesowy guru DJ Clue wybierali takie petardy jak „Damn" czy „Breathe"?!

Po wydaniu ostatniego albumu Fab na trochę zwolnił. Rozwijał działalność swojej firmy Street Family Entertainment, udzielał się licznie w reklamach i akcjach promocyjno-wizerunkowych, ale zaskakująco rzadko pojawiał się gościnnie na albumach innych wykonawców. W lutym tego roku Jackson przeniósł się do Def Jam. Podobno już pracuje nad nowym materiałem, który ma zdecydowanie przyćmić wszystkie dotychczasowe dokonania. Biorąc pod uwagę rozmach, z jakim label dowodzony przez Jaya-Z promuje swoich artystów, nie jest to wcale wykluczone. Póki co, możemy posłuchać mikstejpów z nowymi kawałkami Faba, a także uśmiechać pod nosem po tym, jak zdissował go... Mase. Ponoć panowie nawet się pobili. To znaczy, poszturchali w sumie, ale na tyle, by John Jackson wyprowadził skutecznego sierpowego. Bad boy!

Jakkolwiek patent na sukces Fabolousa może się wydać wielu osobom banalny i mdły, nie można zapominać nigdy o tym, że jest to raper naprawdę niezły. To, że umiał się znaleźć w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie i wykorzystać szansę, należy zaś zdecydowanie zapisać mu na plus. Bo też wybić się jako najzwyklejszy John Jackson z Brooklynu umie tylko niewielu...

WINYLOWE TWARZE

Obaj są z północy. Jeden z nich skończył studiować zarządzanie, drugi studiuje administrację, ale chce przerzucić się na prawo. Jeden ma 25 lat, drugi 21. Nie to jest jednak ważne. Was powinno interesować to, że Groh (wraz z Linkiem) wypuścił właśnie 350 sztuk podwójnego wosku Junoudet, Holdcut zaś 25 (!) elitarnych winyli ze swoimi remiksami i lekcjami (choć są również dostępne na kompaktach). Nowa Twarz ma dziś liczbę mnogą i zapach winyla. Z jednym z panów zrobiliśmy wywiad, drugi napisał dla was felieton





Ilu ludzi, tyle gatunków muzycznych. Nie ja to wymyśliłem, ale warto to powtarzać. Remixy były od zawsze. Spotykam je na 12" z lat 60., także 70., 80. po nagrania teraźniejsze. Ideą remixu dzisiaj jest odświeżenie starych numerów, zaktualizowanie ich. Gdy artysta dochodzi do wniosku, że pewien sens utworu jest nadal aktualny, gdy uważa, że należy go podać słuchaczom ponownie – odświeża go. Nie lubię takich remixów. Zawsze traktuję je jako wypełniacze płyt, czyli brak szacunku dla mnie – człowieka, który wydaje zaoszczędzone pieniądze, a dostaje coś, co już słyszał, tylko z innym podkładem. Idei remixu nauczyłem się od artystów z lat 60. i 70. W mojej wizji jest to jak najbardziej moje spojrzenie i moja interpretacja pomysłu innych. Z reguły nie remiksuję swoich nagrań, ale czyjeś. Jeśli ich nie słyszałem? Tym lepiej. Lubię aranżować nowe nagranie ze stosunkowo starą acapellą, której wersji oryginalnej nie słyszałem, gdyż koncepcja takiego utworu jest jeszcze bardziej „moja". Przy „SoundWriter Remixes Vol. 1" nie było to za bardzo możliwe ze względu na niedostatek wokali. Nie zajmuję się zbieraniem teraźniejszych singli, przez co zakres moich możliwości był nieco ograniczony. Jednak w mojej opinii ich brak zaowocował skupieniem się na jak najlepszym wykorzystaniu tego, co mam. Zawsze uważałem, że gdy się ma ograniczone środki bądź produkt, z którego tworzymy, wtedy zaczyna działać nasza wyobraźnia. Kreujemy wówczas o wiele więcej, niż jakbyśmy mieli większe techniczne możliwości czy też obszerniejsze źródło, chociażby brzmień. Jednak nierzadko dla mnie remix – bez bzdurnej ideologii – jest swoistym buntem przeciwko popsuciu dobrych wokali bitem nie tyle słabym, co słabo pasującym. Tak było właśnie z moją koncepcją „Crystal Stair" Smif-N-Wessuna z gościnnym udziałem Taliba Kweli. Często nie pojmuję posunięć zachodnich artystów w kwestii doboru aranżu do linijek bądź odwrotnie – kwestii doboru wersów do podanych aranżacji. Gdy MC poruszają poważny przecież temat, otrzymują bit klasyczny, czyli taki, który w mojej opinii słabo nadaje się do powagi koncepcji. Myślę, że moja koncepcja tego remixu jest trafniejsza. Każda, jaką słyszałem, była trafniejsza i chyba ciekawsza niż ów singlowy utwór. I pewnie dlatego jest to jeden z traków najczęściej remiksowanych przez producentów. Ale czy re-aranżowanie utworów to ich poprawa? Myślę, że jeden z takich przypadków nie może tworzyć od razu reguły. Nawet gdy argumentem w tego typu dyskusji będzie płyta Kixnare'a, na której znajdziemy zremixowane chyba wszystkie utwory J-Live'a z płyty „The Hear After", które, z czym trudno się nie zgodzić, nierzadko są o wiele lepsze niż ich oryginalne odpowiedniki. Nigdy nie zgodzę się z teorią, że remixy to rodzaj „pstryczka w nos" innym producentom. Tak jak na wstępie powiedziałem, tak i teraz powtórzę, że remixy to tylko i wyłącznie nowa, oryginalna, bo nasza koncepcja danego utworu. Bez zbędnej ideologii, bez zbędnych legend.

Jednak „SoundWriter Remixes Vol. 1" to tylko po części płyta z remixami. Wolałbym, by tę płytkę ludzie zapamiętali jednak po lekcjach, które stanowią czasowo ponad jej połowę. Na tej kompilacji dla mnie, jako jej autora, o wiele ważniejsza jest idea przypomnienia funku, wykorzystanych w oldschoolu sampli. Choć to pewnie wielkie marzenia, to chciałbym, by producenci słysząc tę płytkę usłyszeli to, co chciałem podkreślić w sposób chyba najbardziej wyraźny. Stop syntetycznie i sztucznie brzmiącym liniom perkusyjnym rodem z Fruita i Reasona. W twórczości Shadowa, Cut-Chemista, Numarka, czy Steinskiego to wszystko ma taki wydźwięk i tak doskonale brzmi, bo większość linii perkusyjnych tworzona była na podstawie lub bezpośrednio z breaków. W mojej opinii to właśnie w tym zawarta jest cała esencja hip-hop'u, w tę esencję właśnie należy inwestować wszystkie pomysły na cięcia sampli. Płytę, o której mówię, traktuję jako trzeci z czterech etapów w drodze do takiej produkcji, jaką założyłem sobie około 8 lat temu. Te lekcje nie są tym, co robił Steinski. Są lekcjami z moim producenckim wydźwiękiem.

Holdcut
(kontakt: www.cut-orgia.com)

Już nie JuNouMi a JuNouDet, to pierwsza zauważalna zmiana. Czemu ją zawdzięczamy?
JuNouMi to cały czas JuNouMi Records, label pozostał ten sam. Odszedłem natomiast od konwencji epek, bo przestało mi się podobać to, że wszyscy porównują je do siebie. Były trzy, więc cały czas dochodziły głosy w stylu: „Druga lepsza, trzecia gorsza, jedynka najlepsza". Dla mnie to bez sensu, więc postanowiłem zrobić nowy, oddzielny projekt, stanowiący koronację tego wszystkiego. Nazwa, rzecz jasna, nawiązuje do wytwórni. Winyle nie będą kolorowe tylko czarne, kolorowa będzie za to okładka, którą zrobił LimpS z VHS-u. Album jest podwójny. Nowa jakość.

Mówisz w liczbie pojedynczej, ale cały czas robicie to z Linkiem?
Tak, cały czas robimy to wspólnie, współpracujemy, i zanosi się, że cały czas będziemy to robić razem. Prawdopodobnie JuNouMi Records nie wyda już nic więcej, ale powstaje nowy label – Far Sight Records. Mam nadzieję, że będzie już poważnie prowadzoną firmą. W tym kierunku dążę. JuNouDet zamyka pewien etap.

Odważna decyzja. Dajesz ludziom dwa razy więcej materiału w czasach, gdy płyty sprzedają się dwa razy gorzej. W dodatku na wosku.
Rap sprzedaje się gorzej niż kiedyś, ale na kompaktach. Winyle sprzedają się na podobnym poziomie, może nawet lepiej niż kiedyś. Coraz więcej ludzi interesuje się nośnikiem, który od zawsze chcę podtrzymywać przy życiu, coraz więcej płyt się ukazuje. Docenia się to, że analog jest najciekawszym nośnikiem. Trzeba się cieszyć, że materiału jest więcej. 13 premierowych numerów, jedna płyta jest DJ'ska – sześciu DJ'ów dostało na niej po trzy minuty dla siebie. Można liczyć na materiał turntablistyczny, wiele sampli, wiele battle breaków. Każdy DJ powinien być zadowolony.

Jakie wymagania trzeba było spełnić, żeby dostać się na JuNouDet?
Powiem ci, że płyta jest bardzo zróżnicowana. Od wariacji jazzowych, po numery zabawne, poważne, a nawet uliczny rap. Nie ma mowy o szablonie, nie było typów. Zaprosiłem wiele osób, wiele osób z tego skorzystała, ale znaleźli się też ludzie, którzy sami odezwali się do mnie, a mi spodobał się materiał. Nie ma klucza, tyle że musi do mnie trafić coś ciekawego. Wtedy znajduje się na płycie. Nieważne kto, ważna jest jakość. Ta mnie w tym wypadku satysfakcjonuje. Jest przynajmniej dobra.

Kiedy rozmawialiśmy poprzednio, mówiłeś, że DJ'ka u Groha nie ma przyszłości. Ale skądinąd wiem, że zdarza Ci się grywać imprezy...
Mamy ze znajomymi nowy projekt, gramy jako JuNouMiCrew, ale jest to mało związane z rapem. Można usłyszeć troszkę oldschoolowego hip-hopu, ale określiłbym to mianem muzycznego mezaliansu. Łączymy style, cała rzecz się rozwija. Zaangażowany jest w to Link i jeszcze nasi koledzy Jonkper i Fil oraz paru znajomych.

Jak rozumiem, JuNouDet cały czas tłoczone jest w Czechach?
Tak. Współpracujemy z tłocznią, z którą mamy przetarty szlak. Poza tym, wyprawy do Czech zawsze są ciekawe.

Metro miał ze swoją płytą przygody i narzekał na to, że Czesi mają problem z wywiązywaniem się z terminów...
Różnie to bywa. Choć z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że nie narzekam na ich „terminowość". Z góry informują, jeśli mają natłok pracy. Mam nadzieję, że tym razem nie będzie żadnych obsunięć, ponieważ 28 kwietnia planujemy imprezę promocyjną i jest to deadline. Wtedy płyta musi już być.

Czy coś wskazuje na to, że winyle będzie można tłoczyć u nas, a nie jechać z nimi na południe?
To kwestia technologiczna. W Czechach została fabryka zajmująca się tłoczeniem wosków, jest tam stary park maszynowy. My też je mieliśmy, ale maszyny prawdopodobnie wywieziono za granicę albo na złom. To jedyna przeszkoda. Postawienie takiego czegoś stanowi spore przedsięwzięcie finansowe. Owszem, są firmy tłoczące winyle w niedużych nakładach i pewnie będzie się ich pojawiać coraz więcej. Póki co, słyszałem o dwóch zajmujących się tym komercyjnie. Jednak nie sądzę, żeby zmieniło się to na szeroką skalę. Będziemy musieli polegać na sąsiadach. Jeśli człowiek się w to wkręci, wcale nie wypada tak drogo.

rozmawiał Flint
(kontakt: junuomi.rec@gmail.com)





PRO-DUKCJA VOL. 9
BITNIX

Jeżeli mówimy w Polsce o brzmieniu, w którym zanurzasz się jak w wodzie – niebanalnym, miękkim, kompleksowo zaaranżowanym, bardzo muzycznym, zmuszającym do wielu przesłuchań, a zarazem otwartym na inne gatunki, to mówimy o duecie Bitnix. Tomasz i Jan znani są z przygotowania czterech utworów dla Grammatika (w tym „Papierosy" na albumie „3"), jak również remiksów dla Eldoki, O.S.T.R.'a, a nawet zespołu Triptik (na wosku firmowanym przez stronę rapfrancuski.pl). Znaleźli się także na Junoudet. Ich największym osiągnięciem jest póki co wyprodukowanie wszystkich utworów na współtworzonej z Eldo płycie „Człowiek, który chciał ukraść alfabet"

pytał Flint
foto Cess

Najchętniej słuchamy:
Bugz In The Attic, Sa-Ra, Platinum Pied Pipers, ATCQ, Herbie'ego Hancocka, Ahmada Jamala, Shadowa, RJD2 (Soul Position!!!).
Naszym zdaniem najgorszym okresem dla muzyki były lata:
Już prawie chciałem powiedzieć 80., ale jednak ten cały kicz coś w sobie ma... Najgorsze jest te parę lat, które zawsze nadchodzą, gdy jakaś formuła się wyczerpie i nie jest zastąpiona od razu nową jakością. Wtedy na scenę wkracza Maryla Rodowicz i reszta Parku Jurajskiego.
Nasz styl w jednym zdaniu:
Suma naszych gustów muzycznych.
Najtrudniejsze we współpracy dwóch producentów jest:
Dojeżdżanie na wspólną nasiadówę przy produkcji.
Najchętniej samplujemy:
Jazz lat 70. Bardzo przyjemnie się obrabia Davida Axelroda, Boba Jamesa, Laboratorium.
Beaty oparte na pętlach, to dla nas:
Rzecz fajna, ale wyczerpana formuła.
Beaty, z których jesteśmy najbardziej dumni:
Ja jestem dumny z Beaty Kozidrak, bo sobie sama pisze teksty i ma odwagę śpiewać, że kręci ją złoty deszcz.
Kwintesencją podkładu jest:
Melodia. Wszystko inne się nie liczy. Trochę to na przekór, bo powszechna opinia jest taka, że to nic tylko bębny i bas, ale tak naprawdę bez melodii nie da się zrobić nic ciekawego.
„Żywe instrumenty" w hip-hopie to:
Miłe urozmaicenie. Niektórzy twierdzą, że to już nie jest hip-hop, tylko „muzyka hip-hopowa", ale warto skończyć z takim fundamentalizmem.
„Elektronika" w hip-hopie to:
Wspaniała rzecz. A kto myśli inaczej, musiałby się wyrzec pierdzących basów Jaya Dee i westcoastowych piszczał.

Za najbardziej irytującą rzecz przy współpracy z raperami uważamy:
Absolutną bezkompromisowość MC's. Z nazwy i z założenia to producent firmuje kawałek i nie ma nic gorszego, niż kiedy nie da się wytłumaczyć, że coś nie brzmi fajnie.
Nasi trzej ukochani producenci to:
Trójka to za mało. Powiem: Pete Rock, J-Dilla, Mark de Clive-Lowe i mi zabraknie miejsca dla Premiera, Shadowa i Sa-Ra oraz dla Kaidiego Tathama, RJD2 i Scotta Storcha.
Nasi trzej znienawidzeni producenci to:
Don't hate on a nigga;)
Hip-hop instrumentalny jest dla nas:
Dobrym wyzwaniem. Nie sztuka zaprogramować jedną pętlę, która będzie pod zwrotką, drugą pod refren i w paru miejscach zrobić wyciszenia, wychodząc z założenia, że ktoś zarapuje na tym i wokal będzie pierwszoplanowy... Natomiast w momencie, kiedy jest 3-5 minut do zagospodarowania i „tylko" muzyka do dyspozycji, trzeba podwójnie kombinować, żeby ostateczny rezultat był ciekawy. Zresztą i tak wszystkie kawałki staramy się robić takie, żeby nie były nudne i bez wokalu.
Najbardziej chcielibyśmy współpracować z:
Herbie Hancockiem, Tomaszem Stańką, Jerzym Milianem, Mos Defem, Black Thoughtem, Q-Tipem, Roisin Murphy, Tiombe Lockhart, Jill Scott.
Podstawowy grzech polskich producentów to:
Brak umiejętności słuchania. Słuchać trzeba, żeby zrozumieć stylistykę, w którą się próbuje samemu wejść – bez odpowiednich wzorców się nie da. Mówimy tu przecież o muzyce, która powstała w Nowym Jorku, a korzenie ma na Jamajce. Żeby zrozumieć jej mechanikę, nie wystarczy słuchać (najczęściej bezkrytycznie) smętnych rodzimych produkcji. A tymczasem najbardziej charakterystyczną cechą polskiego hip-hopu jest brak wyczucia przy doborze sampli – jakby produkcja polegała na robieniu hip-hopu z czegoś, co nigdy nie będzie miało hip-hopowego charakteru.
Ludzie pytają, kiedy producencka, my odpowiadamy:
Jak tylko uzbieramy na realizację takiego materiału. Po wyprodukowaniu jednej płyty nie ma sensu robić następnej w niższym standardzie. Pomijając ten czynnik, możemy się zabierać od razu, bo to najlepsza zabawa.
O łączeniu reggae i hip-hopu, możemy powiedzieć, że:
Już wystarczy.
O łączeniu house'u i hip-hopu, możemy powiedzieć, że:
Na ile się orientuję, większość dzisiejszych producentów house'u zabrała się za tę muzykę po przygodzie z hip-hopem, więc to naturalny rezultat. Zresztą Armand van Helden jest najlepszym tego przykładem. Przychodzą mi na myśl jeszcze takie projekty jak Interfearance, Kojak, gdzie takie połączenia są widoczne i dają radę. Zresztą połączenia gatunków potrafią dawać zaskakująco dobre rezultaty, co widać na przykładach Thievery Corporation, The Prodigy, De-Phazz, Herbalisera, Massive Attack, czy też – z zupełnie innej strony – Beastie Boys. Otwieranie głowy na różne style procentuje.
Gdybyśmy mogli zabronić robienia hip-hopu w jakimś kraju, byłby to:
Niech będą to Węgry. Pewien znajomy, znany z rozszerzania horyzontów na siłę, katował się przez jakiś czas „węgierskim psychorapem". Oby jego dzieci nie musiały.
Mając beaty Keva Browna i Jazzy Jeffa, wybieramy:
Keva Browna – za największy swing w Philadelphii.
Mając beaty will.i.ama i Wycleffa, wybieramy:
Jazzy Jeffa z poprzedniego pytania – za klasyki dzieciństwa z Willem Smithem i za to, że się świetnie odnalazł we wciąż rozwijającym się brzmieniu philly sound czy neo-soul, czy jak tam to jeszcze zwą.
Mając beaty DJ'a Krusha i DJ'a Shadowa, wybieramy:
Shadowa. Czemu? – „Endtroducing". A szerzej rzecz ujmując, Krush robi muzykę dopieszczoną do granic możliwości – obróbka sampli, dopasowanie brzmień jest idealne, ale Krush jest minimalistą, zaś Shadow tworzy rozbudowane, bogate dźwiękowo struktury, jest piewcą „kultury winylowej", autorem najlepszej płyty na świecie.
Mając beaty Jaya Dee i Madliba, wybieramy:
Ś.p. Jaya Dee. Obaj prezentują podobne podejście do rzeczy, ale tam gdzie Jay Dee myślał o słuchaczu – czystej frajdzie, jaką powinien mieć ze słuchania – Madlib koncentrował się na eksperymencie. Momentami trochę na siłę, zwłaszcza w serii numerów zrobionych w pokojach hotelowych. Te kawałki brzmią, jakby były robione na odpierdol, a to nic fajnego.
Mając do wyboru wieczór przy country & western albo wieczór przy crunku & snap music, wybieramy:
T: Moja dziewczyna na pewno doceniłaby wieczór country & western jako formę urozmaicenia życia. Biorę. Dla Niej. No i dlatego, że jestem wiernym fanem stacji K-Rose w San Andreas.
J: Ja wybieram crunk, za „Forest Crunk" z płyty Aesop Rock'a:)
Najdziwniejsze produkcje świata wyszły spod ręki: Pewnie DJ Screw... Z drugiej strony MC/producent, który nagrał „Crookie Monster" (Agallah) musi brać naprawdę mocne środki.
Nigdy nie zrobilibyśmy beatu dla:
Kogoś, z czyją twórczością się nie zgadzamy.



PRZECENIENI VS. NIEDOCENIENI CZ. 4

LMNO

Due-payer

Nazwa Long Beach natychmiast przywołuje w myślach leniwą mieścinę na obrzeżach Los Angeles: słoneczne królestwo pimpów bujających się po ulicach low-riderami z potężnym subwooferem w bagażniku, zagłębie gangsta raperów na czele z samym Snoopem. Spójrz jednak dokładniej, a okaże się, że Long Beach ma też inne, bardziej duchowe oblicze. Problem w tym, że złoto łańcuchów błyszczy wyraźniej niż złote myśli na niezależnie wydawanych płytach, więc LMNO pozostaje niezauważony

Ten koleś nie wziął się znikąd. Nie publikował swych pierwszych kawałków na globalnym śmietniku, nie zabiegał o natychmiastowy rozgłos, nie wykorzystał nawet znajomości z wielkimi rapu, choć miał ku temu kilka okazji. Fakt, że na przełomie lat 80. i 90. trzymał się z DJ'em Speedem z N.W.A. powinien był mu przecież ułatwić zdobycie kontraktu, podobnie jak styczność z Dr. Dre, jaką umożliwił mu gościnny występ w teledysku do utworu „The Formula" D.O.C. na początku ubiegłej dekady. Zamiast łatwej i szybkiej kariery, Jason wybrał drogę okrężną, wiodącą przez podziemie, znaczoną potem, próbami cierpliwości i charakteru. Drogę, na wybojach której konsekwentnie buduje się własny styl, gdzie występy u boku Wu-Tang Clanu czy Gang Starr poprzedza ponad dekada spędzona na scenach małych klubów, a przed zaszczytem rymowania do podkładu Pete Rocka stoi udowadnianie swej klasy u boku takich mistrzów mikrofonu jak Dilated Peoples, Chali 2na czy Ras Kass. Mało tego – nawet gdy rozpiszemy jego ksywę „Leave My Name Out" (w nieudolnym tłumaczeniu własnym „Pomiń moje imię"), okaże się, że tak naprawdę nie o niego samego w tym wszystkim chodzi: „Nie uważam się za artystę solowego, czy coś w tym stylu. Inspiruje mnie wiele rzeczy i ludzi, na płytach pomaga mi wielu producentów. To tylko zbieg okoliczności, że podpisuję swe albumy własną ksywą". Dość napisać, że swej pierwszej 12" doczekał się po dziesięciu latach nagrywania, a pełnego debiutu po piętnastu. Chcecie wzorcowy przykład na „paying dues"? Nie znam lepszego niż bohater artykułu.

Cóż wyjątkowego ma LMNO? Teoretycznie niewiele. Jeszcze z rok temu mógłbym trywialnie napisać, że fryzurę: ze swoimi długimi włosami i brodą przypominał wtedy raczej gwiazdę grunge'u niż podziemnego rapera. Dziś już muszę się bardziej wysilić. Po pierwsze, głos (pamiętamy, co mówił Guru – „It's mostly the voice"). Głos więcej niż dobry, sytuujący się gdzieś między barwą Defari'a i Evidence'a, charakterystyczny, lekko szorstki, szybko zapadający w pamięć. Po drugie, flow. Tu nic nie jest przypadkowe. Raper wie, kiedy gadać spokojnie, a kiedy wybuchnąć. Wprawdzie złośliwi wytykają mu niekiedy monotonię, ale jak już ochłoną, to zawsze następuje zachwyt nad tekstami. Bo jeśli jest coś, co wyróżnia LMNO najbardziej, to jest to właśnie zawartość rymów. Wraz z rozwojem artysty stopniało znaczenie formy. Wystarczy porównać starego singla „Radiant" z takim – dla przykładu – „Clutch", gdzie raper dziękuje swemu ojczymowi za wychowanie, by zrozumieć, jak duże znaczenie dla swych słów przykłada nasz bohater: „Mimo że jestem wierzący, to mam dużo złych cech, bywam nerwowy czy egoistyczny. Jestem na scenie po to, by zwalczyć te słabości." Z biegiem czasu zmieniły się też proporcje między braggami a tekstami o Bogu i wierze (na rzecz tych ostatnich oczywiście), w postawie mc widać duże poczucie misji. Zamiast współpracy z innymi reprezentantami chrześcijańskiego rapu, usłyszycie go we wspólnym kawałku z RBX'em albo na tournee z Xzibitem, bo lepiej „mówić do tych, którzy są z dala od Boga" niż „modlić się do chóru". Za to odmienianie Boga przez wszystkie przypadki oberwało mu się trochę, i to z obu stron barykady. „Dla niektórych nie jestem wystarczająco wierzący, dla innych jestem zbyt chrześcijański, za często mówię o Bogu" – rymuje w „Industry Revival". LMNO ma jednak do powiedzenia więcej. Bez trudu znajdziecie u niego tematy polityczne: w „Hidden Agendas" dostaje się Bushowi i amerykańskim mediom, w „Damsel In Distress" przedstawia Stany od ciemnej strony, czyniąc to za pomocą mądrych argumentów zamiast rzucania wulgarnych okrzyków. Szukając numerów o sztukach, natraficie jedynie na kierowane do pięknych i wartościowych kobiet „Natural Beauty", podczas gdy w takim „Deeper" sprawa jest dużo poważniejsza i bardziej osobista – ten utwór to dosłowne oświadczyny. Nie przerażajcie się jednak, jest i solidny pokaz umiejętności, rzeczy bardziej standardowe: utwór „LMNO" to dynamiczna wyliczanka kolejnych liter pseudonimu, „Aerosol Migrants" jest skromnym hołdem dla graficiarzy, „1888" tym samym dla Long Beach, a „Souvenir" to wspomnienia z koncertów.

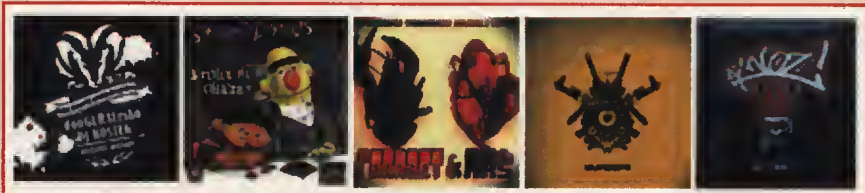
Prócz skillsów, LMNO ma coś jeszcze – wyczucie do znakomitych podkładów. Choć producentów zmienia przy okazji każdej kolejnej płyty, jedynie obecności Key Koola, jego starego znajomego, możemy być pewni. Na debiutanckiej (zatytułowanej po prostu „Leave My Name Out", wydanej przez Battle Axe w 2002 r.) za brzmienie odpowiedzialny był głównie Rob The Viking (obok m.in. Madliba i Evidence'a), dzięki czemu album był raczej mroczny. Na kolejnej, „Economic Food Chain Music", najwięcej słychać było Oh No, co skutkowało bitami oszczędnymi, dającymi się w pełni skupić na przestaniu mc. Przy okazji ubiegłorocznej „P's & Q's" pojawiają się niemal sami debiutanci – LD, J Thrill, DJ Khalil – a wraz z nimi więcej spokojnych melodii i nastroju, burzonego przez powalający „Better" Polyhedrona. Kto by to jednak nie był, bądźcie pewni, że warto kupować single LMNO, by mieć wersje instrumentalne.

Albumy zresztą też: prócz rapu zawsze dostaniemy świetną okładkę, natychmiast da się odczuć troskę o słuchacza. Spójrzmy na debiut – zdjęcie jelenia na wzgórzu na tle ciemniejącego nieba robi piorunujące wrażenie, z miejsca wiesz, że nie będzie to kolejna standardowa płyta. Dzięki drugiej wiemy, jakich zajęć imał się LMNO, gdy trzeba było płacić rachunki – malował wnętrza biur… „P's & Q's" wywołuje jeszcze większy uśmiech – oto stoi przed nami raper owinięty we fragmenty swoich tekstów.

To nie wszystko. Jason ma jeszcze znakomitych kompanów, z którymi tworzy skład Visionaries. Zróżnicowanie etniczne członków grupy pociąga za sobą różnice w stylach, co daje unikalny efekt. Jest tu więc 2Mex, słusznej postury Meksykanin, obdarzony jednym z najbardziej energetycznych flow, który na spokojnych podkładach sprawdza się może nienajlepiej, by w towarzystwie tych z większym kopem wybuchnąć niezmierzoną energią, podkreślaną charakterystycznym okrzykiem „aaawww" (chyba stąd wzięło się określenie „Busta Rhymes grupy"). O bity „z większym kopem" dba sam DJ Rhettmatic, członek legendarnej już załogi turntablistycznej Beat Junkies, gość o zdecydowanie azjatyckich rysach twarzy (pochodzi z Filipin), który – prócz produkowania – szoruje płytami pomiędzy wersami raperów. U boku 2Mexa i bohatera artykułu na mikrofonie usłyszycie jeszcze duet Writer's Block – Dannu (również Filipińczyk) i Lord Zen (czarnoskóry), chyba najlepszych technicznie w załodze, mistrzów gry pt. „słów cięcie-gięcie", o niemal bliźniaczo podobnych, lekkich stylach i plastycznym flow. Całość uzupełnia wspominany wyżej Key Kool (korzeniami sięgający Japonii), zgrabnie łączący umiejętności rymotwórcze i producenckie, choć znacznie lepiej sprawdzający się w tej drugiej roli, zachwycając dbałością o szczegóły. Trzy świetne albumy grupy dokumentują szokujący rozwój. O ile debiutanckiego „Galleries" (z 1998 roku) słucha się dziś raczej z ciekawością niż zachwytem, a z „Sophomore Jinx" wyłowić da się kilka pereł, tak ostatni krążek „Pangea" to dzieło kompletne, naładowane mocnymi bangerami, których poziom nie spada przez ponad 70 minut. Czwartego, nadchodzącego wielkimi krokami, albumu Visionaries wręcz się boję, na szczęście premierę przesunięto na sierpień. A jeśli chcecie zobaczyć na jego okładce swoją fotkę, to ruszać na stronę Up Ubove Records…

hadero





MODA NA MIXTAPE

tekst Flint / Cess

Wreszcie!!! Wreszcie mixtape'y zyskały należną im uwagę. Przedstawiamy wam pięć absolutnie różnych ostatnich wydawnictw tego typu krążących ostatnio wśród słuchaczy. Na samym dole tekstu zaś macie namiary na to, jak je dostać.

Powinniśmy zacząć od Tedego, jego mixtape był wcześniej, ale poświęcimy mu najpewniej wkrótce większy materiał, gdzie zajmiemy się również tą kwestią. Tak więc zaczynamy od Gurala i DJ'a Kostka i ich „Jointów, konserw i muzyki bez przerwy". Uwaga, „skurwysyny robione chujem z plasteliny", to ruszy wasze stawy „jak jebany aerobik". DGE jedzie jeszcze bezczelniej, bez jakichkolwiek oporów, taka formuła najwyraźniej go uskrzydla. Czy to szalone remixy, czy rzeczy wygrzebane z archiwów PDG – typ jest w formie, ma za sobą swoich ludzi (nawijają coraz lepiej) i Kostka nieustająco przypominającego o swojej obecności. Szczytowa forma, nakazująca określać Gurala jako number one rodzimego emceeingu, to „Yo mama", miło słuchać, jak niszczy „Don't Say Nuthin'" Scotta Storcha. W ogóle warto słuchać czekając na trzecie solo. Kiedy? DGE wie, że „wieczorem będzie sześć-dziewięć", ale na pytanie „co będzie jutro" odpowiada „wiesz, nie wiem".

Następna na liście jest kontrowersyjna pozycja – „Królowie Południa" Stahu Staha i Dynusa. Czemu kontrowersyjna? To tester luzu i dystansu. Można uznać to za dresiarską nawijkę o „maskach fur" i „spermie na mango". Wersów w stylu „Dtwórz usta jak jesteś, kurwa, pusta" czy „Pierwsza opcja wódę lać / druga opcja spierdalać" jest tu na potęgę. Nawet gościnnie wpadający Pierrot (to nie wyjątek: jest Wozu (!), jest BRX) ma linijki w stylu: „Kurwy lubią hajs / ja lubię kurwy i hajs / mam, chodź kurwo, to ci go dam". Z tym że czuć jazdę panów na południe, widać dużo pracy, choćby przy doborze połamanych beatów z hi-hatami idącymi seriami i chwytającymi melodiami. Nie ma tu wielkiego rapu i wielkiego flow, ale są ludzie, którzy flow umieją się bawić i chcą to robić. Wyszedł gorący, ostry materiał na lato, z dużą ilością krótkich kawałków przechodzących w siebie, a nawet pierwszym polskim „screwed" (chodzi o słynne południowe spowalnianie beatów). Sam w to nie wierzę, ale polecam.

Mixtape „O dwóch takich, co kradli bity" to wspólna inicjatywa podziemnych mc – Rasa i Peerzeta. Wkurzeni na leniwych producentów „pożyczyli sobie" podkłady lepszych kolegów zza oceanu. Najczęściej radzą sobie w miarę dobrze, choć trzeba przyznać, że Peerzet jest lepszy od Rasa, a obaj znacznie lepiej wypadają w utworach żartobliwych. Dtwierający płytę „Portfel na diecie" zaczyna się od wersów tego drugiego emce: „Mój portfel i moja panna nie znają się przecież / ale tak się zgrywają, że są razem na diecie" i już wiadomo, że nie może być źle, choć kiedy za mikrofonem staje lubawianin, to ilość wersów wpadających w pamięć wzrasta, na przykład: „Miałbym już 10 płyt w tym 5 legalnych / ale bitmejkerów za często rzucają panny" czy „Kobieta powinna być damą przy stole i dziwką w łóżku / a większość z nich nie wie, jak używać sztućców". Niestety, na wolniejszych bitach, przy mniej prześmiewczej konwencji chłopaki już tak nie błyszczą. Ras najczęściej jęczy, a obu panom brak polotu i błyskotliwości. Mimo to, rekomendacja.

Polscy DJ'e wypuszczając mixtape'y najchętniej sięgają po klimaty dancehallowe. Znany z różnych dj'skich inicjatyw Trakmajster także się na to zdecydował, wydając „Majstersztyk", miks 41 utworów odwołujących się do jamajskich tradycji. 40 minut muzyki kryje w sobie duży imprezowy potencjał i ładunek pozytywnej energii. Nie ma się do czego doczepić, są ciekawe blendy, jest kilka hitów i kilka rarytasów, a także ekskluzywne wersy krakowskich raperów, z których moją uwagę najbardziej przyciągnęła zwrotka Tobiego. Nie ma za to fajerwerków, jeżeli chodzi o turntablizm – skreczy jest kilka i raczej są smaczkami. Jeśli lubicie mixtape'y w takiej formie i nie przejadł się wam jeszcze dancehall, możecie spokojnie wzbogacić swoją kolekcję.

Pierwszy kontakt z „Mixtyfikcją 5" DJ'a Noza zapowiadał kolejny mixtape naćkany pięćdziesięcioma utworami w konwencji MTV Base/Viva. Dczywiście jest więc Ruff Ryderz, The Game, G-Unit, LL Cool J, Timbaland i niezniszczalny Dr Dre, ale rzecz nie wygląda źle. Sporo zgranych hitów jest w remiksach Noza, repertuar uzupełniono reggae i jego pochodnymi oraz funkiem i oldschoolowym rapem. Wszystko to nieźle zmiksowano. Nie ma więc nudy i można posłuchać.

Namiary: www.donguralesko.pl, http://www.artderue2.vel.pl/infopage.php?id=24, http://mixtape-2006.xt.pl, www.trakmajster.com, www.djnoz.pl.

NIELEGALE



BIG UP CREW
WIĘCEJ LUZU LP
BIGUPCREW@INTERIA.PL

Do gówniarskiego klimatu Big Up Crew ze Słubic trzeba się przyzwyczaić. Nie ma w nim nic złego, tyle że w pewnym momencie dochodzi się do wniosku, że życie to coś więcej niż dupy zmieniane jak rękawiczki, imprezy przerywane przez sąsiadów, parki, do których parki wpadają na szybki numerek, rapowe płyty, alko i jointy, po których rozpierdalasz w barach bistro cały hajs (a nie ma go dużo, choć hajs znaczy tyle co „Pink Floyd dla starych"). W rymach prym wiedzie Emrat – czuć większe doświadczenie i równy poziom. Deni Wieczny Dzieciak i Gruby Toni potrafią zażenować infantylnym wersem, ale i na szczęście błysnąć, są też wyraźnie (zbyt wyraźnie) zajarani Smarkiem i Zkibwoyem. Chwała całej trójce za sporo świeżych metafor, niezwyczajną zwyczajność (olbrzymia ulga po erze hardcore'owców z wyboru i ponapinanych bananowców), follow-upy do starego polskiego rapu i ładnie poklejone linijki. Gimnazjalno-licealni słuchacze powinni to łykać jak pelikany, starsi mogą marudzić. Być może przekonają ich beaty (głównie Expe, ale i Flamaster, ZNA, Kixnare, Bober), raczej ilustracyjne niż przykuwające uwagę, choć niezmiennie eleganckie i dla odmiany bardzo „back in the days".



AITE
ŻYJ I DAJ ŻYĆ

Aite nawija jak krzyżówka Fu z 2Pakiem. Dynamicznie, prosto, niechlujnie i przeciągając, ale mając w sobie coś przykuwającego uwagę. Może autentyzm – słychać, że to ktoś, kto trzynastolatek robiących loda za szlugi nie widział jedynie na TVN i wie, o czym nawija. To hardcore, ale z emocją w miejsce pretensji i ogólników serwowanych przez grube karki. I na akceptowalnych beatach – można by się czepiać wykorzystanych perkusji, samplowania (oj, dłuuugie sample) gitar, patetycznych smyków i słodkich pianinek, brzmiących jak rżnięte bezpośrednio z kompaktu. Ale perkusje są ułożone nieźle, sample harmonizują, goście coś wnoszą (zwłaszcza Mod) i różnią się od gospodarza. I to wystarczy. Wszyscy, którym podobało się choćby krakowskie Yez Yez Yo, którzy lubią rap nieskomplikowany, ale z sercem i bez przesadnego buractwa, powinni być zadowoleni.



REPO/KORZEŃ
2029 PROJEKT
MLAPER@POCZTA.FM

Repo rapuje dla was z jarosławskich osiedli. Dykcja, głos, flow, technika – wszystko to w normie, brak niestety daru wnikliwej obserwacji, jakiejś niespodzianki, konceptu, opowieści, czegokolwiek zwracającego uwagę na wyjątkowość mc. Korzeń produkuje za to bardzo fajnie, taki „post-Kanye West", z duszą i wyraźną jazdą w stronę soulu i funku, lekko, miękko. Składa się to na jak najbardziej słuchalną płytę z tych, co nie powinny wadzić nikomu. Warto też odnotować zupełnie historyczną kwestię – nagrane razem z Duchem „Uciec" to przykład, że w undegroundzie można nagrać śpiewany refren, który dobrze brzmi. Naprawdę, da się. Tylko trzeba pokombinować i nie podrywać koleżanek z klasy na „wiesz, nagrywam płytę, może siekniesz refrenik?".



DWÓCH WARSZAWIAKÓW
TEGO JESZCZE NIE GRALI
HTTP://DWOCHWARSZAWIAKOW.ONE.PL

Dwóch Warszawiaków, czyli Cyjan i Kolso. Za co można ich lubić? Za laidbackowe, przestrzenne, trochę jazzowe brzmienia, ze szczyptą zachodniego wybrzeża i dodatkiem żywych instrumentów. Dobrze to brzmi. Za dobre oddanie charakteru WWA – w przeszłości („1 września, 1 sierpnia") i teraźniejszości („Nie strugaj kozaka"). Za własną drogę bez kopiowania stołecznych styli, co jest plagą. Za pozytywność. Za co można ich nie lubić? Za zbyt napastliwe flow do takich podkładów. Za wolny progres od czasu pierwszej płyty. Wreszcie za skrajną prostotę formy i nawijanie rymami w stylu „Zwątpili / pomyli", „silny / niewinny", „muszę / poruszę". Decyzja należy do was, dodam tylko, że na płycie jest ponad 40-minutowy film (!!!), na którym wśród wielu atrakcji można zobaczyć, jak zachowuje się wóz, gdy pomylisz „dwójkę" z „czwórką".

tekst Flintuś



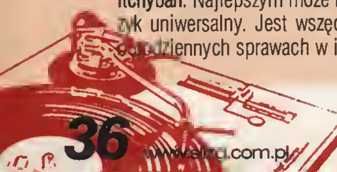
INNA STRONA MUZYKI
CULCHA CANDELA

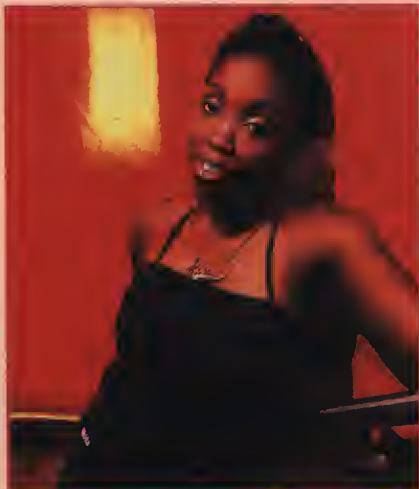
Trudno nazwać Culcha Candela (co oznacza „płonącą kulturę") niemieckim zespołem, bo w jego skład wchodzi tylko jeden Niemiec (Mr. Reedoo), a poza nim nasz rodak Itchyban (w cywilu Mateusz), pochodzący z Ugandy Johnny Strange, Kolumbijczycy Don Cali, Lafrotino i Larsito oraz mający koreańskie korzenie DJ Chino. Bezpieczniej więc będzie nazwać CC zespołem z Berlina. Tworzona przez ten barwny skład energetyczna mieszanka reggae, ragga, latino i rocka sprawdza się znakomicie na koncertach. I właśnie przed warszawskim występem Culcha Candela miałem możliwość porozmawiania z Itchybanem, Mr. Reedoo i Johnnym Strange'em

Jakie były początki Culcha Candela?
Itchyban: Poznaliśmy się w 2001 roku – najpierw było nas trzech, potem dołączyła reszta. Zespól założyliśmy 7 lipca i było nas już wtedy siedmiu – idealne połączenie. Występujemy razem od blisko czterech lat, wydaliśmy kilka płyt, a teraz mamy sporą trasę koncertową, m.in. po Niemczech, Austrii i kilka występów w Polsce, gdzie się urodziłem. Nasz album, „Next Generation", ukazał się nie tylko tu, w mojej ojczyźnie, ale również w Holandii, Francji, Kolumbii i kilku innych krajach. To fantastyczne.
Co tak naprawdę oznacza tytuł Waszej płyty? Czy chodzi o nową jakość muzyki, czy nowe pokolenie młodych ludzi, zjednoczonych niezależnie od granic, koloru skóry czy poglądów?
Mr. Reedoo: Chodzi o obie sprawy. Nowa generacja muzyki z pewnością, bo mieszamy rozmaite gatunki w sposób, jaki niewielu ludzi przed nami robiło. I o nowe pokolenie, bo chcemy, by ludzie się jednoczyli, tak jak w naszym zespole. Culcha Candela to ludzie z Niemiec, Polski, Kolumbii, Ugandy i Korei. Z pięciu państw leżących na czterech kontynentach. Możemy być jedną rodziną, niezależnie od tego, skąd pochodzimy i niezależnie od tego, co mówią politycy.
Johnny Strange: Swoją muzyką i swoim stylem życia chcemy dać przykład innym. Jeśli będziemy żyć w zgodzie, jeśli będziemy ze sobą szczerze rozmawiać, jeśli będziemy się ze sobą w jakikolwiek sposób kontaktować – choćby przez muzykę – to możemy naprawdę uczynić świat trochę lepszym miejscem.
Itchyban: I chodzi wreszcie o nowe pokolenie muzyków. Na całym świecie mieszają się różne gatunki – rock, hip-hop, reggae. My też chcemy mieć w tym swój udział.
Czy uważacie, że muzyka jest najlepszym sposobem na jednoczenie ludzi?
Itchyban: Najlepszym może nie. Ale na pewno jednym z najlepszych. Muzyka to język uniwersalny. Jest wszędzie i pozwala przełamywać bariery, pozwala myśleć o codziennych sprawach w innym świetle.
Mr. Reedoo: Żyjemy w bardzo racjonalnym świecie, w którym większość ludzi jest skoncentrowana na biznesie, polityce i tego typu rzeczach. A muzyka to sposób, by dotrzeć prosto do ich serc. Ludzie mają dość świata pokazywanego im przez telewizję, gazety i polityków. Dzięki muzyce mają szansę zastanowić się głębiej nad tym, co się dookoła nich dzieje.
Johnny Strange: Muzyka jest prawdziwą potęgą, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy dostęp do niej jest taki łatwy. Możesz kupować płyty, ściągać muzykę z Internetu, chodzić na koncerty. I jeśli spośród dwóch tysięcy osób, dla których gramy jakiś koncert, dwadzieścia pomyśli później nad tekstami, to będzie nasz sukces.
Wspomnieliście kilka razy o polityce. Czy to ważna część Waszego życia?
Itchyban: Generalnie nasza opinia o polityce nie jest najlepsza. Nie jesteśmy zależni od żadnych rządów, ale niewątpliwie politycy mają wpływ na całe nasze życie. Tak jak choćby w moim przypadku: moja mama wyjechała z Polski z powodu represji politycznych w czasie stanu wojennego. Teraz wiele się zmieniło. Możemy mówić to, co chcemy, mamy prawo wyboru. Polityka sama w sobie nie jest ani niczym złym, ani niczym dobrym. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób się ją wykorzystuje. Culcha Candela nie jest zespołem politycznym, ale w naszych tekstach tego tematu nie brakuje. Mam nadzieję, że ludzie potrafią wyciągnąć z tego wnioski. Zresztą w jakiś sposób nasz zespól jest sam w sobie politycznym oświadczeniem: siedmiu całkowicie różnych ludzi, którzy potrafią się ze sobą dogadać i wspólnie coś stworzyć. Tak to powinno wyglądać (śmiech).
W jaki sposób Berlin wpływa na Waszą muzykę?
Mr. Reedoo: Berlin to moim zdaniem miejsce, gdzie wszystko może się wydarzyć. Tu mieszają się przeróżne wpływy kulturowe, mieszkają ludzie z różnych części świata, wymieniają swoje doświadczenia i przeżycia. Gdzie indziej powstanie takiego zespołu jak Culcha Candela byłoby o wiele trudniejsze. Ale wpływ na nas mają też kraje, z których pochodzimy, miejsca, w których gramy koncerty, z każdego z nich można zaczerpnąć coś świeżego, nowego. Berlin to cudowne miasto, ale nie ogranicza nas w muzycznych poszukiwaniach.
Kiedyś organizowaliście w Berlinie cykliczne imprezy „Culcha Nights". Czy robicie je do dziś?
Itchyban: Nie, teraz nie dalibyśmy rady. Od tych imprez w ogóle się wszystko zaczęło. Nie chcieliśmy czekać, aż pojawi się ktoś, kto nas zaprosi do zagrania koncertu, więc zaczęliśmy sami organizować imprezy. To był najlepszy sposób na promocję. Graliśmy tam zresztą różne rodzaje muzyki, często występowaliśmy na żywo. To trwało jakieś półtora roku, potem nasza kariera zaczęła się rozkręcać i nie mogliśmy już dłużej ciągnąć „Culcha Nights". Wszystko potoczyło się innym torem. Zresztą, trzeba było przerwać, gdy byliśmy w najlepszej formie, żeby ludzie nas dobrze zapamiętali (śmiech).
Podobno te imprezy, tak jak Wasza muzyka, miały być przeciwwagą dla hardcore'owców z Aggro Berlin...
Itchyban: Nie chciałbym, żeby doszło tu do jakichś nieporozumień. Nie mamy absolutnie nic przeciwko raperom z Aggro. Znamy się osobiście i szanujemy nawzajem to, co robimy, ale to po prostu nie nasz przekaz.
Mr. Reedoo: Wolimy dać ludziom pozytywne słowa. Chcemy ich motywować, żeby zaczęli robić coś ze swoim życiem, a nie oskarżali społeczeństwo o wszystko, co im się nie uda. To nie nasza droga. My chcemy przekonać tych, którym się nie powiodło, że zawsze są inne sposoby niż przemoc.
Itchyban: Poza tym nie rozumiem, dlaczego dzieciaki w Niemczech chcą słuchać o biedzie i złych rzeczach. Większość z nich żyje w dobrych rodzinach, mieszkamy w bogatym kraju, o wiele bogatszym niż Polska, nie mówiąc już choćby o Kolumbii. Śmieszą mnie niemieccy raperzy, którzy mówią o życiu w getcie. Jakie getto? Już prędzej mógłbym tak powiedzieć o szarych i smutnych osiedlach w Warszawie niż o przedmieściach Berlina. Ale tak naprawdę pytanie, jakie powinniśmy sobie zadać, nie brzmi: „Co jest nie tak z Aggro Berlin?", bo oni wpasowali się w jakąś konwencję. Powinniśmy raczej zapytać: „Co jest nie tak z naszym społeczeństwem?". Dlaczego ludzie się z tym identyfikują, dlaczego chcą słuchać o złych i dołujących sprawach? Może spokój, pieniądze i stabilizacja stały się dla nich zbyt nudne i jest to jakaś forma buntu? Nie rozumiem tego.
To nie jest Wasza pierwsza wizyta w Polsce. W tym roku zagracie tu cztery koncerty. Może więc pora nagrać jakiś utwór z polskimi wykonawcami?
Itchyban: Nigdy nie wiadomo. Na międzynarodowej wersji naszego albumu (czyli tej, która ukazała się również w Polsce – przyp. red.) znalazła się wersja piosenki „In da city" nagrana z raperem z Rosji. Seryoga to świetny muzyk i chociaż nie zrozumiałem ani słowa z tego, co nagrywał, to muszę przyznać, że ma świetny głos i dobre flow. Z polskich płyt podobał mi się ostatnio album Sidneya Polaka. Dużo dobrego słyszeliśmy o polskim hip-hopie, może więc kiedyś coś z tego wyjdzie. Tym bardziej, że chcę tu przyjeżdżać jak najczęściej, bo mam tu rodzinę i dobrych przyjaciół.
A może sam spróbujesz zaśpiewać po polsku?
Itchyban: Może tak (śmiech).

rozmawiał Kubanos

Culcha Candela wystąpią wkrótce na Juwenaliach w Gdańsku (18 maja) i Wrocławiu (19 maja). Sprawdźcie też www.culchacandela.de





BITWA O ANGLIĘ VOL. 10
ESTELLE

Od pewnego czasu młodzi Brytyjczycy mają nową królową. Nie żeby Elżbieta II niepostrzeżenie odpłynęła do Awalonu, wcale też nie chodzi o to, że pokochali prawdziwą oraz gorącą brytyjską miłością Camillę Parker Bowles, bardziej męską od samego księcia Karola. Ich ulubienicą, która niewątpliwie zasłużyła sobie na tytuł Królowej tamtejszego hip-hopu, jest Estelle

Niezwykle utalentowana i przedsiębiorcza córka Afrykanki z Senegalu i imigranta z karaibskiej Grenady przyszła na świat 18 stycznia 1980 roku, omal nie odbierając przy tym życia swojej matce. Natomiast w wieku 18 lat postanowiła, że czas wypłynąć na szerokie wody rap-biznesu, a efektem wynikającym z realizacji tego zamierzenia jest płyta „18th Day". I już na pierwszy rzut oka widać, że dla tej dziewczyny liczba 18 jest bardzo ważna i wszystkie istotne wydarzenia stara się podporządkować właśnie jej. Oczywiście zanim można ją było usłyszeć na niezliczonych imprezach open-mic czy na koncertach w najpopularniejszych londyńskich klubach „z charakterem", jak Subterania, Estelle zajmowała się wszystkim, tylko nie wykonywaniem własnych tekstów publicznie.

Chociaż w jej rodzinnym domu rap był drażliwym tematem, ponieważ wujek, który przynosił młodej Estelce kasety z nagraniami Kool G. Rapa czy Big Daddy Kane'a, był raczej na bakier z prawem, jej mama – miłośniczka reggae (na którym Estelle się wychowywała) – usłyszawszy o ambicjach córki („mamo, chcę być raperką") namówiła ją do śpiewania w kościele. Musicie jednak wiedzieć, że nawet w podrzędnym angielskim kurorcie, w kościele pełnym najbielszych metodystów podczas niedzielnego nabożeństwa można usłyszeć tradycyjne standardy gospel jak „Tiny little baby", więc sugestia pani Swaray była jak najbardziej uzasadniona. Wydaje się, że w dużej mierze dzięki praktykom w chórze, młoda artystka stworzyła tak eklektyczny debiutancki krążek, będący wypadkową najlepszych soulowych tradycji Motownu, typowych wyspiarskich akcentów rockowo-rapowych, karaibskiej żywiołowości i umiłowania muzyki, brytyjskiego poczucia humoru oraz kobiecej wrażliwości.

Ciekawe jest to, że panna E., jako osoba dziarska i lubiąca trzymać swoje sprawy we własnych rękach, zanim nagrała pierwszy wokal na „The 18th Day", produkowała rapowe teledyski, pisała recenzje dla afrocentrycznego portalu DarkerThanBlue.com i pracowała w jednym z hip-hopowych sklepów na Soho – Deal Real. To stamtąd trafiła za mikrofon, a po pewnym występie we wspomnianej Subteranii jeden z oldschoolowych brytyjskich producentów, DJ Skitz, zaprosił ją na swoją składankę. Potem był projekt Domestic Science, gdzie Estelle wystąpiła z dwiema dziewuchami, które nie wykorzystały danej im szansy (Tempa i Wildflower). Jak sama artystka wspomina, to był dla niej strasznie trudny okres: odeszła z pracy, wyniosła się z domu, a większość ludzi, choć rozpoznawała ją na ulicy, raczej uprawiała „hejting" wobec szerzej nieznanej, lansowanej przez media branżowe panienki.

Szczęśliwie, zgodnie z popularną maksymą Oskara Wilde'a (tą o zabijaniu i wzmacnianiu), wszystko to wyszło Estelle tylko na dobre. Zresztą, tak samo jak gorzkie słowa nie dołowały, tak i pochwały, choćby z ust samego Westwooda (miłośnicy MTV znają go z Pimp My Ride UK, a fani grime'u zapewne zauważyli go w jednym z klipów Roll Deep – wystarczy powiedzieć, iż jest to ważna persona na tamtejszym rynku muzycznym), nie przewróciły jej w głowie. Do dziś należy do grupy artystów najbardziej żywiołowych, ekspresywnych i wkładających całe swe serce w każdą piosenkę czy koncert. Raperzy tacy jak Rodney P przyznają, że strach po niej występować, bo wysoko ustawia poprzeczkę, a nikt nie lubi widzieć rozczarowania i znudzenia na oczach imprezowiczów pod sceną. Dodatkowo ma olbrzymi potencjał komercyjny – na jej debiutanckim albumie pełno jest potencjalnych singli, sporo przebojów wpadających w ucho albo takich bardziej „przytulaśnych", przy czym jej teksty to nie infantylne R'n'B czy dziewczyński rap o rozterkach rodem z gimnazjalnego kibla.

Estelle ma także swój label, Stellarents, który założyła „na wszelki wypadek". Wydaje tam nie tylko swoje płyty i single, ale także mixtape'y serii „Da Heat" (dostępne są dwie części). Ponieważ – według najświeższych wieści – jej druga płyta jest na ukończeniu, miejcie się na baczności, bo ta kobieta ma dużo do powiedzenia i milion sposobów, by zrobić to atrakcyjnie. Stąd na koniec cytuję jedną z wypowiedzi Estelle: „Rap bez melodii? Nigdy bym tego nie potrafiła nagrać!".

cess yeah

LICZ, BITCH!
20 - 29

20 „W Polsce mamy wielu doskonałych raperów idealnie wchodzących w takty", pisze na 20 stronie książki „Polska kultura hip-hopowa" Pawlak. Nie, nie Waldemar. Renata. Drodzy raperzy, nie róbcie tego uczonej kobiecie, ujawnijcie się wreszcie!

21 Lubimy, kiedy wielcy dają ciała, co? Rap Jaya-Z na „The Best of Both Worlds" został oceniony przez Urban Smarts na 21 punktów na 40 możliwych. Porównano go do marnego szwedzkiego bufetu, którego koszt nie zwraca się niezależnie od tego, ile zeżresz. „Jeśli to rzeczywiście 'najlepsze z obu światów', nie chcemy słyszeć reszty", podsumowuje recenzent.

22 W kultowej powieści Josepha Hellera lekarz ma obowiązek zwolnić od lotów wojskowych każdego, kto zwariował. Kruczkiem był Paragraf 22 zakładający, że jeśli wykazujesz chęć zwolnienia się z lotów i uniknięcia śmierci, to jest to dowodem absolutnej normalności. Bezsensowne? Owszem, i to na tyle, by zagadnieniem zajęli się raperzy – między innymi J-Zone, DJ Quik, a nawet 69 Boyz (nie jest to dowód na to, że umieją czytać, bo powieść zekranizowano).

23 „Świat zwariował w 23 lata", rymował Tede na składance Volta, ale tak naprawdę zaczął wariować po 23 latach. Ciekawe czy Tas De Fleja widział się wcześniej jako kucharz na antenie TVP2, aktor w serialu policyjnym, osoba dubbingująca kreskówki, bądź as niskobudżetowej telewizji niezrozumiale mamroczący przy zapowiadaniu discomulskich nagrań, a następnie zdejmowany po jednym programie. Gwiazdą jak Edyta Górniak i tak nie będzie, jednak – jak to mówił KRS-One – „na niebie jest milion gwiazd, ale kiedy wychodzi słońce, żadnej nie widać". Życzymy więc pomyślnego świecenia – nie tylko oczami.

24 jak Michael Jordan. Zawsze kojarzono go z numerem 23, ale cóż, tutaj musiał ustąpić Tedemu. Gwiazda to gwiazda, raczej, raczej... Wiecie, trzeba znać miejsce w szeregu. Swoją drogą, MJ jest 24. z kolei koszykarzem wymienionym w „Basketball" Kurtisa Blowa. Pierwszy był zaś... nie, nie Massey – Julius „Dr. J" Erving.

25 powodów, dla których nikt nie kocha Meza: ma ładną żonę, zdrowe dziecko, szeroki uśmiech, wzrost Jarosława K., a wszystko to pokazuje na sesji w kobiecym tygodniku. Jest z Wielkopolski, błyszczy w Opolu, nie błyszczy u Wojewódzkiego. Wydaje w UMC, spędza wakacje w tropikach, trzyma się nie z tym Kaczym, co wypada. Studiuje, jest grzeczny, wciąż podkreśla bycie „polskim Will Smithem", klei wielokrotne rymy na siłę, łączy hip-hop z piłką nożną. Wymawia „om" zamiast „ą", ma problemy z odmianą przez przypadki i angielskimi terminami, podśpiewuje. Podpada Peji, zawstydza Numera, nie daje się zjeść Mesowi, podaje się na tacy Markowi Borowskiemu, choć jego polityczno-społeczna świadomość w tekstach ma poziom gimnazjalnych pogadanek.

26 mc występuje w słynnym już singlu BC. Tak naprawdę 26% z nich to mc, reszta to dopiero materiał na mc bądź ludzie, którzy rzadziej niż w werbel trafiają jedynie w sedno. Ale kto by nie chciał się pokazać przed kamerą? „Ema mamo, mówiłaś że hip-hop to dno, a tutaj macham siekierą w telewizji. Powiedz babci". Represent, represent...

27 lat temu świat miał pecha. Nie dość, że Sugarhill Gang wypuścił „Rapper's Delight" kradnąc instrumental Chic, rymując na nim cudze linijki i zgarniając splendor należny oficjalnie debiutującemu wcześniej Fatback, to jeszcze urodzili się The Game i Fabolous.

28 „Przeklęte, wierszowane, pedalskie gówno!" Tak mówi grany przez Brada Pitta bohater filmu „Siedem" w jego 28 minucie. Komentuje „Boską komedię" Dantego. O „Królu aniołów" DKA mówiłby gorzej.

29 Swizz Beatz zajął ostatnio 29. miejsce na słynnej „Power 30" „The Source'a". Sukinsyn jest na fali. Znowu. Najlepiej świadczy o tym singiel Busta Rhymesa, joint dla T.I.'a, współpraca z Cassidym i sami Bone Thugs w jego Full Surface Records. Na pocieszenie, stary „The Source" mówiący o wyższości szwajcarskiego sera („Swiss cheese") nad Swizz Beatzem: „Kiedy wrzucisz szwajcarski ser na kanapkę, ktoś ją prawdopodobnie ugryzie. Kiedy wrzucisz Swizz Beatza do radia, ktoś prawdopodobnie będzie gryzł."

Begbie Edward Rockwell



Endo, czyli Agata Nowicka, należy do grona najpopularniejszych i najbardziej rozchwytywanych twórców netartu. Zaczynała od rysunków publikowanych w Internecie - najwięcej z nich możecie znaleźć na komix.blog.pl - obecnie jej sztuka przeniosła się także na bardziej namacalne nośniki. Co miesiąc możecie oglądać okładki „Lampy" jej autorstwa, a inne grafiki zdobią strony „Exclusive'a" czy „Elle". Ponadto dzięki akcji „Rodzić po ludzku" dodatek do „Gazety Wyborczej" „Wysokie Obcasy" publikuje jej pamiętnik ciążowy. Mogliście też zauważyc próbkę jej umiejętności trzymając w ręku płytę Pidżamy Porno, czy mijając na mieście plakaty reklamujące film „Oda do radości"

rozmawiała Cess
ilustracja Endo

Pierwsze, dość banalne pytanie – jak wygląda Twoje „studio"? Czy jest tam coś więcej niż komputer? I czego w tej chwili używasz do tworzenia obrazów?
Tak, tablet i bałagan. Nadal rysuję w Paincie, ale używam też Photoshopa.
Zdarza ci się rysować coś niewirtualnie?
Na szczęście, coraz częściej. Ekran mnie zmęczył.
Czy przy tworzeniu swoich wizualnych zapisków z życia w stylu komix.bloga korzystasz z aparatu fotograficznego jako czegoś na kształt notatnika, z którego później tworzysz właściwą grafikę?
Nie mam aparatu, ale zdjęcia jako punkt wyjścia czasem bardzo się przydają. O wiele większą satysfakcję sprawia jednak rysowanie bez ich pomocy. Nie mogę oprzeć się poczuciu, że używanie zdjęć to droga na skróty.
Komix.blog powstał kilka lat temu jako wspólny projekt Twój i Bellego. Można odnieść wrażenie, że z czasem go zdominowałaś.
Komix został kompletnie zaniedbany, ale to fakt, oboje z Belle'em mamy ciągle pełne ręce roboty.
Jest pewien rysownik – mam na myśli Ernesta Gonzalesa – który sprawia wrażenie, jakby czyhał na okazję, by sparodiować Twoje grafiki. Jak podchodzisz do tego, co robi? Czy w ogóle znacie się osobiście?
Poznałam Ernesta. Uważam, że rysuje tak samo ślicznie, jak się nazywa (bo wygląda jak kawał drania). Gdyby jeszcze nazywał się Eduardo, miałby dożywotnie pozwolenie na parodiowanie każdej mojej pracy. Zdaje się, że dawno mu się to jednak znudziło.
Od paru lat Twoje życie chyba regularnie przyspiesza. Jest Cię coraz więcej w różnych magazynach, w galeriach... Czy to narzucone samej sobie tempo nie powoduje, że tworzysz bardziej z obowiązku niż z przyjemności?
Nie potrafię zdecydować się na życie tylko z rysowania, co oznacza, że rysuję głównie po godzinach. Jedyne co psuje przyjemność rysowania, to pośpiech. Nie myślę o tworzeniu jako o obowiązku, staram się pamiętać, że bycie rysownikiem jest spełnieniem moich marzeń.
Jak pokazują statystyki, jesteś w mniejszości młodych kobiet, które świadomie zdecydowały się na dziecko. Jak się w ogóle czujesz w nowej roli, bo mimo że rozmawiamy jeszcze przed narodzinami Twojej pociechy, to świadomość macierzyństwa chyba już się pojawiła?
Jeszcze nie, ciąża to bardzo abstrakcyjny stan, pełen pytań bez odpowiedzi. Nie wiem, czego się spodziewać i na wszelki wypadek staram się zrobić jak najwięcej, zanim zostanę mamą.
Pamiętam taki odcinek komixu, w którym siedzisz z koleżanką, a za oknem przechodzi matka z dwójką dzieci. Czy dziś narysowałabyś to inaczej?
Nie wiem. To stary rysunek, a ja nie jestem jeszcze po drugiej stronie szyby.
Zdecydowałaś się też na publikację komiksowego pamiętnika ciążowego. Czy ktoś Ci to zaproponował, czy „wyszło w praniu"?
Szymon Holcman z wydawnictwa Kultura Gniewu już od jakiegoś czasu pytał, czy nie miałabym ochoty wydać albumu komiksowego. Nie czułam się gotowa i nie byłam pewna, co takiego miałoby się w nim znaleźć, nie chciałam też wydawać prac już opublikowanych. Bycie w ciąży było właściwie gotowym tematem, chociaż scenariusz cały czas powstaje i sam mnie zaskakuje. „Wysokie obcasy" przy okazji wznowienia akcji „Rodzić po ludzku" zaproponowały publikację zajawek albumu. Zmobilizowało mnie to do pracy.
Są takie wydarzenia z Twojego życia, których raczej nie podejmiesz się narysować, jak na przykład poród?
Można narysować wszystko, pytanie tylko jak. To jednocześnie bardzo łatwe – bohatera i historię mamy zawsze w zasięgu ręki – i najtrudniejsze, bo trzeba zmagać się z autocenzurą. Na pewno pojawią się zarzuty o ekshibicjonizm, ale to typowo polskie – za granicą wielu rysowników tworzy bardzo szczere, autobiograficzne komiksy i nikogo to specjalnie nie dziwi. Bo istotnie - jakie ma znaczenie, czyją historię opowiadamy, jeśli chodzi nam o przekazanie czegoś ważnego o życiu, o ludziach, o odczuwaniu?
Twoje prace są publikowane w pismach związanych z pewnymi środowiskami (mam tu na myśli „Lampę", „Exclusiv" czy „Ha! Art"), które kojarzą się z jakąś „bohemą" czy „Warszałką". Czy jakoś się z tym identyfikujesz? Czy w ogóle, według Ciebie, istnieje coś takiego?
O każdym z pism można powiedzieć, że jest związane z jakimś środowiskiem, a ja publikuję w różnych pismach związanych ze środowiskami niezwiązanymi ze sobą. Nie zawracam sobie głowy identyfikacją czy definiowaniem środowisk.
Niedawno na rynku muzycznym ukazała się kolejna płyta Pidżamy Porno, „Bułgarskie centrum...". Jesteś autorką okładki tej płyty, ale czy zgadzasz się z jej treścią i lubisz taką muzykę?
Mam do niej sentyment, bo kiedyś byłam z chłopakiem, który był fanem Pidżamy. Zrobienie okładki było więc niczym spóźniony prezent pożegnalny. Tak to sobie tłumaczyłam, bo kompletnie zaskoczyła mnie propozycja Grabaża.
Swojego czasu uczestniczyłaś w akcji „Dziewczyny do kredek!". Były jakieś rezultaty?
To było trochę naprędce sklecone hasło i nie liczyłam na wielkie rezultaty, bardziej na wspólne wygłupy, bazgroły, rozmowę. Ale moim ulubionym rezultatem było poznanie Marysi Bulikowskiej (parvokant.blog.pl), która jest skandalicznie młoda, a przy tym zdolna i mam nadzieję, że będzie tylko lepsza i kiedyś nam wszystkim pokaże.
W Polsce mamy chyba niezbyt wiele dziewczyn związanych z netartem czy komiksami. Można mówić o jakimkolwiek porozumieniu między Wami? Znacie się, pomagacie sobie, czy raczej postrzegacie się wzajemnie jako konkurencję?
Owszem, komiksowe chłopaki trzymają się razem, ale dziewczyn jest w tym środowisku nadal za mało, żeby można było marzyć o jakimś zrzeszaniu się. Kiedy tylko mam czas, staram się podpatrywać, czy pojawiło się coś nowego i ciekawego, a moja praca w redakcji „Aktivista" i „Exklusiva" daje mi możliwość promowania nowych talentów. Tu płeć talentów jest jednak bez znaczenia.
Jesteś absolwentką szkoły o profilu plastycznym. Czy bardziej Ci pomogła rozwinąć talent, czy może czujesz, że coś zdusiła? Polecasz w ogóle taką formę rozwoju talentu młodym ludziom?
Mogę mówić tylko o liceum plastycznym, bo nigdy nie zdawałam nawet na ASP. Szkoła była chyba ważniejsza dla mojego rozwoju jako człowieka niż dla rozwoju talentu. Zaczęłam ją w momencie, kiedy w Polsce kończyła się epoka PRL-u i pamiętam, jakim szokiem było dla mnie jednostkowe traktowanie uczniów. Poczucie własnej wartości i wolności było najlepszą rzeczą, jaką z niej wyniosłam. Tyle, jeśli chodzi o moją szkołę – młodym ludziom polecam głównie ciężką pracę nad rozwojem swojego talentu.
Na koniec chciałabym wrócić do kwestii grafik komputerowych. Nie masz poczucia, że dopóki Twoje obrazy są na dysku twardym, to pozostają tylko odpowiednio uszeregowanym zbiorem impulsów, nie są „naprawdę", bo nie można ich dotknąć i są znacznie bardziej ulotne?
Kiedyś sporo się nad tym zastanawiałam – gdzie tak naprawdę są moje prace? Czy prawdziwe być mogą tylko w formie cyfrowej, bo każda forma druku jest jedynie kopią? Ponieważ to już koniec wywiadu, pewnie można wpuścić trochę patosu oraz nadziei na przyszłość i powiedzieć, że wystarczy mi, jeśli moje prace będą istniały w głowach innych ludzi.

Rysunek pochodzi ze strony internetowej www.agatanowicka.com



Endo
Jak z obrazka





Michał Majewski / crooks grind na jednej z ławek na placu przed barcelońskim dworcu kolejowym Sants
sekwencja: Marcin Hackiewicz / sw noseslide na kultowej MACBIE

Barcelona

O fenomenie Barcelony nie sposób nie usłyszeć - wystarczy wziąć pierwszy lepszy magazyn poświęcony tematowi skateboardingu i w środku na pewno znajdzie się przynajmniej kilka zdjęć z tego miasta

tekst Pc skate
foto Wojtek Antonów

Co takiego znajduje się w stolicy Katalonii, że ściągają tam pielgrzymki skaterów z całego świata? Co sprawia, że deskorolka stała się naturalnym elementem kultury tego miasta? Odpowiedź to trzy elementy: architektura, klimat i nastawienie ludzi do tego pięknego zajęcia.

O architekturze Barcelony ciężko jest napisać w kilku zdaniach. Wystarczy, jeśli powiem, że za wygląd miasta odpowiedzialny był znany i lubiany architekt Gaudi, który dzięki swym nowatorskim pomysłom – jak na swoje czasy – doprowadził do tego, czym teraz jest Barcelona. Stolica Katalonii zyskała ponadto dzięki organizacji Igrzysk Olimpijskich w 2000 roku. Wtedy to miasto było przebudowane i przez to skaterzy zyskali wiele ciekawych miejsc. To, co charakteryzuje to miasto, to fakt, że wiele rzeczy buduje się lub instaluje tylko dlatego, że ładnie wyglądają, a nie z powodu swoich praktycznych zastosowań. Dlatego mamy tam do czynienia z mnóstwem dziwnych ławeczek, murków, powykręcanych budowli, które jeśli tylko mamy trochę wyobraźni, od razu układają się w zajebistą miejscówkę. Kiedy spaceruje się ulicami Barcy, ma się wrażenie, jakby twórcy tych rzeczy inspirowali się właśnie torami do jazdy na desce – bo jak inaczej wytłumaczyć istnienie tych budowli?

Drugim powodem napływu skate-turystów jest ciepły klimat tego miejsca. Fakt, że można tam spokojnie śmigać cały rok, jest sprawą bardzo kuszącą, szczególnie dla mieszkańców północnej lub wschodniej części Starego Kontynentu. Kiedy na większości terenów Europy panuje sroga zima, w Barcelonie jest kilkanaście stopni na plusie, nie traci się więc dzięki temu kontaktu ze skateboardingiem i nie zapomina się trików przez zimę.

Trzecim powodem są ludzie w Barcelonie. W tej chwili może to się trochę zmieniło, lecz na początku deskorolka nie kojarzyła im się z czymś idiotycznym lub chuligańskim. Wręcz przeciwnie, każdy trik był nagradzany brawami przez przechodniów. Zamiast, jak to ma miejsce w naszym kraju, przeganiać skejcików gdzie pieprz rośnie, ludzie dopingują deskorolkowców do zrobienia trudnego numeru. Mieszkańcy tego regionu po prostu żyją dużo wolniej niż gdzie indziej, znajdują w swoim życiu czas na relaks i dlatego świetnie rozumieją skaterów – którym przecież chodzi o to samo.

Ostatnio jednak w mieście tym trochę się pozmieniało. Z powodu narastających wędrówek ludów do Barcelony, władze miasta niestety wprowadziły bardzo surowe prawo. Od niedawna za skejtowanie można otrzymać bardzo wysoki mandat, a z tamtejszą policją nie ma żartów. Nie można już – tak jak robili to głównie Amerykanie – ignorować i śmiać się z ludzi, którzy proszą o opuszczenie danego spotu. W wielu miejscach lokalni skaterzy mają dogadane z pracownikami czy ochroniarzami, w jakich godzinach można tam jeździć. Niestety, większość przyjezdnych albo nie wie o tych niepisanych prawach, albo po prostu ma je gdzieś. Nie muszę chyba pisać, jak bardzo skaterzy z Barcelony denerwują się na takie zachowanie... Pamiętajcie więc: jeśli będziecie kiedykolwiek w Barcelonie, nie zachowujcie się jak gangsterzy na wakacjach i zwróćcie uwagę na „niepisane prawa".

Skaterom Barcelona kojarzy się jednak przede wszystkim z konkretnymi miejscówkami, które pojawiły się setki razy na przeróżnych produkcjach video. Znajdują się tam perfekcyjne marmurowe murki, schody czy gapy. Fakt, że miejsca te widzieliśmy w każdym filmie, sprawił, że spoty te zaczęły się nieco nudzić oglądającym, jak i jeżdżącym na nich skaterom. Dlatego w Barcelonie powstała nowa zajawka – na szukanie najbardziej dziwnych miejscówek. Teraz chodzi o to, aby znaleźć coś, na czym nikt wcześniej nie jeździł, dlatego po całej Barcelonie krążą grupki skaterów w poszukiwaniu nowego terenu do jazdy. Co dziwne, z filmu na film nowych miejsc z Barcelony przybywa i przybywa, wydaje się, jakby cały czas miejscówki rosły tam jak grzyby po deszczu.

Taka sytuacja, według mnie, jest dużo bardziej ekscytująca: żeby zrobić trik, trzeba najpierw samemu znaleźć miejscówkę. Jak mówią lokale, najgorsze co mogło się przytrafić Barcelonie, to artykuł w 411, gdzie każdą miejscówkę opisano i podano szczegółowy dojazd. Teraz już raczej żaden lokalny skejcik nie wytłumaczy pierwszemu lepszemu, jak dojść w dane miejsce znane z filmu. Żeby zasłużyć na jazdę tam, trzeba samemu je znaleźć bądź po prostu pokazać, że jest się gościem godnym zaufania. Pamiętajcie o tych rzeczach, kiedy znajdziecie się w Barcelonie.

CORMAX TOUR BERLIN

Wiosna! Polska deskorolka powoli budzi się do życia z głębokiego wielomiesięcznego snu. Kiedy większość skejcików jeszcze przeciągała się niepewnie, Cormax postanowił zadziałać szybko i nie bacząc na wciąż niestabilną pogodę wysłał swój team w poszukiwaniu ciepła, trików i fajnych spotów. Wybór padł na najbliższą zachodnią metropolię, Berlin

tekst i foto Gabor Nagy

Dwa samochody osobowe z piskiem opon poruszały się po trójmiejskich ulicach, zabierając po drodze przybyłych z całej Polski tourowiczów: Pawła Krężela, Krzyśka Sereczyńskiego i Michała Kulczyńskiego. Za sterami owych bolidów zasiadali Szymon Jaros oraz Daniel Kanka, w niemieckim skrócie „fischei duo", oraz powołani do reprezentacji Karol Peltz, Filip Madaj i Artur Bąk. Ja natomiast, biorąc pod uwagę położenie Lublina względem naszego morza, wybrałem opcję deluxe, czyli ICE. Usiadłem wygodnie w fotelu, obok mnie jakaś małomówna dziewczyna, książka oraz doggie bag z hamburgerem – zasnąłem... Przebudzenie to dworzec Zoo Berlin i kilka chwil, po których nastąpiło miłe przywitanie ze skejcikami pod Aquarium. Pogoda dość niepewna, zimno, ściemnia się, a w dodatku z nieba posypuje co pewien czas jakiś biały syf! Wszyscy zmęczeni podróżą, ale Kulczyn daje radę: bs. tailslide, tailslide, bs. 5-0 – chyba nieźle jak na kilka godzin mimowolnego zwiedzania Berlina w poszukiwaniu miejsca spotkania...

Pora ruszać i ogarnąć zmęczone ciala w specjalnie wynajętym apartamencie. Całe mieszkanie dla nas, ale nie ma co marnować wieczoru – kolejny spot to Saturn. Zimno nie daje za wygrana i poważnie ogranicza chłopaków w jeździe. Kilka kicktlipów dalej i mamy pierwsze triczki na ww. miejscówce. Wszystko za sprawa Kulczyna i jego ollie i fs180 z double seta. Wydawało mi się, że śnię, ale inni widzieli to samo, wiec ten aspekt odpada! Jeszcze tylko nagrywki i triczki w kąt ustawionej na pięciu schodach sklejki: nollie flip, sw. ollie ze schodów Krzyśka.

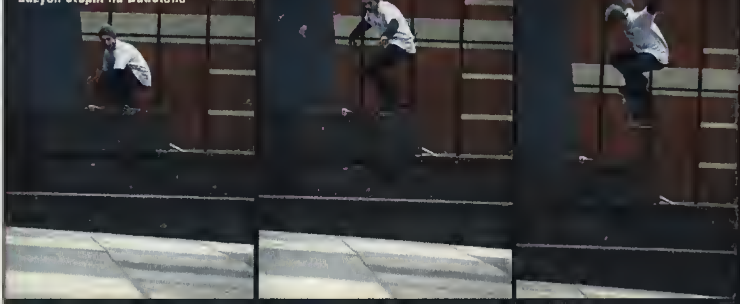
Pora spać, ciekawe co przyniesie kolejny dzień. Jak zwykle czekamy. Na kogo lub co? Na zwłoki Kulczyna, ktore ożywić może tylko poranny 30-minutowy prysznic. Zaczynamy dzień nr 2 naszej wizyty w Berlinie... Charite wraz z murkiem przez trawiasty gap, no, może śnieżno-błotno-trawiasty. Mlody adept trudnej sztuki balansu na marmurowych blokach, niejaki Bąku, wykonuje tu bs. 5-0, bs. nosegrind i k-grind. Krzysiek S. prawie skacze bs. flip przez gap, co niestety kończy się wielkim guzem w okolicach łokcia. Szymona boli głowa - śpi. Wstaje jednak bardzo szybko, słysząc o blaszanej piramidce. Chwila drogi, żeby znów podziwiać Bąka i jego flipa oraz 360 flipa na metalowym podjeździe. W tym samym czasie Pawel Krężel decyduje się na fs. noseslide na stole do ping-ponga. Dobry wybór, jeszcze lepsze foto, no i respekt za wykonanie zadania! Zaczyna robić się coraz zimniej. Szybka decyzja przewodnika wycieczki: szary rail! Wyciągamy ukryte tu drewniane plyty służące do rozpędu. Kulczyn nerwowo wypuszcza powietrze z płuc. „-OK?" „-Okej", brzmi nasza odpowiedź! Fs. boardslide, smith, lipslide.

Chwila jazdy po równych berlińskich ulicach i jesteśmy na niskim murku do manuali – taka chwila na odpoczynek! Koniec dnia to Laboratorium, czyli biały, zimny ze względu na swoją architekturę korytarz pod Potsdammer Platz. Jako fotograf nudzę się niezmiernie, ale jako skejt jaram się możliwościami, jakie daje długi murek w połączeniu z super śliską nawierzchnią. To samo uczucie mają cormaxowi deskorolkowcy oraz obsługa techniczna odpowiedzialna za kamery.

Przekręcam klucz w zamku drzwi, jestem w domu, patrzę na zegarek: 2:40, czyli pora spać. Rano sytuacja wiecznie niegotowego Kulczyna powtarza się, ale my nie myślimy już o tym. Skatepark w mocno podtuningowanej dzilnicy Mitte – nosegrindy, k-grindy, feeble na rurce by Bąku. Krzysiek robi sw. frontflip. Niestety, goni nas czas, następnym razem trick siądzie, bo było już blisko! Autko Daniela wydało ryk spod maski, a na horyzoncie zarysował się budynek Filharmonii. Tutaj polecilo kilka porządnych tricków, sw. flip manual, sw. fs. noseslide czy sw. frontside manual bs. out i ollie z double seta w wykonaniu Krzyśka Sereczyńskiego na Baustelle. Trick ten zamknął oficjalny czas trwania wyjazdu Cormax Teamu do stolicy Niemiec. Chłopaki wsiedli do aut, ruszyli w stronę Polski...

Ale ktoś jeszcze został tu odrobinę dłużej. Był to Krzysiek wraz z Kulczynem, ale to już zupełnie inna historia o rock'n rollach na wielkich pipe'ach, polskich dziewczynach na deskorolkach oraz tureckim kebabie...

Artur Bąk, ziomek z Brzegu, wykonuje feeble grind w berlińskim skateparku.


Super skupiony Karol Peltz uchwycony w trakcie robienia nollie z trzech dużych stopni na Baustelle



Uwaga haterzy - Kulczyński fs. board na całkiem okazałej poręczy.



Najbardziej kontrowersyjny
z kontrowersyjnych Michał Kulczyński
w trakcie przejażdżki po drzewie.

ŚWIDNIK

WESTERN EDITION SPRING SKATEBOARD & MOVIE SESSION



Ten, który tego dnia zniszczył poręcz - Michał Mazur, crooked grind w mega stylu.

Świdnik jest niedużym miastem leżącym w pobliżu Lublina. Właśnie tam została zorganizowana pierwsza w tym roku impreza deskorolkowa na powietrzu - Western Edition Jam.

tekst Pc Skate
foto Gabor Nagy

Z założenia miało to być małe, undergroundowe wydarzenie na szczeblu lokalnym. Nieoczekiwanie na miejscu zdarzenia zjawiła się nasza kilkunastoosobowa reprezentacja z Warszawy, co – mam nadzieję – uatrakcyjniło jamik. W chwili zaczęcia się imprezy nie wszyscy mieli zadowolone miny, a na pewno nie miał jej organizator – Boniek Falicki. Przyczyną była pogoda, a właściwie jej brak. Reakcja pana Bońka była natychmiastowa: postanowił przenieść (a właściwie zacząć) imprezę na salę gimnastyczną w pobliskiej szkole podstawowej. Wnętrze budynku na co dzień nie kojarzącego się z deskorolką stało się jednak całkiem niezłym miejscem do jazdy. Kiedy tam dotarliśmy, lokale niszczyli nie tylko parkiet na sali gimnastycznej, ale także podłogę na korytarzach szkoły. Pomyślcie sami – któż z was nie marzył o czymś takim? Każdy, kto tam był, mógł bez narażania się na uwagę w dzienniczku dać upust swej nienawiści do szkoły. W dodatku w budynku nie znajdowała się żadna osoba pilnująca jej – deskorolkowcy byli wolni i skrzętnie to wykorzystywali. Nie wiem, czy taka sytuacja miała bądź będzie jeszcze miała miejsce...

Tymczasem na sali gimnastycznej, gdzie ustawiono grindbox i małą wybitkę, ogłoszono początek jamu. Dla tych, którzy zrobią najlepsze triki, przewidziano nagrody, więc było po co się starać. Tego dnia nagrody nie były jednak najważniejszą rzeczą na tej imprezie. Wszyscy przybyli pokazali, że tak naprawdę zjawili się tam pojeździć na desce – nieważne, w jakich warunkach. Lokalni skaterzy wspomagani przez warszawiaków pokazali kilka naprawdę ciekawych numerów. Bardzo dobrze pokazał się młody Tomek Ziółkowski z Warszawy, który zaskakiwał wszystkich swoją skutecznością i opanowaniem deski. Jego niewiele starszy kolega, Kuba Suwiński, pokazał tylko jeden trik, ale za to konkretny – sw. nose wheelie fakie flip out, za co dostał zasłużone brawa. Honoru gospodarzy dzielnie bronili Michał Mazur (nollie cab flip) i Grzesiek Piskorski.

Nagle wszyscy kłębiący się w coraz bardziej śmierdzącej sali gimnastycznej (wyobraźcie sobie wf dla stu osób naraz) dostrzegli promienie słońca nieśmiało przenikające przez chmury. I rzeczywiście, po kilkunastu minutach na dworze zrobiło się sucho i organizatorzy postanowili przenieść jam na zewnątrz. Najpierw odwiedziliśmy najlepszą miejscówkę w Świdniku – Plac Bolka i Lolka. Spotu tego powinien zazdrościć im niejeden skejcik, znaleźć bowiem na nim można przeróżne kombinacje schodów i murków. Niestety, plac pokrywała półcentymetrowa warstwa piachu i brudu. Najpierw więc trzeba było miejscówkę przyprowadzić do porządku – kilka ruchów szczotką to nic, szczególnie dla kogoś, kto całą zimę sprząta w skateparku. Goły uporał się z tym tematem w kilka chwil i dzięki temu można było odbyć małą sesyjkę na dużych sześciu schodach. Na nich królował lokalny zabijaka Grzesiek Piskorski, który po kilku próbach, które mogły przyprawić o zawał serca, odjechał po zajebiście sklejonym 360 flipie. Mały Tomeczek z Warszawy zrobił z tych schodów pięknego kick flipa i fs. flipa z następnych trzech stopni.

Kiedy spot znudził się już wszystkim, przenieśliśmy się na miejsce, gdzie według pierwotnego planu miał się odbyć cały jam, czyli do świdnickiego skateparku. Miejscówka, co tu dużo mówić, nie należy do czołówki krajowej, jednak posiada kilka elementów, dzięki którym jest znana w Polsce. Należą do nich na pewno wymarzonej wielkości i długości hand raile biegnące przy wejściu do skateparku. Jedynym (i dość istotnym) mankamentem jest ultra nierówny dojazd do nich, jednak nie wystraszyło to trójki śmiałków, która postanowiła zwiększyć tego dnia swój poziom adrenaliny. Byli to Kuba Koszel, Michał Mazur i Adrian. Od razu, bez żadnych zbędnych przymiarek, rozpoczęli katowanie bardzo trudnej poręczy przy dziewięciu schodach. Najpiew Michał zrobił czyściutki feeble, później dołożył do tego zejście 180 frontside i na koniec zrobił croocked grind w stylu, jakiego w Polsce jeszcze nie widziałem. Tak na poręczach jeździ się tylko w Lublinie i Świdniku. Jego koledzy dołożyli do tej listy po 50/50 grindzie i w ten oto sposób zakończył się jam.

Wyniki ogłoszono w sali kinowej, gdzie odbywały się projekcje filmów deskorolkowych. Bardzo fajnym pomysłem było to, żeby wybrać najlepsze triki spośród wszystkich trzech lokalizacji: sali gimnastycznej, Placu Bolka i Lolka i skateparku. Wyniki jamu znajdziecie poniżej...

Impreza ta, choć nie była mega wielkim wydarzeniem medialnym, bardzo mi się podobała. Wszyscy, którzy przyjechali tego dnia do Świdnika, na pewno ne żałowali, bo mogli robić triki w skateparku, na streecie i przede wszystkim spełnić marzenie z dzieciństwa i pojeździć w prawdziwej szkole. Mam nadzieję, że podobnych mniejszych imprez, gdzie bardziej liczy się skateboarding niż wielki baner reklamowy, będzie więcej...

Wyniki:

01. Michał „Mazi" Mazur – feeble 180 out rail i crooked z 9 schodów.
02. Tomek Ziółkowski – sekwa flip 6 i fs flip 3.
03. Kuba Suwiński – switch nose wheelie flip out.
04. Grzesiek „Pigor" Piskorski – 360 flip z 6 schodów.
05. Kuba Koszel – 50-50 poręcz 9 schodów.

Tomek Szkiela

Tomek Szkiela jest bardzo barwną postacią na monotonnej polskiej scenie skateboardowej. Podczas gdy większość jego kolegów-deskorolkowców nie robi nic poza jazdą, Tomek wie, że na deskorolce nie kończy się świat i ma tysiące innych hobby, które urozmaicaja jego i tak ciekawe życie. Szkiela objawił się wszystkim jako nienajmądrzejsze, cudowne dziecko polskiej deskorolki, którego charakterystyczną cechą była ogromna łatwość w nauce trików. Później deskorolka odeszła w kąt, pojawiły się inne rzeczy w jego życiu, aż tu nagle po kilku latach pojawił się całkiem nowy Szkiela na desce. Zmienił swój styl jazdy, wygląd. Aż trudno uwierzyć, że dzieciak w ogromnych baggy i najnowszych D.C. oraz starszy chłopak przypominający stracha na wróble, to ta sama osoba. O tym, jak doszło do tej przemiany dowiecie się z poniższego wywiadu



W malowniczej scenerii miejskiej dżungli Tomek robi pop shove it z małego wybicia o godzinie 4 rano.
foto: Wzrr



Fakie hard flip switch manual na jednym z bardziej znanych spotów w Bracelonie - Parallel
foto: W

tekst ToiOi

Tomek, ponieważ jesteś znanym człowiekiem renesansu i masz lub miałeś wiele zainteresowań, powiedz, co wypełnia Twój czas.

Dużo tego było... Na początku interesowałem się lansem w szkole podstawowej połączonym z tańcem towarzyskim, potem była deskorolka, po deskorolce był rap, przez cały czas było rysowanie i malowanie graffiti, w międzyczasie odkryłem grafikę komputerową, skończył się rap i znowu wróciła deskorolka. Oczywiście nie byłem w stanie wszystkich tych rzeczy uprawiać na raz. Zwykle było tak, że zajmowałem się dwoma zajawkami: jedna wypierała drugą, a potem przychodziła nowa.

Czemu nie mogłeś się skupić na jednej rzeczy w życiu?

Nie wiem, ale uważam, że bardzo dobrze się stało, że miałem tyle zainteresowań. Dzięki temu wiem, czego na pewno nie chcę robić dalej w życiu.

Powiedz o Twojej przygodzie z tańcem.

Wszystko zaczęło się, jak byłem mały. Zdobyłem nawet tytuł nieoficjalnego mistrza Polski w tej dziedzinie, bo wygrałem najważniejsze zawody w mojej kategorii. Niestety, środowisko skupione wokół tańca jest bandą pedałów, do której ja, gdy w wieku 12-13 lat paliłem papierosy i piłem piwo, nie pasowałem.

Opowiedz o swoim epizodzie z rapem.

Wiedziałem, że zadasz to pytanie, bo wszyscy mnie o to męczą, a ja nie lubię o tym gadać. Miałem sobie przygotować jakąś śmieszną odpowiedź, ale zapomniałem. Wyobrażasz sobie mnie wyglądającego np. jak Mleko? Jak bardzo bym się nie starał, to nigdy nie będę typem z groźnym wyrazem twarzy, jak polscy hip-hopowcy. Jestem raczej odwrotnością twardziela i mój rap był bardziej o jaraniu bluntów niż o pouczaniu małolatów. Mieliśmy swój skład – WZI z dwoma kolegami. Z jednym i z drugim cały czas utrzymuję kontakt, żaden z nich nie para się już tym zajęciem, podobnie jak ja już nie słuchają rapu. Mieliśmy nawet nagrany kawałek na składance jakiegoś czasopisma rapowego, którego ukazał się tylko jeden numer – nie pomógł mu nawet nasz kawałek... Teraz temat ten z perspektywy czasu uważam za jednocześnie śmieszny i nudny (bo w pracy przynajmniej cztery godziny dziennie muszę wysłuchiwać dowcipów na ten temat).

Czemu wróciłeś do deskorolki po tak długiej przerwie?

Przerwy miałem z pięć lat. Wcześniej zrezygnowałem, bo skręciłem sobie kostkę i wtedy zacząłem palić więcej bluntów (teraz nie palę wcale). Zaczęło się wychodzenie na osiedle, imprezy i życie blokerskie. Jeździłem później jeszcze trochę, ale było to raczej na odpierdol się. Naturalnym stanem rzeczy jazda się skończyła, później zastąpiło ją rapowanie. I tak przez pięć lat to trwało. Powrót na deskę też wyszedł bardzo naturalnie. Moi koledzy, Twardowski i Kriwol zaczęli z powrotem jeździć. Pod Wola Parkiem, gdzie mam bardzo blisko, postawiono skatepark. Zaprzyjaźniłem się szybko z ludźmi z Kamuflage, w końcu kupiłem sobie deskę i tak to mniej więcej wyglądało.

Kiedy wróciłeś do skateboardingu, zacząłeś poznawać deskorolkę od drugiej strony – pracy w tym biznesie.

Tak, chociaż grafiką zajmowałem się już wcześniej. Najlepsze jest to, że robienie grafiki komputerowej zaczęło się przez rap. Mam znajomego na osiedlu, z którym kiedyś zacząłem rymować i który jest strasznym mózgiem komputerowym. Swój pierwszy program napisał w wieku 9 lat. On mnie wtedy uczył programów muzycznych. Kiedy nauczyłem się ich, powodowany ciekawością sięgnąłem po software do robienia grafiki. Ponieważ bardzo lubiłem rysować, bardziej spodobały mi się te programy niż muzyczne i tak się w to wkręciłem. Praca przyszła dużo później. Na początku składałem po kilka stron w różnych magazynach. Później stała się rzecz straszna – zgubiłem koledze plecak ze sprzętem fotograficznym i musiałem jakoś oddać mu kasę. Była to dobra motywacja do podjęcia pracy. Musiałem się starać, żeby spłacić dług. Jak już się tak wkręciłem w zarabianie pieniędzy, stwierdziłem, że to jest całkiem fajne... Teraz pracuję w firmie Malita, gdzie zajmuję się projektowaniem grafiki i ubrań. W tej chwili nie widzę siebie w żadnej innej pracy, mogę tam robić, co mi się chce – nikt mi nie mówi, jak co ma wyglądać. Mam dobre warunki pracy. Czegoś takiego nie znalazłbym w żadnej agencji reklamowej. Pracowałem już i tam, i stwierdziłem, że to nie dla mnie. Musiałem robić rzeczy, które mi się nie podobały.

Czy teraz, gdy pracujesz w skate-biznesie, coś zmieniło się w Twoim spojrzeniu na deskorolkę?

To nie jest mój pierwszy kontakt z tą sprawą. Jeszcze przed przerwą w jeździe razem z kolegami współtworzyłem firmę Studio. Już wtedy musiałem wiedzieć co nieco, jak to ogarnąć. Chociaż jak sobie przypomnę, to głównie rżnęliśmy z ubrań Axion, a nie projektowaliśmy. Trochę się wstydzę tego, bo teraz bym w życiu czegoś takiego nie zrobił. Wracając do pytania, to nie wiem, czemu praca miałaby zmienić moje podejście do deskorolki. To, że pracując muszę dotrzeć do gówniarzy i sprzedać im produkty? Kiedy wychodzę na deskę, to mam cały czas taką samą zagrzewkę, jak miałem na początku. Po zrobieniu nowego triku nadal cieszę się jak dziecko.

Co sądzisz o polskim skate-biznesie?

Jest i rozwija się. Jak kończyłem z jazdą kilka lat temu, to wszystko było w dupie totalnej. Później, gdy wróciłem, okazało się, że jest znacznie lepiej. Od momentu moje-

go „come backu" do teraz też sytuacja się poprawiła. Widać postęp. W skateshopach kiedyś sprzedawały się wyłącznie ubrania i kilka desek, a teraz jest na odwrót. Ubrań hip-hopowych schodzi coraz mniej. W tym roku pokaże się kilka promodeli polskich desek. Kiedyś promodele mieli tylko Majewski i Stikorama, i w zasadzie później gówno z tego wyszło, bo firma Capitol się zamknęła.

Czy uważasz się za skateparkowca?

Chyba niestety tak, bo jak idę na miejscówę, to nie mogę zrobić trzech czwartych trików, które umiem w skateparku. Wolę oczywiście jeździć na streecie, to jest oczywiste. Ja po prostu nie lubię różnych problematycznych sytuacji w rodzaju: „dojazd i odjazd są beznadziejne, ale spoko, położymy 5 sklejek, dobetonujemy 3 schody...". W skateparku masz taki luksus, że zawsze (może za wyjątkiem skateparku Kamuflage) masz dobrą nawierzchnię i nie musisz się martwić o takie detale. Można się skupić wyłącznie na jeździe. Gdybyśmy mieli jeszcze taką miejscówkę, jaką był kiedyś Capitol, nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby iść do jakiegoś Blue City. Pod Witosem jeździć nie lubię, nie ma tam miejsca, a poza tym są tam głównie schody, z których skakać nie lubię. Jazda tylko na płaskim mnie nie satysfakcjonuje, więc chodzę do skateparku, bo tam jest więcej możliwości.

Co sądzisz o jeździe przed publicznością?

Spoko, mi to nie przeszkadza. Oczywiście, zależy to od publiczności, ale generalnie nie. Jak jeżdżę w Blue, jest sobota i wchodzi pełno cieci z wąsem i patrzą się na skejtów jak na skaczące małpki w klatce, to nie jest to wcale motywujące. Ale to, że patrzy na mnie znajomy, mobilizuje mnie bardzo i nie uważam, żeby było to coś złego. Być może nie spodoba się to ortodoksom, ale lubię jeździć na zawodach. Popieram nawet w pewnym sensie rywalizację. Jeśli chodzi o mnie, to na zawodach nie chodzi mi o rywalizację, tylko o zrobienie tego, co masz zaplanowane. Większości skejtów się to nie podoba, ale ja lubię sytuację, gdy mam minutę i w tym czasie muszę zrobić wszystko za pierwszym razem. Startu w zawodach zwykle nie traktuję na maksa poważnie, nie liczę się z wygraną, bo jest dużo lepszych ode mnie. Traktuję to bardziej jak walkę z samym sobą. Tak naprawdę, wszystko zależy od okoliczności, bo gdybym był na zawodach, które miałbym szansę wygrać, to pewnie podszedłbym to tego inaczej. Ale to się raczej nie zdarza, jak do tej pory wygrałem tylko zawody Croppa (śmiech) i wygrałem ich deskę. Poza tym na imprezach spotyka się zawsze znajomych z innych miast.

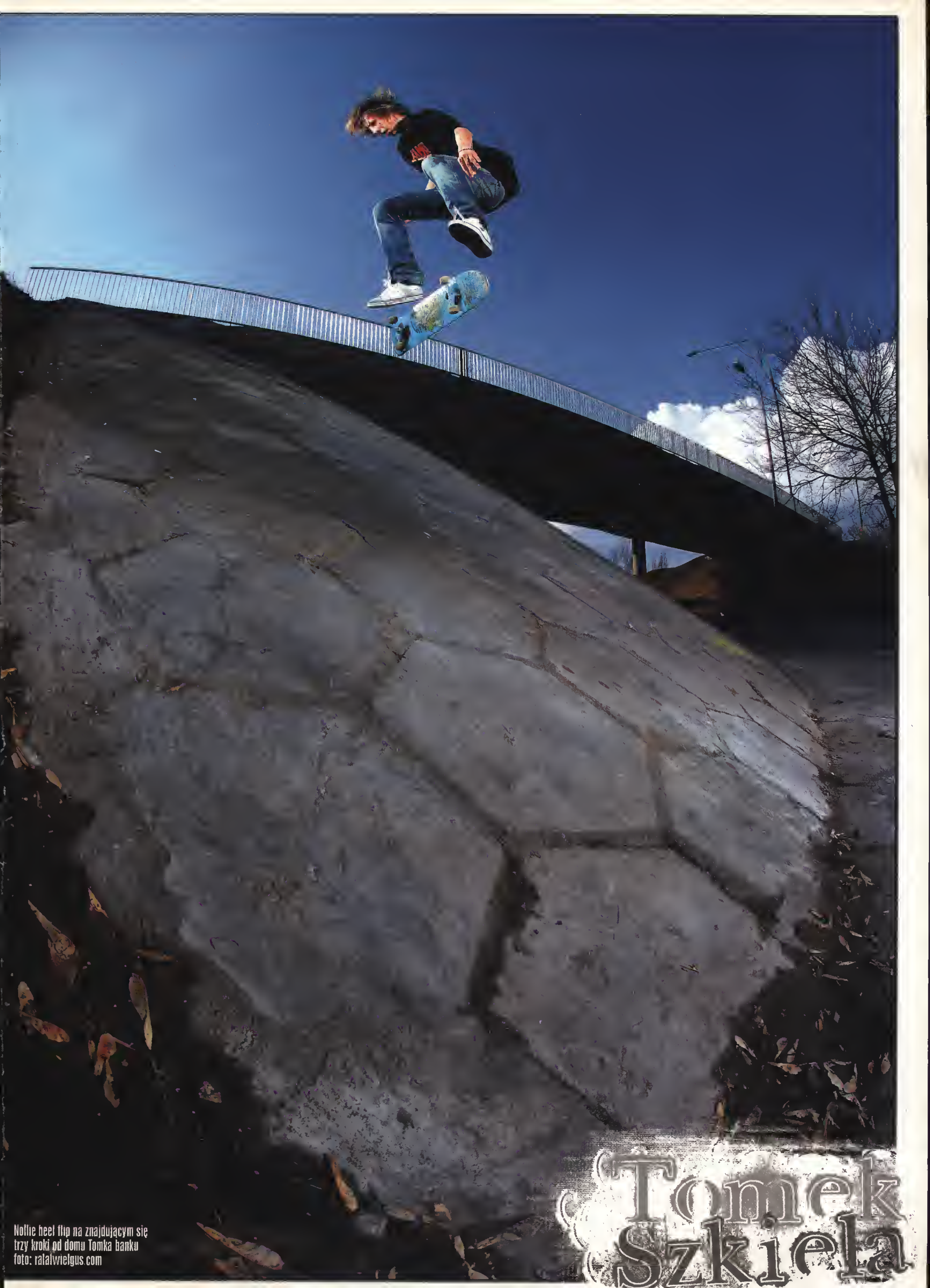
Ile rzeczy zgubiłeś w swoim życiu?

Jest tylko jedna rzecz, której jeszcze nie zgubiłem – komputer, bo zawsze stoi w domu. Wszystko inne zdarzyło mi się stracić – nawet buty. Nigdy co prawda nie wracałem na bosaka, ale obuwie na zmianę kiedyś posiałem. W tej chwili to już się nawet nie wkurzam, jak spostrzegę, że czegoś nie mam. Pogodziłem się z tym, że wszystko gubię. Przeważnie codziennie przebywam w tych samych miejscach, teraz na przykład zostawiłem w Blue City iPoda i wiem, że on nie zginie, bo Goły pewnie go gdzieś schował. Oczywiście jak przyjdę, to będzie ściemniał, że go nie ma i mnie wyśmieje, że go zgubiłem, a potem mi go odda. Generalnie non-stop wszystko zapominam, gubię, wychodzę na deskę nie biorąc jej ze sobą. Ciężko mi nawet przypomnieć sobie, jakąś najśmieszniejszą przygodę z tym związaną, bo mam strasznie słabą pamięć – na pewno takie były, tyle że ich nie pamiętam. Najtragiczniejszą historią było zgubienie wspomnianego wcześniej aparatu Jaśka. Zostawiłem go w kebabie, a zorientowałem się o tym dwa dni później, gdy Kriwol po niego przyjechał. Zdarzały mi się też całe combosy – sytuacje gdy najpierw zgubiłem jedną rzecz, później z przejęcia zapominałem o innej i tak dalej – reakcja łańcuchowa.



Fs. boardslide na secret spocie w Warszawie
foto: rafalwielgus.com

Tomek Szkieła



Nollie heel flip na znajdującym się trzy kroki od domu Tomka banku
foto: rafalwielgus.com

horsefeathers Jib Masters 2006



Przejeżdżając naszą południową granicę znajdujesz się nagle w świecie smażonego sera, knedlików i dobrego, taniego piwa. Jesteśmy w Czeskiej Republice i kierujemy się do Cernego Dolu, który wbrew swojej nazwie nie jest dołem, a ośrodkiem narciarskim blisko polskiej granicy w Kudowie. Po co odwiedzamy naszych braci Czechów? Wszystko przez jednego z czeskich riderów, Richarda Skanderę, który sam zajarany jibbingiem zorganizował zawody o nazwie Jib Masters, które zgodnie ze swoją nazwą są maksymalnie jibbingowe

tekst Narciarzyk
foto Wojtek Antonów

Nie jest to zwykła impreza dla zawodników, tylko dla wybrańców, którzy albo zostaną zaproszeni przez organizatora tak po prostu, bo ich lubi i wie, że są dobrzy, albo zostaną zaproszeni na podstawie materiałów wideo przedstawiających ich jazdę. „Zaproszeni" to znaczy mający za darmo spanie, jedzenie, skipass i przygotowany snowpark, który nie jest takim zwykłym parkiem, a zrobiony został specjalnie dla zajawionych na jeżdżenie po rurkach i boksach. Twórcy parku, którymi byli sami zawodnicy ze Skanderą na czele, zadbali o przeszkody, które rzadko kiedy można spotkać na stoku: streetowa rurka pośrodku drewnianych schodów, wave-kink box, kink box, s-box, rocket box i parę innych konstrukcji tego typu.

Łącząc te trzy elementy: zaproszonych riderów z full opcją do życia, dobry park i super pogodę (może nie do końca, ale przez parę dni przynajmniej) – musimy mieć wynik dodatni, czyli... musi być super! Dlatego tam pojechaliśmy... Plaster, który w zeszłorocznej edycji JM wygrał kategorię best style, oraz Darek Świeżak Juraś i Gniazdo za-



horsefeathers Jib Masters 2006

Wojtek Gniazdo Pawluśiak - 27 sw bs tailslide - szatan na przeszkodach, szatan na imprezach.



Kuba Dytkowski z Polska - jak dla mnie jeden z lepszych trików całego Jib Masters - bs lipslide pretzel out

proszeni dzięki swoim wideo, reprezentowali na stoku Polskę. Miał jechać jeszcze Kordek, ale niestety kontuzja wykluczyła go z jazdy. Przez jeden dzień był też Kuba Dytkowski który rządził swoim bs. lipslide prezel out na streetowej rurze, ale on niestety musiał wyjechać na zgrupowanie kadry. Szkoda, bo Kubuś mógłby namieszać troszkę na Jib Masters. Oprócz Polaków zaproszeni byli także Słowacy, Słoweńcy, Węgrzy, Rosjanie i Niemcy – międzynarodowa mieszanka. Nie muszę dodawać chyba, że Polacy najwięcej rozrabiali, ale to może innym razem, zresztą nie do końca pamiętam...

Cały wyjazd i impreza wyglądały następująco: zero ciśnienia na cokolwiek – po śniadaniu do parku i jazda, zdjęcia, chill, filmowanie, szpeki, nowe triki, muzyczka, a o 14 każdego dnia zawody, a raczej jam session na jednej z przeszkód. Do wygrania 10 tysięcy koron dziennie! Wszyscy jeżdżą, wszystko jest filmowane, po kolacji następuje oglądanie materiałów i zawodnicy sami głosują na tego, który według nich zasłużył na zwycięstwo. Tryumfator dostaje hajs i zaczyna się impreza. Pięknie, co?

Po trzech takich dniach nastąpiły finały i tu niestety pogoda się załamała... Po paru dniach pełnych zajawki, słońca i piknikowej atmosfery sytuacja zmieniła się na gorsze, zaczął padać deszcz, a wiadomo jak to się jeździ w deszczu... Jednak mimo wszystko finałowa rozgrywka była bardzo ciekawa. Organizatorzy zdecydowali się podzielić ją na dwie części: pierwszą rozegrano na sporym, łamanym boksie, drugą na streetowej rurce. Pomimo pogody zawodnicy wcale sobie nie odpuszczali, tylko napierali na przeszkody równo.

W finałach startowała większość zawodników, a byli to między innymi: Honza Zaic, David Conka, Roman Dlauhy z Czech, Plaster, Gniazdo i Świeżak, Andriej Moskwin i Nikita Michalkow iz Maskwy, Tadej Valentan ze Słowenii, paru Węgrów – wszyscy dawali radę. Z Polaków najciekawiej zaprezentował się Gniazdo, który trzasnął na przykład na streetówce fs. noseslide pretzel out. Pośród wszystkich przejazdów zdecydowanie wyróżniali się Rosjanie i Słoweńcy. Pierwsi walili konkrety typu nollie bs. tail danish, fs. blunt danish, fs. lip 27, alleyoop 27, bs. 27 board przejście na fs. board danish na streetowej rurce i na dwa razy łamanym boksie: fs. board, transfer alleyoop 1 na switch 5050. Zwłaszcza Andriej Moskwin z Moskwy prezentował się tak konkretnie, że wygrał imprezę w kategorii best style. Słoweniec Tadej Valentan jeździł niczym śnieżny robot, nie przewracając się i nie myląc. Drugiego dnia zrobił między innymi 450 na board 27 transfer przez 10 m płaskiego na box, a w finałach na rurce: bs. nosegrind, fs. lipslide 27, fs. lip przejście na switch bs. lip. Dzięki takim trikom wygrał na streetowej rurce, a także w całym Jib Masters zdobywając zaszczytny tytuł Jib Mastera i całe mnóstwo koron.

Po finałach tradycyjnie nastąpiła impreza, na której lała się śliwowica i inne napoje wyskokowe, a po której ciężko było dojść do siebie... Ahoj, czescy kamraci, dzięki za udaną imprezę i do zobaczenia wkrótce!



horsefeathers
Jib Masters 2006

super trudny croocked grind na dwóch ławkach - Węgry

Nowa twarz
Adrian Krawczak

tekst i foto Gabor Nagy

Adrian Krawczak to tegoroczny maturzysta. Nauka nie przeszkadza mu jednak zbytnio w dążeniu do perfekcyjnego opanowania deski. Jego poprzeczka została ustawiona dość wysoko, bo co można powiedzieć o skejciku, który za wzór do naśladowania wybrał sobie Jamiego Thomasa? Tak naprawdę nie wiem dokładnie, czy Adrian został nafaszerowany chemią z puławskich Azotów, czy też urodził się z tym czymś. On po prostu lubi raile, murki i jeszcze raz raile. Po prostu, on tak ma! Smithy, K-grindy, lipslide'y, bluntslide'y to dla niego dzień powszedni. Mimo tego, że w związku z obraną przez siebie drogą bardzo często ma okazję przywitać się bliżej z asfaltem czy rurką, nie zniechęca się. Jego opanowanie i pogodne nastawienie to coś, co wyróżnia go z tłumu rzucających deskami, denerwujących się gości – on z każdego elementu jazdy czerpie maksymalną przyjemność. Kiedy nie jeździ na desce, spotyka się z dziewczyną, a jego najnowszym hobby stała się jazda na snowboardzie. Na szczęście zimowe dni są już przeszłością i jestem przekonany, że Adrian zaszczyci swoimi triczkami kilka handraili...



JEŻ JERZY KONTRA Potwór z Samego DNA PIEKŁA część 4













scenariusz: Rafał Skarżycki Rysunki: Tomek Leśniak



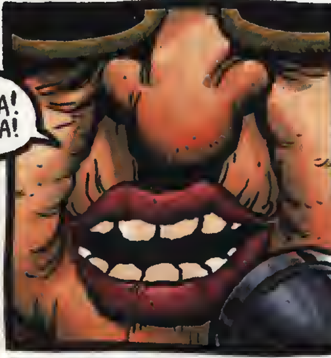














WTEM!

STAĆ! POLICJA !!!

POLIC

KWA?

?!?

O, KURWA!


KILKANAŚCIE SEKUND PÓŹNIEJ...
NO, I ŻEBY MI OBYWATEL NIE SZWĘDAŁ SIĘ WIĘCEJ Z NOŻEM PO ULICY...
TAK JEST. PRZEPRASZAM. DOBRANOC.
POLICJA


3,15 PROMILA, OBYWATELU...
NO, TO... HIK! CSO TERAS?
3:15
TERAZ KOLSKA...
POLICJA


ODWIEŹCIE OBYWATELA NA MIEJSCE...
ZSBYTEK... HIK! ŁASKI... ZNAM ADRES. HIK!
TAK JEST!


A NIECH TO! PROFESOR NIE BĘDZIE ZACHWYCONY...
POLICJA

CO TAKIEGO? TY KRETYNIE! MIAŁEŚ TYLKO ZABIĆ JEŻA !!!

NAGLE POJAWIŁA SIĘ TA POLICJA I... ZABRALI GO GDZIEŚ... W TAKICH WARUNKACH NIE DA SIĘ ZABIJAĆ...









KILKA GODZIN PÓŹNIEJ ...

TRZASK









OPTYMIZM JERZEGO JEDNAK NIE BYŁ CAŁKOWICIE UZASADNIONY...

ŁAŁ! Z PANA TO JEDNAK JEST PRAWDZIWY MISTRZ!

MUSZĘ PRZYZNAĆ, ŻE...

TO MOJE NAJBARDZIEJ UDANE DZIECKO!

NO, POWIEDZ COŚ, MAŁY ...



JEST NAWET LEPSZY OD ORYGINAŁU!

TEŻ TO ZAUWAŻYŁEŚ?



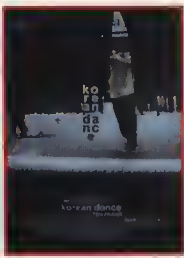








OTO NASZ WIELKI TRIUMF! PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO NAS, PANOWIE!



ADIDAS
KOREAN DANCE

Jeszcze dziwi mnie widok filmów deskorolkowych wydanych przez całowe sportowe firmy. Co dziwne, nie próbują one robić wielkich komercyjnych widowisk (jak niektóre oryginalne firmy), tylko starają się oddać prawdziwy klimat skateboardingu, bez przesadnej pompy. Takie też jest video producenta odzieży z trzema paskami dołączone do ostatniego numeru „Kingpina". Europejski team Adidasa wybrał się do Korei Południowej i video to jest właśnie relacją z ich dwutygodniowego tam pobytu. Film ten nie posiada typowej konstrukcji – intro, przejazdy i koniec – tylko został ciekawie urozmaicony różnymi wstawkami, co dodaje dynamiczności produkcji. Z azjatyckimi miejscówkami najlepiej radzili sobie, według mnie, skośnooki Niemiec Lem Villemin i Hiszpan Anthony Lopez. Obaj są przedstawicielami nowej szkoły jazdy i są w stanie zrobić coś na każdej miejscówce. Reszta teamu wcale nie próżnowała i też przywiozła ze sobą konkretny materiał. Obejrzyjcie sobie ten film, bo naprawdę warto. **Pc skate**



ENJOI
BAG OF SUCK

Firma Enjoi ma dosyć nietypowy jak na amerykańską firmę wizerunek. Jej reklamy są bardzo dziwne i śmieszne zarazem. Kiedy usłyszałem, że team tej firmy kręci film, wiedziałem, że nie będzie to typowe skate video zza Oceanu, tylko soczysta porcja skateboardingu z mocnym przymrużeniem oka. Cała ekipa bawi się deską, robiąc bardzo niekonwencjonalne numery. Przoduje w tym oczywiście dwójka Barletta-Hsu, ale reszta teamu nie pozostaje w tyle. Najbardziej typowe triki ma otwierający film Caswell Berry, który jest dobrym przykładem kalifornijskiego rippera, zaś jego part to nieustające pasmo hammerów i bangerów, jednak w odróżnieniu od większości jemu podobnych Caswell ma to „coś", co sprawia, że przejazd ten nie nudzi się. Jason Adams jeździ bardzo charakterystycznie i albo się go lubi, albo nie. Większość jego trików to kombinacje wallride'ów. Styl ten bardzo mnie przekonał do siebie i jestem jak najbardziej za. Jose Rojo i Clark Hassler to dwójka młodych skejcików posiadających bardzo przyjemny i wychillowany styl jazdy i na „Bag of suck" prezentują się znakomicie. Louie Barletta i Jerry Hsu swoje części mają na końcu filmu. Nic dziwnego, bo materiał nagrany przez nich powala na nogi. Ciężko przytoczyć choć jeden trik, bo z reguły są to popisy na granicy z wygłupami, jednak zawsze są one mega-trudne. Widać jednak, że sprawia im to ogromną frajdę, a o to przecież w deskorolce chodzi. Enjoi skateboarding... **Pc skate**



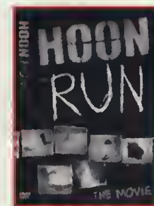
RED BULL
SEEK AND DESTROY vol. 1

Red Bull słynie z niekonwencjonalnych eventów w różnych dziedzinach sportów extremalnych. Video to jest dokumentacją jednego z nich, w którym trzy teamy deskorolkowe (reprezentacje trzech miast: Nowego Jorku – Danny Supa i Zered Basset, Filadelfii – Mike Maldonado i Kerry Getz, i Bostonu – P.J. Ladd i Ryan Gallant) rywalizują ze sobą w przypominającą grę komputerową zabawie o niezłą kasę. Muszą oni na dziewięciu miejscówkach (po trzy spośród każdego z tych trzech miast) nagrać materiał. W każdym mieście osobą, która wyznacza im zadania, jest zasłużony deskorolkowiec. Panowie ci wybierają zwykle bardzo ciężkie, prawie nieprzejezdne spoty lub takie, gdzie ochrona tylko czeka, aby wywalić skaterów. Fakt ten dodaje tylko dreszczyku emocji całej sprawie, w ogóle film ten jest bardzo fajnie zmontowany i przypomina trochę filmy szpiegowsko-dokumentalne. Nie napiszę oczywiście, która ekipa wygrała, jednak walka była ciężka. Widać było ogromny wysiłek skateboarderów w starciu z bardzo ciężkimi miejscówkami. W finale zawodnicy głosowali, kto ma wygrać, nie było żadnych sędziów ani układów. Pozostaje tylko czekać, aż podobna impreza odbędzie się w Polsce... **Pc skate**



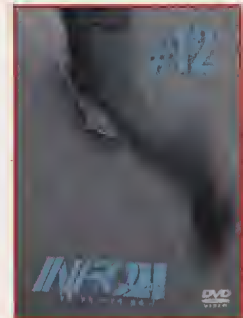
PUZZLE
SPRING 06

Właśnie w sklepach całej Europy ukazał się magazyn Playboard, a wraz z nim jako dodatek najnowszy numer Puzzle. W środku znajdziecie, niestety, głównie „chaosy". Twórcy wyraźnie postawili na różnorodność twarzy i dlatego działy „jumble" pozostają najbardziej w pamięci. W czasie długiej i nudnej z pozoru zimy europejski team D.C. wybrał się na Teneryfę, aby tam nie tracić cennego czasu na zamułkę. To, czy wyprawa się opłaciła, przekonacie się po obejrzeniu. Nie jestem fanem zawodów, dlatego z reguły działy poświęcone tym wydarzeniom przewijam, nie inaczej było tym razem. Jak dla mnie, to można takie relacje obejrzeć góra raz, a później już nie da rady więcej. Video to zamyka podwójny przejazd Thomasa Nielsena z Danii i Basa Janssena z Holandii. Szczególnie jazda drugiego typka przypadła mi do gustu, łączy on techniczne triki z hardcore'owymi schodami w bardzo luźnym i miękkim stylu. Ten nowy numer nijak nie wybija się spośród poprzedników, ale też nie ma tragedii. **Pc skate**



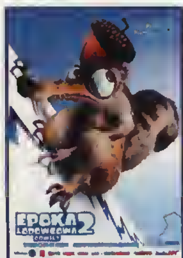
HOON RUN

Mam nadzieję, że wiecie z historii, czym były wędrówki Hunów. Jeśli nie, to radzę prędko nadrobić te braki, bo inaczej nie będziecie mieli teoretycznych podstaw do oglądania tego filmu. Grupka skaterów wzorem słynnych barbarzyńców udała się w podróż – koczując gdzie się dało i żywiąc się tym, co przyroda dała – w poszukiwaniu najbardziej niedostępnych basenów w Australii. Film ten jest relacją z tej wyprawy i, uwierzcie mi, zasługuje on na uwagę. Nie znajdziecie tutaj żadnego dziwnego image, nie ma udawania gwiazd rocka czy rapu, nie ma wreszcie dużego budżetu czy Barcelony. Jest za to surowy skateboarding w wykonaniu niezależnych deskorolkowców takich jak Matt Mumford, Jim Fowlie, Blair Heath czy Javier Mendizabal. Takie towarzystwo zapewni oglądającym solidną porcję skateboardingu inspirowanego starymi czasami. Panowie jeżdżą, imprezują i podróżują, a we wszystkim tym wszechobecna jest deskorolka. That's how we live... **Pc skate**



INFO 12

Akurat na początek wiosny ukazał się nowy numer polskiego video-magazyniu „Info". Pozycja ta jest już weteranem na rynku, istnieje od dziewięciu lat i konsekwentnie pokazuje rodzimy skateboarding. W nowym filmie znajdziecie dwa ping-pongi, w którym umieszczone są pojedyncze triki różnych kolesi. Jak to zwykle w takich wypadkach bywa, część z nich bardzo mi się podobała, a druga część wcale. Barcelona jest hasłem najczęściej chyba pojawiającym się w skate-mediach, więc nie mogło jej zabraknąć i w „Info". Obejrzyjcie, jakich riderów wysłały tam firmy Malita i Fenix. Następną relacją z wyjazdu jest Kamuflage Tour, gdzie dzieje się multum rzeczy i bardzo ciężko oddać jest prawdziwą atmosferę tego wyjazdu. Panom z „Info" sztuka ta się raczej udała i rzeczywiście oglądając tę relację czułem się w środku zdarzeń. Trzecią wyprawą kamerzystów z „Info" (i trzecią, w której pierwsze skrzypce grają Tomek Kotrych z Gutkiem) był objazd fundacji Spoko Dzieciak. Tam – obok wspomnianej dwójki skejcików – pokazani są młodzi kolesie z miejsc, gdzie dotarł Spoko Dzieciak Tour. Jakby było mało wyjazdów, na koniec filmu w bonusach znajdziemy jeszcze czwartą ekspedycję – tym razem Mafia Tour. Tam reprezentanci dystrybucji System dokazują na polskich mało znanych miejscówkach (Goły rządzi!). Pozostałe działy: Mentor, Etnies Open z Krakowa, Blue City i Skatepark Wschowa są dla mnie, niestety, nudne. A wszystko dlatego, że tematy te (z wyjątkiem Wschowy) pojawiały się w wielu polskich produkcjach i nie są już wcale ciekawe. Nie znaczy to, że są one kiepsko nagrane czy zmontowane. Podsumowując, „dwunastka" jest według mnie lepsza niż „jedenastka". Przydałyby się tylko jakieś dłuższe przejazdy jednego skatera i ograniczenie liczby relacji z imprez. **tol ol**



EPOKA LODOWCOWA 2 ODWILŻ

reż. Carlos Saldanha

CINEPIX

Pierwsza „Epoka lodowcowa" dała się obejrzeć, choć daleko było jej do wizualnej maestrii i błyskotliwości „Shreka". Przy dwójce wyciągnięto wnioski – animacja prezentuje się już znakomicie i zamiast starać się przelicytować szyderstwo i obrazoburczość przygód zielonego ogra postanowiono pójść w inną stronę, postawić na humor ciepły, bardziej życzliwy niż ostry. „Odwilż" jest więc filmem, na którym fani sarkazmu mogą stękać, o ile nie wezmą dziewczyny czy przynajmniej młodszego brata. Choć na scenie, w której leniwiec Sid zaczyna być odbierany jako bóg ognia, płakać ze śmiechu powinni wszyscy bez wyjątku. Nie znaczy, że jest nudno. To film żywszy i mocniej wypełniony akcją od poprzednika. Śmiejemy się raczej z tego, co się dzieje, niż z dialogów. Żarty nie są nachalnie spolszczane, bo po prostu oryginał zostawił tu małe pole do popisu. Może to i dobrze. Nachalność dydaktyzmu jakby bardziej w normie. Postacie bliższe widzowi, bardziej ludzkie, a przede wszystkim doskonałe pomysły na nowych bohaterów – mamucica Elka i niesforne oposy kradną show starym wygom i to wielokrotnie. Najlepiej świadczy o tym fakt, że wcale nie czekałem na kolejne perypetie wizytówki filmu – wiewióra z żołędziem. Wyszedł twórcom kawał dobrej, nieraz rozczulającej, w efekcie zdecydowanie poprawiającej humor rozrywki. Polecam. **(flint)**



ZEJŚCIE

reż. Neil Marshall

MONOLITH

Sześć przyjaciółek wyrusza na wędrówkę po jaskiniach w Appalachach. Są świetnie przygotowane do wyprawy, więc nawet przypadkowy zawał skalny, który odcina im powrotną drogę, nie jest w stanie zepsuć im przygody. Do czasu, gdy okazuje się, że głębiny jaskiń zamieszkują człekokształtne potwory, które przez lata ewolucji przystosowały się do życia w ciemności i polowania na zabłąkanych turystów. Reżyser „Zejścia" zrealizował wcześniej błyskotliwy i zabawny horror o wilkołakach, „Dog Soldiers". Tym razem opowiada swoją historię w tonacji serio, w klimacie mroczniejszym niż skalne czeluście. Jednak ta opowieść (niczym z „Archiwum X") służy nie tylko straszeniu widzów, ale również wnikliwemu przedstawieniu psychologicznych portretów bohaterek. Relacje między nimi, sukcesywnie burzone przez niezwykłe wydarzenia, są najciekawszym elementem „Zejścia". Fanów grozy mogę jednak uspokoić: choć film Marshalla ma ambicje przynależne raczej dramatom psychologicznym, to potrafi też nieźle nastraszyć. **(jd)**



RED EYE

reż. Wes Craven

ITI

Co robią ostatnio markowi reżyserzy, gdy zaliczą filmem kasową wpadkę? Pakują manatki, rzucają krótkie „do nie zobaczenia" w kierunku bossów ze swojej aktualnej wytwórni i przenoszą się do DreamWorks. Tak postąpił po „Alim" Michael Mann i tak też zrobił po „Przeklętej" Wes Craven. Obaj odnotowali sukcesy – pierwszy „Zakładnikiem", drugi „Red Eye". Magia fabryki Spielberga nie zadziałała dotychczas chyba jedynie w przypadku Michaela Baya (porażka dobrej skądinąd „Wyspy"). Craven odciął się jednak nie tylko od Miramaxu. W umieszczonym na dysku z „Red Eye" (bardzo przyzwoite wydanie – wpadki, reportaże z planu, komentarze twórców – wszystko z polskimi napisami) materiale pt. „Wes Craven: Nowy rodzaj thrillera" oficjalnie obwieszcza, że tak właściwie, to jego ponad 30-letni flirt z horrorem jest raczej dziełem przypadku niż zamierzonego planu. On – synonim slashera, ojciec jednej z ikon kina grozy, Freddy'ego – mówi takie rzeczy! I wiecie co? Może to zabrzmi obrazoburczo, ale jeśli będzie od tej pory realizował obrazy klasy „Red Eye", to ja nie mam nic przeciw. Bo „Red Eye" jest jednym z lepszych kawałków, jakie do tej pory nakręcił. Tego klaustrofobicznego wstrząsowca, rozgrywającego się w jakichś 70% na dwóch siedzeniach samolotu pasażerskiego, nie powstydziłby się sam wielki Hitchcock. Z tą różnicą, że Hitch w życiu nie przystałby na pozostałe procenty, czyli ostatnią tercję. Kręcili na nią nosem także nasi krytycy, którym generalnie film podobał się „do pewnego momentu". Będę się kłócił. Oto bowiem mamy tu laskę uciekającą po schodach na górę przed goniącym ją nożownikiem, mamy nagle „ożywającego" zdawało-by-się-trupa, mamy ojca bohaterki, który też teoretycznie powinien już nie żyć. Kpiarz Craven jakby od niechcenia wcisnął do tej rozrywkowej produkcji na zlecenie parodię swojego sztandarowego „Krzyku"! Ciekawe, czy to osobliwe pożegnanie z gatunkiem, czy raczej sygnał, by nie brać jego buńczucznych wypowiedzi na poważnie? Stawiam na to drugie. **Piotr Dobry**



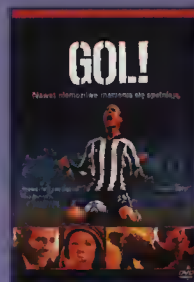
PAN IBRAHIM I KWIATY KORANU

reż. Francois Dupeyron

SPI

Biorąc w dzisiejszych czasach na warsztat temat tylko na pozór politycznie niepoprawny, de facto zaś optymalnie odpowiadający zapotrzebo-

futbol



GOL

reż. Danny Cannon

IMPERIAL

Jak tytuł jasno wskazuje, będzie o futbolu. Głównym bohaterem „Gola" jest młody, mieszkający w Los Angeles Meksykanin Santiago, który marzy o karierze zawodowego piłkarza. Jak wiadomo, w USA piłka nożna ustępuje popularnością koszykówce i baseballowi, a na dodatek mówią na nią „soccer", więc jedynym rozwiązaniem jest wyjazd do Europy. Santiago wsiada więc w samolot, leci do Anglii i dość szybko trafia do drużyny Newcastle United. Film Cannona jest właściwie jedną długą reklamą Adidasa i peanem na cześć ekipy „Srok" z Newcastle. W warstwie fabularnej to klasyczna historyjka z cyklu „od zera do bohatera", ze wszelkimi wzlotami i upadkami wpisanymi w jej schemat. A ponieważ nie mówi ani nic nowego o życiu, ani o futbolu, to pozostaje podziwianie sportu. Piłka nożna jest tu faktycznie pokazana bardzo ładnie, a na ekranie pojawia się kilku znanych zawodników, m.in. Milan Baros, Alan Shearer, Steven Gerrard i Patrick Kluivert (grają w piłkę) oraz David Beckham, Zinedine Zidane i Raul (lansują się w klubie i kręcą reklamówkę – oczywiście – Adidasa). Być może „Gol" udowadnia, że futbol to piękny sport, ale czy nie lepiej obejrzeć po prostu jakiś mecz Ligi Mistrzów? (jd)



PIŁKA NOŻNA W KINIE:

W 90 minut można zobaczyć na stadionie (lub w telewizji) kilka bramek, kilkanaście zapierających dech w piersi zagrań i przeżyć mnóstwo emocji. Można też obejrzeć film. Na przykład zapowiadane już dwie kolejne części „Gola" (w jednej z nich Santiago trafi do Realu Madryt). Jednak kino o piłce nożnej zawsze będzie gorsze od piłki samej w sobie, choć mimo to kilka filmów „zaliczyć" warto. Na przykład „Zwycięski mecz" Johna Hustona o rozegranym w czasie wojny meczu pomiędzy Niemcami a więzionymi przez nich aliantami. Godny uwagi przede wszystkim dzięki udziałowi wielkich futbolu: Pelego, Bobby'ego Moore'a i Kazimierza Deyny, od których jednak w meczu lepszy jest... Sylvester Stallone. Ciekawszy wydaje się „Mecz ostatniej szansy" o rozgrywce pomiędzy więźniami a klawiszami. Drużynę osadzonych trenuje tu niegdyś wybitny (i cholernie brutalny) obrońca m.in. Wimbledonu, a obecnie niezły aktor, Vinnie Jones. Zapada też w pamięć Jason Statham w roli psychopatycznego bramkarza. Temat kobiecej piłki nożnej poruszała komedia „Podkręć jak Beckham" z Keirą Knightley w jednej z ról. Więcej filmów porusza się jednak w tematach okołofutbolowych: chuligaństwa (ostatnio choćby znakomite „Football Factory" - na zdjęciu - i mniej udane „Hooligans") czy korupcji (polski „Piłkarski poker"). Filmy o futbolu bądź z futbolem w tle kręci się niemal na całym świecie, nawet w tak egzotycznych miejscach jak Hong Kong („Shaolin Soccer"). Naprawdę, piłka jednoczy ludzi...

recenzje książek

waniom społecznym – przyjaźń Żyda z Muzułmaninem – ryzykuje się pretensjonalność i demagogię. François Dupeyron wyszedł jednak z tej operacji bez szwanku. Jego film jest, co prawda, wołaniem o tolerancję, ale ów apel nie niesie za sobą żadnych blagierskich, fabrykowanych pod publiczkę treści. Francuski reżyser rysuje pozytywny obraz islamu, niemniej nad nauki Mahometa przedkłada życiowe mądrości tytułowego pana Ibrahima, koncertowo zagranego przez Omara Sharifa. „Wiem, co jest w MOIM Koranie", mówi Ibrahim do 16-letniego Momo (Pierre Boulanger – od czasu Christiana Bale'a w „Imperium słońca" nie widziałem nastolatka debiutującego w głównej roli z takim powerem). Słowem, egzystencja według wyselekcjonowanych zasad – w trudnej do zdefiniowania niszy między konformizmem a nonkonformizmem – nie musi być od razu mniej wartościowa. Oczywiste? Życie jest oczywiste.

Pewnie, że filmów o inicjacji w dorosłość pod okiem mentora było już co niemiara, lecz nie zapominajmy, że kino jest sztuką przede wszystkim wizualną. A niewiele rzeczy przebija pod tym względem Paryż lat 60., tutaj uwieczniony w sposób kontrastujący rzeczywistą szarość miejskich uliczek z niesamowicie soczystą barwą taśmy, jakby dedykowany niegdysiejszym nowofalowcom. Do tego przekozacki rock'n'rollowy soundtrack z nieśmiertelnymi szlagierami typu „Rock Around The Clock" czy „Sweet Little Sixteen" i mamy idealny wizualno-muzyczny podkład pod film afirmujący życie. A propos – dużo mówi się tu też o tym, że niekiedy nie warto mieć wygórowanych ambicji. Czy ktoś mógłby puścić to DVD podczas obrad naszego Sejmu? **Piotr Dobry**

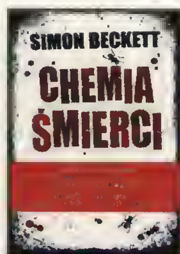


książki



NAJEMNIK
Krzysztof Piskorski
RUNA

Drugi tom „Opowieści piasków". Wygnany z Tel'Halik Kashim Al'Shannagg wędruje przez pustynię ze swoim niedawnym wrogiem (a obecnie towarzyszem niedoli) białoskórym Brenvanem. Dotychczas przekonany o nieomylności proroka i władców swojej ojczyzny Kashim dowiaduje się prawdy o Ocalonej Krainie i otaczającym ją świecie. Szybko przekonuje się, że poza pustynnym miastem Tel'halik istnieje potężna cywilizacja, szykująca się do podboju świata. „Najemnik" to dobra kontynuacja „Wygnańca". Często zdarza się, że w kolejnych tomach rozmaitych sag siada tempo narzucone w pierwszej części, jednak w przypadku książek Piskorskiego jest inaczej. Liczba spisków, walk i afer (także miłosnych) rośnie, świat pokazany przez autora rozszerza swoje granice, a powieść nie traci napięcia ani na moment. Bardzo solidna i wciągająca książka. Zwłaszcza że mechanizmy władzy w niej ukazane, wydają się jakoś nieprzyjemnie aktualne. **(jd)**



CHEMIA ŚMIERCI
Simon Beckett
AMBER

Po tragicznej śmierci żony i córeczki wybitny antropolog sądowy (badający okoliczności zgonów na podstawie zmian zachodzących w ciałach ofiar na skutek rozkładu) David Hunter rozpoczyna nowe życie jako lekarz w maleńkiej miejscowości Manham. Po paru latach dopada go jednak przeszłość – miejscowa policja prosi o pomoc w rozwiązaniu zagadki wyjątkowo odrażających zbrodni, których ofiarami padają mieszkające w Manham kobiety... Polski wydawca reklamuje książkę z wykorzystaniem jej pierwszych dwóch akapitów, zawierających naturalistyczny opis rozkładu zwłok, licząc zapewne na „niezdrową" ciekawość potencjalnych czytelników. Przyznaję, dałem się na to złapać. Tymczasem Simon Beckett nie stara się za wszelką cenę szokować odbiorców. Turpistyczne opisy dawkuje z umiarem, nie przekraczając cienkiej granicy, za którą zaczyna się już raczej horror (i to ten z gatunku gore). Skupia się na akcji i – przede wszystkim – na dość ciekawym obrazie małomiasteczkowej angielskiej społeczności postawionej w obliczu niecodziennych wydarzeń, co zbliża nieco „Chemię śmierci" do dokonań Stephena Kinga i Henninga Mankella. Co prawda, do wymienionych pisarzy Beckettowi jeszcze daleko, co czuć zwłaszcza w szwankującym zakończeniu (autor podrzuca tyle tropów, że można domyślić się, kto stoi za zbrodniami mniej więcej w połowie książki). Jednak „Chemia śmierci" to kryminał na tyle udany, że już czekam na kolejne zapowiadane przez Becketta powieści, których bohaterem będzie David Hunter. **(jd)**



WARTO WIEDZIEĆ:
„Trupia farma" (The Body Farm), wspomniana pośrednio na kartach powieści, naprawdę istnieje. Simon Beckett, podobnie jak bohater jego powieści, spędził na niej jakiś czas obserwując prowadzone tam badania. Farma jest częścią University of Tennessee Forensic Anthropology Facility w stanie Tennessee i to jedyne (oficjalnie) miejsce na świecie, gdzie obserwuje się zmiany zachodzące po śmierci w ludzkich ciałach i ich najbliższym otoczeniu, i to w naturalnych warunkach. Badania procesów gnilnych, larw owadów i wszelkich równie ohydnych zjawisk pozwalają na precyzyjne określenie chwili zgonu i ułatwiają wyjaśnienie jego okoliczności. Odrażające, ale fascynujące na swój sposób. „Trupia farma" stała się też inspiracją dla znanej również w Polsce pisarki Patricii Cornwell - w powieści „Body Farm" antropologia sądowa odgrywa znaczącą rolę.




recenzje komiksowe



EXIT
scenariusz i rysunki: Thomas Ott
KULTURA GNIEWU

Komiks szwajcarski był w ubiegłym roku dość szeroko prezentowany na majowych Targach Książki, dobrze więc, że teraz do naszych rąk trafia kolejny album artysty z tego kraju. Zwłaszcza że jest to komiks zupełnie inny niż prace tych twórców ze Szwajcarii, które mogliśmy do tej pory oglądać (Zep, Enrico Marini). Thomas Ott zgłębia najmroczniejsze zakamarki ludzkiej duszy. Ich „bohaterami" są z reguły mordercy, zwyrodnialcy, samobójcy i psychopaci, a tematem – śmierć, zniszczenie, obsesje i paranoje. Dzieła Otta powstają w rzadko spotykanej technice scratchboardu: artysta najpierw pokrywa plansze czarnym tuszem, w którym później wydrapuje kolejne kadry opowieści. I świat kreowany przez szwajcarskiego grafika jest właśnie taki: to głęboka czerń, której nie rozjaśniają plamy bieli, służące raczej wydobyciu na światło dzienne kolejnych okropności życia. „Moje opowieści mają formę spirali rozpaczy", mówi Ott w wywiadzie również opublikowanym w albumie. „Już od pierwszej chwili wiadomo, że stanie się coś złego i że nie ma od tego ucieczki. Potem zaś stopniowo czytelnik jest wciągany coraz głębiej w bagno". Trudno o lepszą charakterystykę dziwacznych i chorych komiksów Szwajcara. Warto jednak z wyobraźnią Otta się zmierzyć, bo choć „Exit" nie jest łatwą i przyjemną lekturą, to jednak nosi znamiona geniuszu. **(jd)**



ESSENTIAL CONAN TOM 1
różni autorzy
MANDRAGORA

Kolejny „Essential", tym razem zbierający pierwsze 25 zeszytów serii „Conan the Barbarian" o przygodach nieustraszonego barbarzyńcy z Cimmerii. Stworzona przez Roberta E. Howarda postać pojawiła się w komiksach wydawnictwa Marvel na początku lat siedemdziesiątych. Zeszyty (w różnych cyklach) ukazywały się niemal nieprzerwanie do roku 2000 (później prawa do postaci przejął Dark Horse i dwa tomy przygód Conana z tego wydawnictwa też się w Polsce ukazały). Barbarzyńca w swoim stylu przemierza tutaj fantastyczne krainy, siekąc wrogów mieczem, walcząc z rozmaitymi potworami i ratując śliczne dziewice na drodze



„Czak Norys vs. Ojciec Dr", czyli starcie pomiędzy nadużywanym ostatnio mocno Strażnikiem Teksasu a zakonnym właścicielem znanej rozgłośni radiowej. Autor ukrywa się pod pseudonimem Dżony Mielony, a wszyscy udają, że nie wiedzą, o kogo chodzi. Strach recenzować, jednak nie ze względu na to, że podobne żarty mogą się skończyć procesem, ale dlatego, że ten króciutki komiks to po prostu straszny śmieć. I tyle.



„Kaerelki i inne takie..." to zbiorek prac KRL-a, którego mogliście poznać jako autora „Ligi Obrońców Planety Ziemia" i krótkich komiksów publikowanych w „Produkcie". Może poziom publikacji zawartych w „Kaerelkach" nie jest równy, ale na pewno warto zwrócić na nie uwagę. Charakterystyczne ilustracje i nieco surrealistyczne poczucie humoru autora sprawiają, że to jeden z najciekawszych komiksów niezależnych, które ukazały się na tegorocznych Warszawskich Spotkaniach Komiksowych.



„Kajtek i Koko. Profesor Kosmosik" to już piąty album Janusza Christy, jaki ukazuje się w serii „Klasyka polskiego komiksu". Słusznie, bo Christa klasykiem jest z pewnością. Podobnie jak na poprzednie tomy, tak i na „Profesora Kosmosika" składają się skrupulatnie zebrane paski z dziennika „Wieczór Wybrzeża". Co prawda, Koko tu się akurat w ogóle nie pojawia, a bohaterami komiksu są Kajtek i tytułowy profesor, przeniesieni w czasie do średniowiecza. Nie jest to może Christa w najwyższej możliwej formie, ale komiks jest zabawny, a przy okazji warto zobaczyć pierwowzory kilku scen, które później autor skopiował w swoim najsłynniejszym dziele, czyli przygodach Kajka i Kokosza.

9 lat na ekranach telewizorów, ponad 140 epizodów, pełnometrażowy film kinowy, miliony fanów i tysiące kontrowersji. „South Park" już dawno podbił serca widzów, a przed jego twórcami jeszcze dużo do zrobienia

Za „South Parkiem" stoi dwóch ludzi – Trey Parker i Matt Stone. Poznali się na filmowych studiach na University of Colorado, a ich pierwszym projektem była tandetnie wykonana krótka animacja „Jesus vs. Frosty", w której dzieciątko Jezus walczyło z krwiożerczym bałwanem. Później powstał kolejny filmik (wizualnie zbliżony już do animacji „southparkowej"), w którym to Jezus walczył ze Świętym Mikołajem o to, do kogo naprawdę należą święta Bożego Narodzenia. Parker i Stone nakręcili też wspólnie kilka filmów pełnometrażowych: „Cannibal! The Musical" (tak, musical o kanibalach), „Orgazmo" i – całkiem niedawno – „Ekipę Ameryka" (kukiełkowa animacja, o której pisaliśmy w „Ślizgu" jakiś czas temu). Jednak głównym ośrodkiem zainteresowania obu twórców pozostaje „South Park".
Główni bohaterowie serialu to czterej uczniowie szkoły podstawowej w tytułowym miasteczku: wyjątkowo spokojni i inteligentni (na tle innych mieszkańców South Park) Stan Marsh i Kyle Broflovski (stanowiący zresztą alter ego, odpowiednio, Parkera i Stone'a), zawzięty grubas Eric Cartman oraz Kenny McCormick, którego łatwo poznać po naciągniętym na twarz kapturze kurtki, przez który nie można zrozumieć ani słowa z jego dialogów. Oprócz chłopców w serialu pojawia się mnóstwo innych postaci, od Szefa, czyli szkolnego kucharza poczynając, poprzez dziwacznych nauczycieli i uczniów, Big Gaya Ala, kanadyjskich komików Terrance'a i Phillipa, po Szatana i Saddama Husseina (przez jakiś czas pozostających ze sobą w niezbyt szczęśliwym związku).
Pierwszy epizod „South Parku" pojawił się na antenie w sierpniu 1997 (był to odcinek, w którym kosmici wsadzili Ericowi Cartmanowi sondę w tyłek). Serial z miejsca stał się hitem i oczywiście od razu wzbudził mnóstwo kontrowersji i protestów. Nic dziwnego: Parker i Stone obrażają wszystko i wszystkich. Jednak nie robią tego bezcelowo. „South Park" wyśmiewa wszelkie objawy głupoty i fanatyzmu, nie oszczędzając dosłownie nikogo. Serial jest absolutnie niepoprawny politycznie (taki Cartman choćby jest rasistą, szowinistą, a na halloweenowy bal szkolny przebrał się za Hitlera), wyśmiewa amerykańską ignorancję i egocentryzm, choć przy licznych okazjach obrywają i inne nacje – pod tym względem „South Park" jest wyjątkowo demokratyczny. I trzeba przyznać, że jest to bardzo zdrowe, chociaż często wyjątkowo nieprzyzwoite, poczucie humoru. Dla Parkera i Stone'a nie liczy się kolor skóry, orientacja seksualna, niepełnosprawność czy wyznanie. Śmieją się ze wszystkich równo (no dobrze, sztucznie kreowane przez media celebrities w rodzaju Bena Afflecka mogą liczyć na specjalne „względy"), a to sprawia, że na swój niepoprawny i przewrotny sposób „South Park" to najbardziej tolerancyjny serial, jaki w życiu widziałem. OK, trzeba mieć sporo dystansu i odporności na prezentowane przez autorów żarty. Niektórym jej brakuje, czego dowodem dość głośna ostatnio sprawa, gdy przeciwko serialowi zaprotestowali scjentologowie (wyjątkowo to modna, zwłaszcza w Hollywood, sekta, bo nie odważę się nazwać scjentologii wyznaniem). Parker i Stone wyśmiewali się w jednym z epizodów bezlitośnie z Toma Cruise'a i Johna Travolty, gorących orędowników scjentyzmu. Na znak protestu z serialu odszedł Isaac Hayes, od początku dubbingujący Szefa. Ale i z tym problemem autorzy sobie poradzili, uśmiercając Szefa w pierwszym odcinku dziesiątego sezonu, a wcześniej – wskutek prania mózgu – czyniąc go czyhającym na „okazję" pedofilem... Swoją drogą, szybka reakcja na aktualne wydarzenia to zawsze był atut „South Parku". A Stone'owi i Parkerowi pomysłów pewnie nie zabraknie. Aktualny kontrakt z producentem serialu, Comedy Central, obowiązuje do 2009 roku, co uczyni wtedy „South Park" trzecim pod względem długości serialem animowanym w historii amerykańskiej telewizji (po „Simpsonach" i „King Of The Hill"). A jeśli niesłabnąca od lat popularność serii się utrzyma, to pewnie jeszcze przez długie lata będziemy się przy niej bawić.

Kuba



„South Park" można oglądać w polskiej wersji na MTV w soboty o 22.30 (powtórki w czwartki o 22.00)

Manara



INDIANSKIE LATO
scenariusz: Hugo Pratt
rysunki: Milo Manara
EGMONT

vs.



BORGIA TOM 1
KREW DLA PAPIEŻA
scenariusz: Alexandro Jodorowsky
rysunki: Milo Manara
TAURUS MEDIA

Dwa komiksy, których ilustratorem jest wybitny włoski grafik Milo Manara, a scenariusze napisali mu równie utalentowani artyści: nieżyjący już Hugo Pratt (podobno to jedyny skrypt, jaki stworzył dla innego rysownika) i Alexandro Jodorowsky. Zacznijmy od komiksu starszego. „Indiańskie lato" to opowieść o początkach kolonizacji Ameryki. Historia jednego z licznych krwawych konfliktów pomiędzy Indianami a purytańskimi osadnikami, tym razem wywołanego przez gwałt, jakiego dokonało na białej kobiecie dwóch wojowników. Odwet wzięty przez bliskich dziewczyny na Indianach powoduje eskalację wydarzeń naznaczonych krwią, przemocą i wściekłością. I przy okazji seksem – w końcu to komiks rysowany przez Milo Manarę, więc bez kilku (jak na opowieść o purytańskiej Ameryce chyba nawet zbyt wielu) mniej lub bardziej wyuzdanych, na dodatek w sporej części kazirodczych, scen erotycznych obejść się nie mogło. Niestety, ten wątek najbardziej mi w lekturze komiksu przeszkadzał. Jak obnażyć hipokryzję purytanów, pokazał dawno temu Nathaniel Hawthorne w powieści „Szkarłatna litera", natomiast w „Indiańskim lecie" większość „momentów" wydaje się doklejona na siłę. Sama jednak poprowadzona w niespiesznym tempie opowieść jest nienajgorsza, zaś motyw zaburzonej przyjaźni pomiędzy Indianami a białymi – poruszający. No i ta wspaniała oprawa graficzna! Zderzenie gorzkiej i dosyć ponurej historii z pięknymi, utrzymanymi w jesiennej palecie barw ilustracjami Manary naprawdę robi wrażenie.

Jednak jeszcze większe wrażenie robią piękne rysunki, jakimi Manara opatrzył pierwszy tom opowieści o rodzinie Borgiów. Alexandro Jodorowsky, naginając historyczne fakty, snuje fabułę krwawą, brutalną i – jakżeby inaczej – mocno wyuzdaną. Epokę Borgiów (barwnie opisaną choćby w jednej z powieści Mario Puzo) pokazuje jako czas upadku wartości moralnych, bezpardonowej walki o stanowiska (w tym o tron papieski) i obyczajowej degrengolady. A Manara odnajduje się w tych klimatach idealnie – „Borgia", mimo kliku drastycznych i wręcz odpychających scen, to chyba jego najładniejszy komiks opublikowany w Polsce. Warto go przeczytać, choć – tego dodawać chyba nie muszę – jest to pozycja zdecydowanie dla dorosłych i „wyrobionych" czytelników. **(jd)**

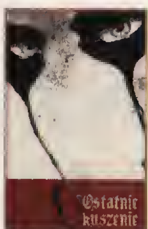
recenzje komiksowe

do upragnionego tronu (nie wiadomo jakiego), który ujrzał w przepowiedni. Zagorzałych fanów fantasy ucieszy pewnie fakt, że spotyka nawet Elrica z Melniboné, bohatera popularnych powieści Michaela Moorcocka. Jednak poza Elrikiem na przeszkodzie Conanowi stają głównie wielkie pająki, złowieszczy kapłani i wszelkiej maści łotrzy... Można się śmiać, że komiksy o Cymmeryjczyku (podobnie zresztą jak proza Howarda i jego niezliczonych następców) są naiwne, pozbawione głębszych treści i mocno schematyczne. Można narzekać na nieco staroświecką kreskę Barry'ego Windsora-Smitha (on jest bowiem autorem niemal wszystkich odcinków komiksu publikowanych w tym tomie). Ale jednocześnie trzeba powiedzieć, że to najlepszy „Essential" z tych, które się w Polsce ukazały. Okładkę albumu przygotował – już tradycyjnie – Polak. Tym razem jej autorem jest Arkadiusz Klimek. **(jd)**



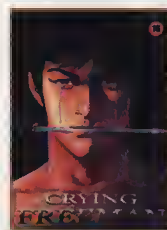
LIKWIDATOR. AUTOZDRADA
scenariusz i rysunki:
Ryszard Dąbrowski
ZIN ZIN PRESS

Kolejny pełnometrażowy album z Likwidatorem w roli głównej. Fabuła nie odbiega od „normy": zamaskowany anarchista i radykalny ekolog walczy o ocalenie puszczy przed budową – przebiegającej przez nią w planach – autostrady. Ma nowych wrogów i nowych sojuszników (w tym zbuntowaną dziennikarkę; to swego rodzaju nowość w „Likwidatorze"), poleje się krew, a sprawiedliwość zatriumfuje. Najbardziej fascynujące w „Likwidatorze" wydaje mi się to, że to komiks trochę – jakby to ująć – niedzisiejszy. Przede wszystkim za przyczyną swjego radykalnego (nawet za bardzo, ale to kwestia przyjętej konwencji) przesłania. „Likwidator" miałby się najlepiej na początku lat 90., gdy swoje komiksy zaczynali tworzyć Pała i Prosiak, a takie poglądy trafiały do większej ilości młodych ludzi. Teraz chyba nie najlepsze czasy dla radykałów... Można komiksów Dąbrowskiego nie lubić. Ale należy mu się pełen szacunek, zwłaszcza za wyrażanie mimo wszystko niewygodnych i niepopularnych poglądów. **(jd)**



OSTATNIE KUSZENIE
scenariusz: Neil Gaiman
rysunki: Michael Zulli
EGMONT

Główną postacią i inspiratorem tego komiksu był popularny niegdyś muzyk hardrockowy Alice Cooper. W „Ostatnim kuszeniu" nie występuje jednak pod swoim nazwiskiem, ale wciela się (czy też raczej użycza swojej twarzy) w rolę właściciela Teatru Rzeczywistości. Teatr ów nie jest miejscem zbyt przyjemnym – jego widzowie (przede wszystkim dzieci) znikają po przedstawieniu, a ten ponury rytuał powtarzą się od lat. Jedyną osobą, która odważy się stawić czoła złu, jest Steven, zakompleksiony i poniewierany przez rówieśników chłopak. Komiks Gaimana i Zulliego (autora dobrych ilustracji) jest dość sztampowym, niestety, połączeniem opowieści grozy, legendy miejskiej i uproszczonej historii o bardzo przyspieszonym dojrzewaniu bohatera. Co prawda, autor „Sandmana" nie pisuje złych scenariuszy (ani złych książek, jeśli już o tym mowa), jednak miewa tendencje, by rzeczy proste gmatwać i ukrywać za gęstą zasłoną mroku, tajemnicy i niedpowiedzeń. Czasami – jak i w tym przypadku – okazuje się, że za tą zasłoną po prostu nic nie ma. **(jd)**



CRYING FREEMAN tom 1
scenariusz: Kazuo Koike
rysunki: Ryoichi Ikegami
JPF

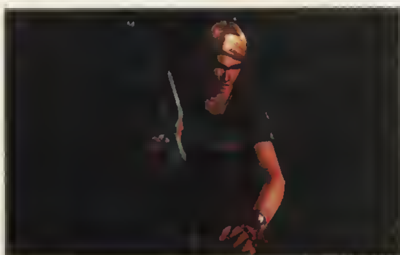
Pod pseudonimem Crying Freeman ukrywa się Japończyk Yo, pracujący dla chińskiej mafii - triady jako zabójca. A skoro zadania zilustrowania jego historii podjął się Ryoichi Ikegami, rysownik znany z mangi „Heat", którą onegdaj recenzowałem na ślizgowych łamach, to wiadomo już, że rzecz utrzymana jest w podobnym klimacie. Krwawe mafijne porachunki, śmiałe sceny erotyczne i sporo społecznych obserwacji to podstawa trzymającej w napięciu treści „Crying Freeman". Warto także wspomnieć, że na motywach tej mangi powstał mroczny thriller „Wybrany". Bardzo dobry komiks sensacyjny. Wybuchowy jak proch w kulach gangsterskich rewolwerów i narysowany ze smakiem, z jakim dalekowschodni bossowie podziemia noszą swoje garnitury. **/SBTN/**





D.N.ANGEL tom 1 i 2
scenariusz i rysunki: Yukiru Sugisaki
JPF

Daisuke jest zwykłym czternastolatkiem. Chodzi do gimnazjum, podkochuje się w koleżance z klasy, a w przypływie miłosnej afektacji zamienia się w legendarnego włamywacza... Że co? No tak, to mogli wymyślić jedynie japońscy mangacy. Konkretnie Yukiru Sugisaki, która tę zwariowaną historię zilustrowała rysunkami o bardzo ładnej, wyraźnej kresce. W kategorii mangi dla nastolatków to fajna rzecz. Możecie kupić młodszemu rodzeństwu. **/SBTN/**







ONIMUSHA 3: DEMON SIEGE

CAPCOM / CENEGA

Seria Onimusha to jedna z wizytówek konsoli PlayStation 2. Obok takich tytułów jak Devil May Cry (wkrótce na pecetach) czy Resident Evil (znany też z wersji na komputer) jest też jednym z najbardziej rozpoznawalnych survival horrorów w historii japońskiej konsoli. Czy takim również się stanie na pecetach? Ano, zobaczymy. Posiadacze komputerów dostają do swych rąk dopiero trzecią część cyklu, choć w opiniach konsolowców, najlepszą. Podobnie jak w pierwszej części, wcielamy się w samuraja Samanosuke i musimy stawić czoła demonowi o wdzięcznym imieniu Nobunaga (obydwaj, hm, panowie spotkali się już w pierwszej odsłonie serii). Problem polega na tym, że na skutek pewnych wydarzeń bohater zostaje przeniesiony do współczesnego Paryża, w którym spotyka policjanta Jacques'a Blanca – którym też będzie można pograć, co ciekawe, w świecie Samanosuke, gdyż i dzielny Francuz zostaje zmuszony do zmiany miejsca pobytu. W czasie i przestrzeni. Jak to w przypadku konwersji z konsol, kilka rzeczy boli. Przede wszystkim potrzebować będziemy pada, gdyż myszka i klawiatura nie zawsze się sprawdzają (taka to uroda gier konsolowych). Druga sprawa to grafika. Choć gra wygląda ładnie, to niestety rzuca się w oczy jej proweniencja konsolowa: rozdzielczość tylko do 800x600 (a i tak podobno podciągnięto ją), co może trochę zrazić graczy wychowanych na Half-Lifie 2 czy nowym Doomie. Ale jest też i fajny plusik. Otóż bohaterowie gry mówią głosami Takeshiego Kaneshiro i... Jeana Reno! Tak, tak, coś po „Wasabi" zostało z niego w Japonii. Ogólnie grę warto poznać, choć chyba większość pecetowych graczy może się poczuć trochę rozczarowana.



TONY HAWK'S AMERICAN WASTELAND

NEVERSOFT / CD PROJEKT

No cóż, tytuł mówi wszystko. Kim jest Tony Hawk, akurat czytelnicy SLG powinni wiedzieć, gracze zaś powinni znać serię z nazwiskiem Hawk w tytule. I to chyba wystarczy jako rekomendacja. Bo w sumie nie o scenariusz w tej grze chodzi, lecz o dobra zabawę i duszenie trików (a także ich tworzenie – w grze, rzecz jasna, ale chyba nic nie stoi na przeszkodzie, by wypróbować je potem w życiu). W tej odsłonie serii oprócz deski pojawia się też BMX, choć zadań i trików z nim w roli głównej zbyt wiele nie ma. Nieodzowną częścią tej gry jest oczywiście muzyka, a ta jak dotąd nigdy nie zawodziła – i tak jest tym razem. Możemy więc posłuchać dużo współczesnego punka spod znaku Green Day (który też się pojawia). Jedyna rzecz, która powoli zaczyna prosić się o zmianę, to grafika. W końcu jest rok 2006, a nie tak na oko 2003. Może to niewiele, ale jednak zawsze byłoby milej.



STRAŻ NOCNA

NIVAL / TECHLAND

Tytuł gry na pewno kojarzy się wielu z filmem „Straż nocna", jak i z książką Siergieja Łukianienki „Nocny patrol". O jakości książki i filmu wypowiadał się nie będę (bo to zostawiam naczelnemu). Powiem tyle: Rosjanie w produkcję filmu włożyli coś ze cztery miliony dolarów, natomiast w grę... dużo mniej i to widać od pierwszego spojrzenia. Gra nawiązuje oczywiście akcją do pierwowzoru filmowego (i książkowego), jeśli ktoś nie wie, o co chodzi, to króciutko: chodzi o zachowanie równowagi w świecie między tymi złymi i dobrymi (stąd też tytuł). Wcielamy się w postać niejakiego Stasa, który spotyka na swej drodze tych, którzy mogą przechodzić na Drugą Stronę i służą Światłu, przy okazji będzie musiał załatwić różne nieciekawe persony jak wampiry, wilkołaki itp. Straż nocna to gra z pogranicza strategii i akcji (sama walka jest w systemie turowym) z małymi elementami rpg. Gra raczej dla fanów twórczości Łukianienki i filmu, inni mogą sobie odpuścić.

gad

newsy

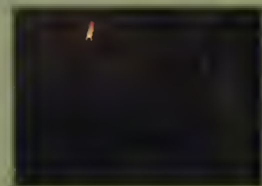


Powrót do zamku opóźniony

Jak w sumie można było przypuszczać, my – tzn. posiadacze pecetów – będziemy musieli trochę poczekać (ile?) na premierę drugiej części Return to Castle Wolfenstein. Powód jest prosty. Dla twórców gry, id Software oraz Activision, o wiele bardziej atrakcyjny jest Xbox 360 i tam najpierw gra zagości. My w Polsce będziemy chyba podwójnie nieszczęśliwi. Po pierwsze, bo trzeba czeeeeekać, po drugie, bo gdzie ten Xbox 360?

Co wolno Gatesowi...

Ano, wiele. Co łączy następujące wyrazy: Vista, DirectX 10, Xbox, Halo 2, Microsoft? Łączy je postać Billa Gatesa, twórcy Microsoftu, który to jeszcze w tym roku wypuści na rynek najnowszą wersję Windows o nazwie Vista, gdzie za poprawne działanie gier będą odpowiadać biblioteki DirectX 10 (pojawią się dopiero w Viście i nic nie wiadomo, by były przygotowywane wersje tych bibliotek choćby na Windowsa XP). Halo 2 to tytuł wielkiego hitu z konsoli Gatesa, czyli Xboksa, konwertowany na pecety (a co tu konwertować, toż to prawie jedno i to samo). Zaś do odpalenia Halo 2 na „piecku" potrzebny będzie właśnie... DirectX 10! Czyli krótko mówiąc: bez Visty w Halo 2 nie pogramy.



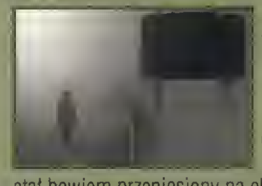
Aftermath to Episode One

Jak się okazało, pierwszy dodatek do Half-Life'a 2 zwać się ma Episode One, a nie – jak wcześniej zapowiadano – Aftermath. Ale najgorsze dopiero przed nami. Nie, wcale nie chodzi o to, że znów trzeba się bawić w Steam, by sobie pograć, a raczej o to, że znów wcielimy się w postać... Gordona Freemana, a nie Alyx Vance! Cóż, może w Episode Two (w produkcji) dane nam będzie zagrać piękną Alyx.



Kolejny Battlefield

Wszyscy fani online'owego (przede wszystkim) taktycznego shootera Battlefield (w różnych realiach: a to drugiej wojny, a to Wietnamu, a to współcześnie) nie mogą narzekać. Tym razem twórcy szykują nam futurystyczną zabawę spod znaku mechów oraz innego nieistniejącego jeszcze uzbrojenia – po sieci krąży już oficjalny trailer. Gra zwać ma się Battlefield 2142.



Silent Hill w kinach

Dla wielbicieli gier z cyklu Silent Hill dobra (miejmy nadzieję) wiadomość. Popularny horror został bowiem przeniesiony na ekrany i już wkrótce pojawi się także w naszych kinach. Co prawda, ekranizacje gier do najlepszych nie należą, ale w tym przypadku liczymy na wyjątek od reguły. Reżyserią zajął się bowiem Christophe Gans („Braterstwo wilków"), a w głównych rolach pojawią się Radha Mitchell („Pitch Black") i Sean Bean („Władca Pierścieni. Drużyna Pierścienia").

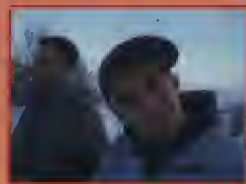
newsy

Ave. Radosny z powodu budzącej się do życia przyrody (i kto mówił, że brak mi liryzmu?) oraz – jeszcze bardziej – z powodu nadchodzącego dużymi krokami długiego weekendu, witam was w majowej edycji newsów, czyli w rubryce, którą według ostatnich badań cebosów, obopów i pebeesów czyta każdorazowo około 3 milionów Polaków. Muszę się przy okazji wytłumaczyć: otóż okazałem się kłamcą, bo mimo zapowiedzi, że wszystkie informacje w poprzedniej edycji będą prawdziwe, nie do końca tak było. Zdawało mi się, że nie będzie trudno dopatrzyć się fałszywego newsa, ale i tak niektórzy z Was rozbawili nas, przysyłając pytania o nadchodzący album Flintstone'a... W związku z tym, maj ogłaszamy miesiącem miłości dla Flinta i dajemy mu w tej edycji newsów spokój. Miłej lektury.

Zazwyczaj nie informujemy w tej rubryce o wydarzeniach na podziemnej scenie, ale tym razem cel jest szczytny, więc czynimy odstępstwo od reguły. Otóż, wydana zostanie płyta **„Nadzieja Umiera Ostatnia 2"**, której celem jest pomoc w uzbieraniu pieniędzy potrzebnych na protezę nogi dla siedemnastoletniej dziewczyny ze Śląska chorującej na raka kości. Płyta zostanie udostępniona w Internecie oraz będzie do nabycia w śląskich skateshopach. Wśród bardziej znanych wykonawców, których kawałki pojawią się na tej składance, będą Pih, Tetris, Tybet, Ramona 23, MyNieMy, Zeto i Konkretny Element.

Po mikstejpie „Wypijmy za blendy" autorstwa Tedego i DJ'a Macu, przyszła pora na kolejny. Tym razem promują się w ten sposób **Gural i DJ Kostek**, którzy wydali mikstejp o inspirującym tytule „Jointy, konserwy, muzyka bez przerwy". Płyta zawiera 21 niepublikowanych wcześniej tracków, jest do zamówienia niemal wyłącznie przez Internet (bo można ją dopaść także w kilku poznańskich skateshopach). Oprócz gospodarzy wydawnictwa, pojawią się na nim m.in. Ramona 23, Kaczor, Wall-E i DJ Feel-X.

Według wcześniejszych zapowiedzi RAP-IN Records, już w sprzedaży powinna być składanka **„RAP-IN Underground Vol. 1"**. Jest to pierwsza część z cyklu tego typu składanek, które prezentować mają polskie podziemie. Na płycie pojawić się mają m.in. Emazet/Procent, Silesian Soundsystem, Massey, CeHa, Mensentis i Ciech/Polej.



19 maja z kolei ukaże się również nakładem RAP-IN debiutancka płyta zespołu **CeHa** „Oryginał". Pierwszy internetowy singiel promujący to wydawnictwo nosi tytuł „Z buta" i ukaże się już 28.04. Do tego został nakręcony klip do utworu „Klaszcz". Równocześnie odbędzie się premiera singla „Czasem" w rozgłośniach radiowych, tak więc album będzie promowany przez 3 różne single mniej więcej w tym samym czasie. Więcej informacji powinno pojawić się niebawem na stronie labela.



Nie wiem, czy pamiętacie, ale jakoś w zeszłym roku informowałem was o wpadce, jaka przydarzyła się braciom, **Masterowi P** i Silkk The Shockerowi, kiedy to policja znalazła w ich samochodzie niezarejestrowaną broń. Rychły amerykański sąd wydał już wyrok. Obydwaj mają odpracować społecznie po 40 godzin

recenzje muzyczne



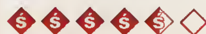
ASCETOHOLIX
ADSUM
UMC



Dobry powrót. Liber odnalazł jaja zgubione już po pierwszym krążku, Doniu nie śpiewa (na popową modłę, choć bardzo profesjonalnie, śpiewa za to Sylwia Grzeszczak), nie ma biesiady, nie ma żenady, jest zaś agresywnie, z duszą nawinięta płyta. Dobrze wypadają barwne, emocjonalne storytellingi i drużyna A w trybie reportażu z Polski karków, fur, tablet i dziwek. Procentuje dystans, świadomość własnej pozycji, zgranie i energia jak u debiutantów. Doniu ma to swoje zimne, plastikowe, patetyczne, niebujające brzmienie, antytezę funkowej energii. Nie lubię go (brzmienia, nie Donia), ale przynajmniej jest własne. Wypracował je, doszlifował, osiągnął znaczną realizacyjną biegłość, ujawnił talent do aranżacji. Znajdą się na szczęście i numery gorące. Przede wszystkim pijackie „Nigdy więcej" na beacie M. Kanzallaha i „Chodź ze mną" Stone'a, ale przyzwoicie wypada też ofensywny, rzucony na banger WDK „Szot", jak zabawny nie byłby w nim Liber ryczący: „Ssij dzidę, chamie!". Gdyby nie rozczarował mnie Kris – zwykle najlepszy w drużynie, tym razem mało wyrazisty... Gdyby nie kwiatki pokroju: „Nie stój cycu, kurwa!" czy „Smaczny jak twaróg" i follow-upy do Hammera i C-Murdera... Wreszcie gdyby nie trzy ostatnie utwory, na tle reszty marudne i nieciekawe, ocena byłaby wyższa. Obecną należy uważać za rekomendację zwiastującą udany album. Póki co najlepszy w karierze. **(flint)**



VA
JUNOUDET
JUNOUMI RECORDS



Fajne, choć brakuje hitów. Predestynowane do tej roli „Boomboxy" Gurala i „Najki" Smarka mocno otwierają pierwszy, nawiązujący do trzech poprzednich wydawnictw, winyl, ale jednak nie rozwalają z miejsca, raczej zwiastującą zwyczajną i sympatyczną resztę. Wank zrobił coś z flow, miłe są te wymiany linijek z Lilu. Numer nie zrobił z flow nic i nudzi jak cholera. 2cztery7 też nudzi – przynajmniej w dobrym stylu. Jimson ze swoją „kibicią jak kibic Legii" i rymem „etosu kurwy / rosół z kury" chce być nazbyt zabawny, więc „Diamenty" to raczej numer Emrata i Pacaka, tak samo jak „Mam telewizor" należy do Łony, a nie BlaBla. Drugi winyl dzieli się na pół. Pierwsza strona poszła na „inne klimaty". Niekiedy zbyt inne – o ile Eldo, Tymon i Brudne Serca są znakomitymi wyborami, to już od pierwszych słów („Możesz mnie przekląć, pojechać, sprzedać, pokaż kurwo, jak toniesz w kompleksach") Jeżozwierza słychać, że powinien trafić nie tutaj, a na mixtape Dobrego Chłopaka, tak samo jak Mesa z południowym eksperymentem usłyszałbym raczej na mixtapie Mario. Resztę zabrali DJ'e – Eprom, Feel-X, Romek, Kostek i Haem, a przede wszystkim klasa sama dla siebie – Twister. Zajebista lista wykonawców sugeruje urozmaicony, pozytywny rap na poziomie. Nawiasem mówiąc, najczęściej tak właśnie jest – i nawet jeśli nie lubisz tych mc, sama jakość produkcji powoduje, że warto wydać hajs na dwa winyle. **(flint)**



DRUGA STRONA LUSTRA
JĘZYK ŻYWIOŁÓW
W MOICH OCZACH



Jah jest wielki i miłosierny. Zapewne więc jest też mądry i to nieskończenie. Czyżby więc nie chciał, żeby wychwalano go inteligentnie i pomysłowo? Wtórność i natręctwo ideologicznego zaangażowania Drugiej Strony Lustra to duży minus. Mało tu utworów opartych na konkretnym pomyśle (jak „Dzieciak"), niewykorzystany pozostaje koncept z żywiołami, choć Mewa z PFK Kompany dobrze radzi sobie w „Powietrzu", a zwłaszcza w ciekawej „Ziemi". Tak poza tym, to miła, równa płyta, której niewiele da się zarzucić. Max i Zigi (znani z występującego na kompilacji 19 Południk projektu Persona) śpiewają przyzwoicie, zwłaszcza gdy kombinują nieco z wokalami jak w hitowym „Głosie Pokolenia" czy łapią melodyjne flow w mocno doprawionym hip-hopem i jazzikiem „Zwolnij". Pozytywna energia „Ile z siebie dasz" wydaje się zaraźliwa. Brzmienie całości jest harmonijne i pełne, do riddimów Aliena dołącza się sekcja dęta Bakshishu i dj'e (Hen, Emika). DSL określa się jako powiązanie reggae, dancehallu i hh. Nie ukrywajmy jednak, że najbardziej zadowoleni z albumu będą reggowi tradycjonaliści. Uważni, oldschoolowi fani hh z rozrzewnieniem zauważą za to obecność Jaosha. **(flint)**



PROJEKTOR
MIRAŻ
MAXFLOREC



Miuosz i Puq są dopiero w trakcie budowania czegoś własnego na podstawie psychorapowych dokonań. Za szybcy się wściekli? Nie wiem, ale sens i precyzja pryska im z wersów jak piasek spod kół. Nie wiadomo, jak hamować chaos i niesktadne wierszoklectwo w rodzaju: „Ponoć możesz być automatem / na biel mieć patent, a w klatę cios karate" czy „Mam furę na felach, które są tak pierdolne / że mógłbym stworzyć własną pierdoloną subkulturę!". Cóż, to mogła być dobra płyta. Gdyby była epką na tak dynamicznych podkładach jak ten z „Rzepów" (świetnie brzmi elektronika zestawiona z beatboxem) czy „Pauki za pauki" (przebój z klasą od Żusto), a gospodarze umieli tak szaleć z flow jak nowa fala angielskich mc i wzorem Roll Deep czy So Solid stworzyli większy kolektyw (numery z gośćmi są najlepsze na płycie i o niebo ciekawsze od reszty, nawet jeśli Mea brzmi, jakby nawijała pod dwa razy wolniejszy podkład)... Gdyby Rahim miał więcej odwagi, a przy tym szczyptę szaleństwa i wyszedł poza rzeczy bardzo poprawne, udane realizacyjnie, ale do wciśnięcia gdzieś między Volta i J.M. Jarre'a... Gdyby obyło się bez wpadek pokroju pierwszej

zwrotki i refrenu w „Schronie dla dusz", które brzmią jakby Puq szykował się do castingu na czwartego mc w Ascetoholix... Nie gdybajmy. Projektora ostatecznie można posłuchać. I poligrafia ładna. I dobrze, że coś się dzieje na południu... **(flint)**



VA
FAR AWAY FROM JAMAICA
W MOICH OCZACH



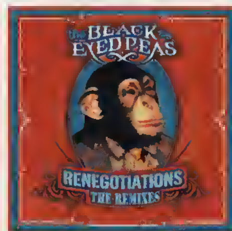
W większości przypadków to pogodna, stonowana składanka w klimatach rootsowo-dubowych. Co więcej, oparta na ekskluzywnych kawałkach wykonawców z całej Polski. Niestety, słuchając jej uważnie można uzyskać efekt zbliżony do przejadania się słodkimi jogurtami – niby można jeść je w nieskończoność, łatwo i przyjemnie się przełyka, aż łapią w końcu człowieka mdłości. Początek albumu należy do ładnego, dobrze skomponowanego numeru Indios Bravos, koniec do energicznego, przebojowego utworu Drugiej Strony Lustra. Z nieco zlewającego się materiału najbardziej wyróżnia się jednak środkowa część. W pewnym momencie monotonię przełamuje żywy, wdzięczny track Całej Góry Barwinków, po nim następuje najlepszy na płycie Habakuk, pokazujący w przewadze odtwórczym lirycznie kolegom, że nawet wyeksploatowaną historię stworzenia da się przedstawić w mądry i frapujący sposób. Paprika Korps podtrzymuje lekkość i dynamizm. W miarę bezboleśnie da się przetrwać Paraliż Band i Power of Trinity, żeby dotrzeć do wyróżniającego się brzmieniem, tematyką i częstą wymianą nawijaczy na mikrofonie Vavamuffin. Potem człowiek tonie już w siedmiominutowej kompozycji grupy Negril i dochodzi do wniosku, że całość przedsięwzięcia można by bardziej zróżnicować, bo robi się zbyt jękliwe i nie do twarzy mu z tą oddalającą od Jamajki anemią. **(flint)**



VA
2K6 THE TRACKS
DECON



Świetna kompilacja. Aż żałuję, że dopiero teraz ją posiadłem (premiera była w październiku). Już sam skład wykonawców powala na kolana. Mamy tu choćby Blackalicious (świetne – nomen omen – „Excellent"; druga zwrotka Gaba w tym numerze to mistrzostwo świata), Commona („The Movement" na bicie Dilli), Ghostface'a (oryginalna, porywająca wersja „Milk 'Em" z Trife'em), Jean Grae (w bardzo dobrej formie), Aesop Rock (jak zwykle niszczący tekstowo) czy RJD2 (instrumentale na intro i outro). Macie już mokro? Do tego wszystkie tracki premierowe często nagrane specjalnie na tę składankę (pełniącą zresztą rolę ścieżki dźwiękowej do koszykarskiej gry komputerowej). Ocenę nieznacznie psują kiepskie numery The Roots (odrzut z odrzutów, ale i tak da się słuchać) oraz przeciętne Little Brothera, Hieroglyphics czy Redmana (na bicie Rockwildera). Jednak nie mam zamiaru marudzić, bo aż nie wypada. Skład uzupełniają tu Lyrics Born, Aceyalone, Zion I i Skillz. Taka urozmaicona mieszanka po prostu gwarantuje 50 minut dobrego rapu – aż dziw, że o tym wydawnictwie było tak cicho. **GRB**



BLACK EYED PEAS
RENEGOTIATIONS: THE REMIXES EP
A&M



Przypomniały się czasy, kiedy BEP stanowili czołówkę pozytywnego, tanecznego rapu. Epka niniejsza zawiera tylko siedem tracków, ale skondensowana jest tu taka dawka energii, że aż strach pomyśleć, jak dobre recenzje mógłby zebrać cały album utrzymany w takiej konwencji. Mamy tu dwa przypuszczalnie najlepsze numery z „Monkey Business" („Like That", „Audio Delite") oraz pięć remiksów kawałków z ostatniego LP zespołu. I tak, Eric Sermon nadał nowe brzmienie „Da Bump" – mocna perkusja zrobiła swoje. Z nietypowej strony pokazał się DJ Premier w remiksie „My Style" – mniej surowe brzmienie, delikatne sample gitarowe, dobrze brzmiące klawisze. Kawał porządnego funku dał Pete Rock w „They Don't Want Music" – nie da się przy tym nie kiwać głową. Jazzy Jeff przedstawił lżejszą wersję „Feel It" opartą na patencie z „Rapper's Delight". Wreszcie na koniec Large Professor dał mocne uderzenie w postaci – nieco jednak momentami monotonnego – remiksu „Disco Club". Fakt, że nie wszystko może się podobać, ale główną tego przyczyną jest raczej jakość oryginalnych tracków, z założenia pop-rapowych. Na pewno jednak fani dwóch pierwszych krążków BEP będą się z tej epki cieszyć, a i innym też polecam. **GRB**



DEUX PROCESS
IN DEUX TIME
AVATAR



Nasi przodkowie zapytaliby: „Kto zacz?" Tymczasem Deux Process to kolejny po One Block Radius wynalazek małego amerykańskiego labela Avatar. DP mają do zaoferowania naprawdę niezły debiut. Pokusiłbym się o zdanie, że pochodzący z Kolorado Vice Versa i Chief Nek w niektórych momentach przypominają wręcz Slum Village za najlepszych lat. Objawia się to głównie w ogólnym ciepłym brzmieniu materiału i podobnych stylach emcees. Produkcje pierwszego z wymienionych (odpowiada on za znakomitą większość płyty – nie ustrzega się wpadek, ale jak na debiutanta trzyma poziom: ciekawe klawisze, ładnie ogarnięty bas) oraz Stro The 89th Key znanego z The Procussions (dał cztery bardzo dobre bity – widać, na kim w dużej mierze wzorował się Vice Versa) powodują chęć powracania do płyty w większym stopniu niż umiejętności rymowania członków DP. Pod tym względem bowiem jest nieco go-

i wpłacić grzywny po... 700 dolarów. Dodatkowo Silkk dostał trzyletnie zawiasy. Teraz Millerowie będą musieli sprzedać po jakimś wisiorku, żeby się opłacić i załatwione. Inna ciekawostka to fakt, że Master P poleciał pod koniec marca ze swym synem Lil' Romeo do Niemiec, by swoim występem dodać otuchy stacjonującym tam amerykańskim żołnierzom. Teraz Amerykanie będą z pewnością lepiej walczyć przeciwko tym niemieckim świniom, yyy, czy coś tam...

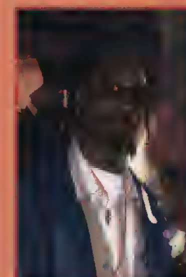
A teraz przed nami dwie klepsydry. **Professor X**, członek X-Clanu (dwie płyty na początku lat dziewięćdziesiątych), zmarł 17 marca w wieku 50 lat na zapalenie opon rdzenia kręgowego. Afrocentryczny raper naprawdę nazywał się Robert „Lumumba" Carson i był synem znanego niegdyś działacza społecznego i autora autobiografii Sonny'ego Carsona.



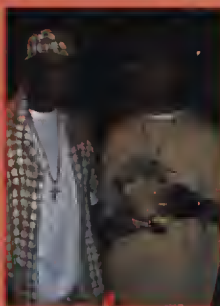
Druga wiadomość o śmierci znanej postaci z rapowego światka jest już dużo bardziej szokująca. Otóż 11 kwietnia w Detroit raper **Proof** z D-12 został śmiertelnie postrzelony w głowę. Miało to miejsce w klubie przy 8 Mile Road. Zaraz po wyjściu tej informacji na jaw, pojawiła się plotka, że drugim mężczyzną, który został poszkodowany podczas zajścia, był inny członek D-12, Bizarre. Na szczęście jednak (najgłośniej odetchnęli noszowi), okazało się to nieprawdą – raper przebywał wówczas w Atlancie. Chwilę potem wyszło na jaw, że to sam Proof rozpoczął sytuację, obalając grającego z nim w bilarda mężczyznę na ziemię, a następnie oddając do niego strzał (facet walczy o życie, kiedy ja sobie piszę). Widząc to, kuzyn poszkodowanego strzelił czterokrotnie do rapera. Obydwaj zamieszani w zajście mężczyźni byli ochroniarzami w klubie. Trochę to zamotane i w sumie bez sensu...



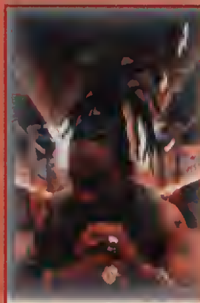
Ciekawostka z pogranicza sportu i muzyki. **Carlos Boozer** to silny skrzydłowy drużyny NBA Utah Jazz. Do „skromnej" pensji koszykarskiej dorabia sobie chłopak wynajmując kupione przez siebie wcześniej luksusowe posiadłości. Jednym z klientów przedsiębiorczego Boozera jest sam Prince, który wynajął jeden z domów koszykarza na 8 miesięcy za kwotę 70 tysięcy dolarów za miesiąc. Niestety, Książę poczuł się zbyt pewnie i samowolnie przemalował wnętrze posiadłości na ulubiony purpurowy kolor, dodając tu i ówdzie swój symbol i logo albumu „3121", do tego dokonując innych pomniejszych zmian. Boozer się zirytował i teraz panowie spotkają się na sali sądowej.



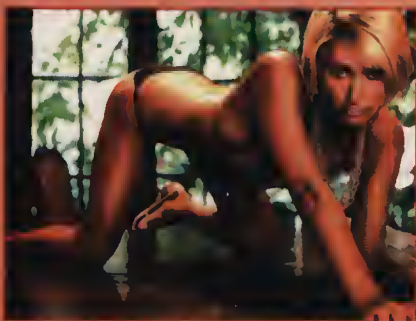
Kolejne biznesowe przedsięwzięcie **Snoop Dogga**. Tym razem wszedł we współpracę z firmą produkującą wszelkiego rodzaju akcesoria dla psów: smycze, posłania, zabawki, sami wiecie. „Miłość Snoop Dogga wykracza poza ludzi – jest kierowana do wszystkich żyjących stworzeń na świecie. Jak mógłbym być Snoop Doggiem i nie okazywać miłości zwierzętom?", pyta retorycznie raper. Snoop wie, jak dostarczyć nam uciechy. Warto jeszcze wspomnieć, że władze Las Vegas zablokowały jego koncert w jednym z kasyn w swoim mieście, jako część akcji wymierzonej przeciwko coraz częściej pojawiającym się tam na występach raperom.



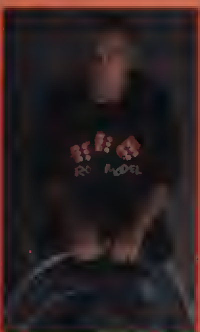
Papoose jest już w tej chwili bohaterem amerykańskiej podziemnej sceny, ale niedługo może się to zmienić, gdyż za pchnięcie jego kariery na mainstreamowe tory biorą się ostro DJ Kay Slay (na zdjęciu z raperem) i Busta Rhymes. Street Sweepers Entertainment, z którym Papoose ma obecnie umowę, wesprze Flipmode Squad. Pierwszy efekt widać – newcomer już pojawił się w remiksie do „Touch It", a sam Busta gości na wypuszczonym nie tak dawno singlu „Get Right". Gdyby Papoose chciał, już dawno wydałby swój oficjalny debiutancki album, jednak póki co wstrzymywał się z decyzją, która teraz jest bardzo bliska. Świat oszaleje?



To teraz troszkę więcej o **Busta Rhymesie**. Raper, na którego „Big Bang" czeka cały hip-hopowy światek, miał ostatnio przyjemność konfrontacji z byłym właścicielem „The Source'a", Davidem Maysem. W trakcie kłótni między panami, która miała miejsce w klubie w Miami, ktoś z otoczenia rapera uderzył Maysa w głowę butelką. Ten – choć wylądował w szpitalu – nie zrobił z zajścia wielkiej afery i nie złożył doniesienia. Ponoć przyczyną kłótni były komentarze poczynione pod adresem Busty przez Maysa w radiowej audycji. Warto wspomnieć, że raper został niedawno zdisowany przez byłego kolegę z Leaders Of The New School, Dinco, który zarzucił Rhymesowi brak szacunku i wygłaszanie obraźliwych opinii pod swoim adresem. Kawałek nosi tytuł „Fuck Touch It".



Po otrzymaniu Oscara, nie zakończyły się triumfy Three 6 Mafii. Zespół otrzymał chociażby w nagrodę za zasługi symboliczny klucz do miasta Memphis, w którym działa od początku kariery. To jednak tylko przygrywka do prawdziwego zaszczytu, jaki spotkał grupę ze strony samej gwiazdy lanserskich imprez i domowych filmów porno – **Paris Hilton**. Mianowicie, poprosiła ona po spotkaniu z członkami tria o udostępnienie jej kilku ich produkcji. Cel? No, jak to, nie wiecie, że Paris Hilton nagrywa płytę? To będzie dopiero hit.



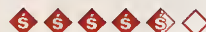
Z rubryk plotkarskich: **Eminem** rozwodzi się z Kim. Znowu. Wytrzymali ze sobą niespełna 3 miesiące. Kim zarzuciła mężowi ciągłe problemy z narkotykami, stwierdziła także, że złożenie dokumentów rozwodowych przez Eminema było dla niej niespodzianką. Raper odpowiedział w specjalnym oświadczeniu, że problemów już nie ma, a Kim o planach rozwodu wiedziała. Oj, dzieci, dzieci...

recenzje muzyczne

rzej. Jakkolwiek teksty są inteligentne, to wykonanie pozostawia dużo do życzenia. Raperom brak nieco wyrobienia indywidualnych styli, są tu co najwyżej przeciętni. Generalnie krążek co najmniej godny sprawdzenia. **GRB**



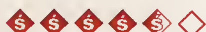
KANO
HOME SWEET HOME
679 RECORDINGS



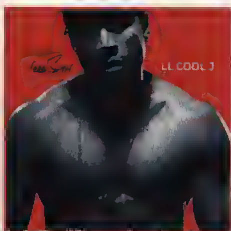
Kano to kolejny po Dizzee Rascalu młody fenomen brytyjskiej sceny muzycznej. Gdyby całość jego debiutanckiego albumu trzymała poziom większości zamieszczonych tu tracków, mielibyśmy do czynienia z sensacją. Tymczasem jest to krążek i tak bardzo dobry, bo zawierający kwintesencję wykręconego wyspiarskiego stylu („Jak to nazywasz, garage? Jak to nazywasz, grime? Nazywaj to, jak chcesz", rapuje Kano). Kane Robinson jako raper zdecydowanie lepiej sprawdza się na agresywniejszych, szybszych i bliższych hip-hopowi bitach – jak choćby świetny otwierający płytę kawałek tytułowy Mikey J'a czy oparty na gitarowym riffie „Typical Me" Frasera T. Smitha – gdzie może wykazać się świetną techniką, a jego miękki głos brzmi po prostu lepiej niż na spokojniejszych produkcjach. Jedno jest pewne – Kano nie powinien rapować o miłości („Nite Nite" czy „Brown Eyes") ani póki co brać się bez nadzoru za produkcję (okrutny bonus „Boys Love Girls"), bo te fragmenty, kiedy to robi, psują ostateczny efekt. **GRB**



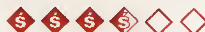
GHOSTFACE KILLAH
FISHSCALE
DEF JAM



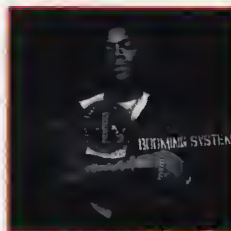
Ghostface powrócił najlepszym albumem od czasu „Supreme Clientele". Na poprzednim krążku było za dużo wypełniaczy. Nie miejmy złudzeń, na tym też się pojawiają, ale jest ich zdecydowanie mniej. Zaskakuje przede wszystkim lista producentów. MF Dooma można było się spodziewać, bo przecież panowie planują wspólny krążek. Ale nigdy bym nie pomyślał, że Ghost zarymuje do bitu Lewisa Parkera. Do tego swoje trzy grosze dołożyli Just Blaze, Jay Dee (dwa tracki z „Donuts"), a także Pete Rock, który wyprodukował między innymi świetne „Be Easy". Czuć na tej płycie charakterystyczny klimat Wu-Tang Clanu, którego tak ostatnio brakowało. Dużo tu brudnych sampli, a podkłady są niesamowicie klimatyczne. Wszystko brzmi jak najbardziej oldschoolowo i to jest jeden z największych atutów tej płyty. Tekstowo Ghost jak zwykle daje z siebie wszystko i czasem można odnieść wrażenie, że podczas tworzenia albumu rozpieprzył niejedną kabinę do nagrywania wokali. Jest niesamowicie żywiołowy, gdy się przechwala, ale świetnie radzi sobie też w numerach typowo miłosnych. Chociaż zdecydowanie kawałków bitewnych i love-songów jest tu za dużo, nawet jeśli utrzymane są w mrocznym klimacie.
Na szczęście pojawiło się też miejsce na konceptualne numery w rodzaju „Underwater" czy „R.A.G.U.", a te były zawsze najsilniejszą stroną Ghosta. Dobry album. **dill-o**



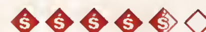
LL COOL J
TODD SMITH
UNIVERSAL



Czy czarni się rumienią? LL powinien. Czasem naprawdę brzmi, jakby Lil' Jon pisał mu teksty. Jest tak banalny i oczywisty, że słuchacz notorycznie wie, co on zrymuje, zanim skończy wers. Eksploatowanie tego samego pomysłu na album też nie może trwać w nieskończoność. Chyba, żeby mogło... Bo miałkie to, wtórne, ale nieźle się słucha. Miks rutyny i profesjonalizmu u dominujących produkcję Trackmasters w zestawieniu z bogatym wachlarzem różnorodnych wokalistów i wokalistek (Od Mary J. Blige przez Jamie'ego Foxxa, Teairrę Mari po Ginuwine'a i Ne-Yo) robi swoje. Część beatów od Poke'a i Tone'a brzmi jak odpady z płyt Jaya-Z z R. Kellym? Scott Storch i Neptunes dostarczyli podobne zamulatory na tysiąc razy słyszanych handclapach? Singiel jest obrzydliwy, a Dupriemu należy się wpierdol za bezczeszczenie spuścizny Afriki Bambaaty? Uwierzcie, nie szkodzi. Zwykle szkodzi, ale nie tutaj. Miluchna papka z dwoma mistrzowskimi, krwistymi bangerami – „It's LL and Santana" z Juelzem Santaną i „What u want" z Freewayem. Ogólnie brawa dla producentów-newcomerów: The Narcotics, Shea Taylora (klawiszowiec Wycleffa z jednym numerem na Memphis Bleeku) i Keezo Kane'a (idący przebojem podopieczny Kanye Westa). Za nich pół „eśki" więcej. **(flint)**



LORD KOSSITY
BOOMING SYSTEM
UNIVERSAL



Rzadko trafiają do nas francuskie albumy, ale nie tylko dlatego trudno uwierzyć, że to już ósmy album Lorda Kossity. Niski, chrapliwy głos absolutnie pewnie prowadzi przez agresywną, syntetyczną i przebojową do nieprzyzwoitości płytę z zaskakującą charyzmą. Nie to, żebym był wielkim fanem dancehallu, ale stanowi on tu tylko punkt wyjścia do kombinowania, nadaje piekielne tempo. Zapamiętuje się „Oh No" i „Zone Rouge" dzięki zupełnie inaczej wykorzystanym gitarom. W głowie zostaje wariacki, marszowy rytm „Dancehall Soldiers". „Booming System", „J'ai Pas Le Temps" czy wreszcie wskazujący na to, że każda dupa to dobra dupa „Toutes Bonnes", stanowią zupełny imprezowy rozpierdol. Brzmiący jak oszalały muezin Nazareken to tylko jeden z ciekawych gości, bo są tu sławy takie jak Shaggy czy Elephant Man. I nie zawodzą. Słabości upatrywałbym raczej w niepotrzebnych latynoskich akcentach („Dolly", „Narvalto") i zagubionych wokalistkach (zwłaszcza obleśne „Seconde Chance"), ale to nie te elementy dyktują ton wydawnictwu. Płyta? To raczej jak lokomotywa jadącą przez czaszkę. **(flint)**

recenzje muzyczne



MARC MAC PRESENTS: VISIONEERS
DIRTY OLD HIP HOP
BBE / SONIC

Marc Mac, znany przede wszystkim z działalności w producenckim superduo 4Hero, nagrywając ten album chciał „oddać jazz na nowo w ręce twórców hip-hopu". Udało się? I to jak! We współpracy z klawiszowcem Bradem Somatikiem i perkusistą Lukiem Parkhouse'em, wykorzystując ponadto bogate jazzowe instrumentarium podjął się interpretacji wielu rap klasyków nadając im zupełnie nowe, świeże brzmienie. Drugą część albumu stanowią nowe numery. Tylko dwa z nich są rymowane, ale zarówno „Replay" z rapującą Voice (Kimże ona jest? Rewelacja!) jak i „Funk Box" z Capitol A to klasa sama w sobie. Istotę „Dirty Old Hip Hop" stanowią jednak wspomniane już wcześniej przeróbki znanych szlagierów. Znajdziemy tu funkowo-jazzowo-soulowe wersje m.in. „The World Is Yours" Nasa czy „Runnin'" The Pharcyde. Uzasadnione mogą być skojarzenia z Breakestrą, zapewniam was, że to równie wysoki poziom. Marc po latach zabrał hip-hop znów do korzeni. Takie wycieczki zawsze cieszą i tym razem jest nie inaczej. **A. Cała („Machina")**



SOUL POSITION
THINGS GO BETTER WITH RJ AND AL
RHYMESAYERS ENTERTAINMENT

RJD2 raczej nie przyzwyczaił nas do takiej ilości muzyki w tak krótkim czasie. Wszyscy zastanawiali się, który z projektów będzie „tym drugim" – „Magnificent City" z Aceyalonem czy Soul Position z Blueprintem. Teraz jest już jasne, że na pewno nie „Things Go Better...". RJ zrobił znowu „swoje" bity, każdy z nich ma swój klimat i styl, ale nie obyło się bez wpadek, bo na przykład „Keys" brzmi jak bit w połowie pracy. Blueprint z kolei dowiódł, że nie jest słabszą częścią duetu – ma bardzo fajne flow, potrafi płynąć na bitach, świetnie nawija o dziewczynach, ale potrafił też przemycić wartości w bardzo fajnej formie (np. „I'm Free"). Słychać, że obu panom tworzenie muzyki sprawia wielką przyjemność i nawet nie przeszkadza mi, kiedy RJ odlatuje w swoje zajawki o krok za daleko, a Blueprint po raz kolejny nawija o pannach. Dokładnie to cenię sobie w tej płycie – przyjemność twórców przekłada się na przyjemność słuchacza. Kolejny świetny album w katalogu Rhymesayers. **Med**



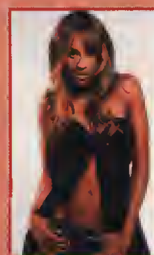
TONY TOUCH FT. CHEECH MARIN
HIP HOP 80
TOUCH ENTERTAINMENT

Mixtape Tony'ego Toucha traci z kilku powodów niezależnych od jego twórcy. Kiedy będziecie czytać recenzję, nie będzie jakkolwiek gorący z racji na opóźnienia na naszym rynku muzycznym i opóźnienie związane z cyklem wydawniczym prasy. „The Flute Song" Liksów i „Touch It" Busta Rhymesa znacie już pewno na pamięć. Wątpię też, czy strawne będzie dla was latynoskie lizanie się po tyłkach i czy Cheech Marin, aktor charakterystyczny, ale znany umiarkowanie, ma dla was status legendy i uznacie, że warto opierać na nim pomysł na mixtape. Tony za dużo krzyczy i wchrzania się w kawałki, za często poleca też swoje reggaetonowe wydawnictwo. Poza tym, ma na szczęście swój gust i dobiera numery w różnych stylistykach, ale gra to razem ze sobą, trzyma się specyficznej wibracji, pozostając zarazem na czasie i street-friendly. Mocne kolaboracje na dzień dobry (Redman z Ghostem i Ludacrisem oraz 50 z Prodigym i Mase'em) nie są tak mocne, jak można by się spodziewać. O dziwo, najbardziej w pamięć zapadł mi John Doe (głos!) i Remy Martin, dobrze wypadają też załogi Bootcamp („Timbs Do Work" Smif-n-Wesson i Heltah Skeltah) i Wu („Kilo" Ghosta i Rae). Ważne, że „Hip hop 80" dobrze się słucha jako całości. Słychać, że Touch ma dj'ski instynkt i doświadczenie i jak bardzo to procentuje. **(flint)**



THE STREETS
THE HARDEST WAY TO MAKE AN EASY LIVING
WARNER MUSIC

Trzeci album sygnowany przez The Streets i trzecia niespodzianka. Mike Skinner wydaje się coraz pewniej czuć jako jedyny oficjalny członek zespołu. To, co wyczynia w podkładach (ostrzegam – materiał nie jest przeznaczony dla hip-hopowych purystów), może zostać przyćmione jedynie przez jego talent satyryczny, albowiem wspiął się on na wyżyny sarkazmu i ironii. Jedno można mu zarzucić – stając się coraz lepszym tekściarzem, absolutnie zaniedbał rozwój techniki, z tym że chyba nigdy nie pretendował do miana najlepiej-składającego-rymy-rapera. Płyta jest zaskakująco rozśpiewana, przy czym refreny są na tyle nieskomplikowane melodycznie, że każdy może je sobie sam wyśpiewać. Dodatkowym atutem jest możliwość wyboru utworu odpowiedniego do nastroju – na te radosne chwile mamy singlowy „When you wasn't famous", na męską popijawę po meczu polecam tytułową „The hardest way...", kiedy macie absolutnego doła po zerwaniu z drugą połową, możecie wysłuchać pięknej (ha, ha) ballady „Never went to church", a potem, jak dojdziecie do wniosku, że wszystko przez tych podłych kapitalistów, Mike oferuje wam „Two nations". Nie ulega wątpliwości, że Streets znów wyznaczają nową drogę rozwoju brytyjskiej muzyki i za to należy się piąteczka, oczywiście z adnotacją, że mogło być lepiej, gdyby nie ten brak troski o rymy. **Cess.**



Ale to jeszcze nie koniec, bo nie mogę się powstrzymać przed ogłoszeniem rozpadu kolejnego głośnego związku: **Ciary** z Bow Wow. Młodzi artyści byli ze sobą prawie rok, ale ponoć Ciara zobaczyła swego partnera w Los Angeles w objęciach innej. No proszę, a już nawet pojawiły się plotki o rzekomych zaręczynach pary. Chłopaki, Ciara do wzięcia!



27 czerwca to data wydania albumu comebackowego **Dogg Pound** „Cali Iz Active". Krążek z udziałem Snoop Dogga, Kurupta i Daza Dillingera (na zdjęciu) wydany zostanie przez label pierwszego z wymienionych, Doggy Style Records. Wśród producentów, którzy dadzą swoje bity na album, będą Fredwreck, The Alchemist i Diddy. Na mikrofonie pojawią się między innymi Soopafly, Busta Rhymes, B-Real, David Banner i Paul Wall. Jak to miło, kiedy ludzie się godzą.



Dalej w tym klimacie. **KRS-One** (na zdjęciu) i Marley Marl pracują nad wspólnym albumem! Ktoś mógłby spytać, co w tym niezwykłego, ale wystarczy sięgnąć do historii rapu, by odpowiedź stała się jasna. Wszak dwaj panowie uczestniczyli w jednym z najgłośniejszych beefów hip-hopowych, jakie miały kiedykolwiek miejsce. Bez wnikania w szczegóły – poszło o to, w której części Nowego Jorku zaczął się hip-hop. Tym, którzy nie kumają, polecam poszukanie paru rzeczy na ten temat. Sami weterani już są w pełnej harmonii, a album ma ujrzeć światło dzienne latem.



Na początku czerwca powinna pojawić się trzecia część z cyklu **„Dirty District"**. Pojawi się tam nowy materiał od Baatina oraz specjalny mix Slum Village zawierający niepublikowane rzeczy J Dilli. Wśród innych wykonawców pojawiających się na krążku będą Planet Asia, Frank N Dank, Phat Kat, Black Milk, Proof i Dwele (na zdjęciu). Nad całością materiału czuwa młody producent Young RJ. Trzeba będzie sprawdzić formę Detroit.



No i na koniec newsik filmowy. **Common i Alicia Keys** (na zdjęciu) pojawią się w nadchodzącym filmie Joe Carnahana, „Smokin' Aces". Wokalistka zagra zabójczynię, a raper pana Ivy, który cholera wie, kim ma w filmie być. Okaże się jeszcze w tym roku. Warto ponadto wspomnieć, że Mos Def, który staje się coraz bardziej prominentną postacią w świecie filmu, dostał rolę w sequelu „Włoskiej roboty", czyli w „Brazilian job" u boku Marka Wahlberga i Charlize Theron. Ten film również jeszcze w 2006 roku powinien znaleźć się na ekranach kin.

przygotował Grabiszczy

recenzje muzyczne



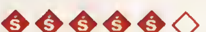
TORTURED SOUL
INTRODUCING TORTURED SOUL
R2RECORDS / BBE



Tortured Soul nazywają się pionierami żywego soulful house'u. Trio w składzie John-Christian Urich (udzielający się też w nu-soulowym zespole Cooly's Hot Box), JKriv i Ethan White przed wydaniem tego albumu miało na koncie klubowy klasyk „I Might Do Something Wrong", współpracę z takimi tuzami jak DJ Spinna i Osunlade, a przede wszystkim dużo pozytywnej energii, którą wykorzystali w najlepszy możliwy sposób. Mieszając soul, deep-house, acid jazz z klasycznym r&b nagrali album bardzo ciepły, frywolny, niemal stworzony do zabawy w ciepłe dni. Teksty odnoszące się w większości do tematyki relacji damsko-męskich nie stanowią szczególnej wartości wydawnictwa, ale nie można powiedzieć, by ciągnęły je w dół. Są, nie przeszkadzają i tyle. Za to muzyka... Można by pisać i pisać! Kapitalny groove, świetne przejścia budujące klimat utworów, mnóstwo słońca i ciepła, no i te klawisze... Tego chce się słuchać, do tego chce się bujać całym ciałem, przy tym nie da się złapać smuta. Mistrzowska płyta do budowania dobrego nastroju na wiosenne i letnie dni. **Andrzej Cała / („Machina")**



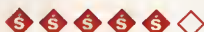
MASSILIA SOUND SYSTEM
FAIT TOURER
WAGRAM



Ta płytka musiała się trochę odleżeć i osłuchać. Zespół jest w końcu z Marsylii, a tam wina im starsze tym lepsze. Ale do rzeczy. „Fait Tourner" to już drugi album koncertowy Massilii (pierwszy „On Met Le Oai Partout" ukazał się w 1996 roku i słychać, jak duży postęp zrobił zespół przez te lata), zespołu mieszającego folk prowansalski (większość tekstów śpiewana jest właśnie po prowansalsku!) z reggae i dubem. Ci, którzy nie znają dokonań tego zacnego bandu – a myślę, że jest takich wielu – mają szansę zapoznać się z ich muzyką właśnie przy okazji tej koncertówki. Muzyka wprost tryska energią, a oczywiście smaczku dodaje ten dziwny język, odrobinę podobny do francuskiego czy katalońskiego. Mamy więc prowansalskie regałowe bujanie w takich kawałkach jak „Dins Mon Canton", „Joent" czy „Sus n'er De Reggae", niesamowicie wybuchowe „Commando Fada" i hit nad hitami „Jompa Vô" (co znaczy po prowansalsku... „Jump up"!). Płytę kończy „Tuba La Pipa", kawałek w rytmie farandoli – tradycyjnej pieśni prowansalskiej – traktujący o paleniu zioła. Żal tylko, że zabrakło na tej płycie takiego utworu jak „La Maire e La Filha" – śpiewanego a capella tradycyjnego utworu z Okcytanii. Ale i tak jest co najmniej dobrze. **Reptil**



MASSIVE ATTACK
COLLECTED
VIRGIN



Stawianie wysokich ocen składankom z rodzaju „the best of" zawsze może budzić kontrowersje lub wahanie, ale w tym przypadku akurat wątpliwości nie mam. I to z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze, Massive Attack to jeden z najważniejszych – obok Portishead – zespołów ze sceny trip-hopowej i każdy, kto interesuje się muzyką popularną, powinien ich twórczość znać choćby pobieżnie – „Collected" to dobra okazja. Po drugie, dobór utworów jest wyjątkowo udany: od „Karmacoma" (szkoda, że to jedyny w zestawie kawałek z Trickym na wokalu), poprzez „Angel", „Teardrop" (jedna z najładniejszych piosenek, jakie w życiu słyszałem), po „What Your Soul Sings" z gościnnym udziałem Sinead O'Connor. Po trzecie wreszcie, na najwyższe uznanie zasługuje zwłaszcza limitowana edycja „Collected", wzbogacona o płytę zawierającą trudno dostępne utwory i zestaw teledysków (a Massive Attack klipy miewał zazwyczaj bardzo udane). Bardzo dobra płyta, nie tylko dla początkujących słuchaczy. **(jd)**



THE CUFFS
ROCK ON
JIMMY JAZZ



Debiutancki album The Cuffs przynosi solidną dawkę energetycznego punkrocka, chwilami ocierającego się nawet o hardcore, a gdzieś w tle mamy też przebłyski rockabilly. I to w zasadzie wyjaśnia wszystko. The Cuffs narzucają szybkie tempo od pierwszego kawałka i nie zwalniają ani na chwilę, serwując potężną dawkę radosnego gitarowego zgiełku. Całość ubarwiają porządnie zagrane covery The Misfits i Model Citizen NYC. Może nie jest to przesadnie oryginalna muzyka, ale też niekoniecznie tego należałoby się spodziewać. Oczekujecie dobrego, motorycznego grania, odrobiny ulicznej zadziorności i prostego, mocnego przekazu? W takim razie „Rock On" z pewnością Was nie zawiedzie. **(nrg)**



VA
NIE MA ZAGROŻENIA, JEST DEZERTER
PASAŻER



Dezerter to legenda polskiego undergroundu, jedna z najważniejszych kapel w historii rodzimej sceny hc/punk, inspirująca zresztą nie tylko zespoły z naszego kraju. Dwupłytowy „tribute" poświęcony ekipie Krzyśka Grabowskiego jest zdecydowanie godnym hołdem. 50 kapel, 50 utworów

(podzielonych na dwie części; jeden krążek zatytułowany jest „czady", drugi – „eksperymenty"), z czego przynajmniej trzydzieści bardzo udanych, a reszta warta uwagi. Mamy tu przekrój przez sporą część polskiej sceny niezależnej. Swoje wersje utworów Dezertera zamieściły tu takie zespoły jak Farben Lehre, Apatia, WC, Włochaty, Uliczny Opryszek, Antidread, Sunrise i Schizma (pośród „czadów") oraz Paprika Korps, Komety (Lesław śpiewa w duecie z Niką z Post Regimentu na wokalu), Klinika, Złodzieje Rowerów, Procesor Plus, Masala i Ił62 (wśród „eksperymentów"). Mamy gościnne występy kapel z Estonii, Finlandii i Czech. Mamy też wpadki, których uniknąć nie sposób (nagranie Killa Famila to ewidentna pomyłka, ale też chyba jedyny na obu płytach utwór, który z pewnością bym wyrzucił), na szczęście nie przysłaniają one znakomitego obrazu całości. Świetny „tribute" dla świetnego zespołu. **(jd)**



POGODNO
CAŁE ŻYCIE Z WARIATAMI
HAJLE SILESIA



Płyta koncertowa Pogodna to być może nie jest wielkie wydarzenie. Zapewne nie zapisze się na długie lata w historii polskiej muzyki rozrywkowej. Ale naprawdę, słuchanie jej to czysta przyjemność. Znane ze studyjnych albumów utwory w wersjach koncertowych zyskują jeszcze więcej siły – duża w tym zasługa dobrej realizacji nagrania „live". Na dodatek zespołowi udaje się zachować niepowtarzalną atmosferę występów na żywo i dobrej interakcji z publicznością, co wbrew pozorom na płytach koncertowych nie zdarza się zbyt często. Muzyka Pogodna to energetyczna i ciepła mieszanka rocka, reggae, folku i Bóg wie, czego jeszcze, opatrzona prostymi, często zabawnymi i na swój sposób poetyckimi tekstami. Dorzućmy pozytywny klimat, niebanalne muzyczne pomysły, ładny głos Ani Brachaczek w tle, a otrzymamy solidną, blisko godzinną dawkę dobrej energii. Odśpiewany chóralnie przez publiczność przebój „Pani w obuwniczym" dopełnia obrazu całości. „Całe życie z wariatami" to po prostu fajna, pogodna (ciekawe, ile razy użyto wobec zespołu tego akurat określenia, choć nazwa pochodzi od dzielnicy Szczecina) płyta. I to wystarczy. **(jd)**



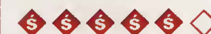
BOYSETSFIRE
THE MISERY INDEX: NOTES FROM THE PLAGUE YEARS
BURNING HEART



Już miałem zamiar wylać swoje żale nad wtórnością i schematycznością sceny hardcore, kiedy trafił do mnie nowy album Boysetsfire. Moi faworyci z Delaware nie zawiedli po raz kolejny. Mało tego, nagrali najlepszą płytę w swoim dorobku i pokazali, jak gra się nowoczesny post-hardcore (a może raczej heartcore?) w XXI wieku. Boysetsfire zawsze wyróżniało się mocno lewicowym przekazem tekstów i skłonnością do brzmieniowych urozmaiceń. Na „The Misery Index" nie zabrakło jednego ani drugiego. Muzycy zadbali o to, aby wymowę politycznych manifestów wygłaszanych podniosłym, pełnym zaangażowania głosem przez wokalistę Nathana Graya wzmocnić jeszcze bardziej. Od agresywnej nawałnicy hardcore'owego czadu potrafią efektownie przejść do łagodnych wyciszeń. I właśnie takich kontrastów jest w nowych utworach bardzo wiele – lekkie emo-popowe melodie i niemal metalowy, techniczny czad układają się w spójną całość. Gdy BSF gra łagodnie, to są to naprawdę piękne, eteryczne dźwięki, gdy z kolei dokłada do pieca, daje po uszach skomasowaną soniczną rozpierdówą. Już teraz mogę typować takie numery jak „Walk Away" czy „Deja Coup" do roli nowych hymnów i stałych punktów koncertów zespołu. A skoro potrzebowałem dowodu na żywotność hardcore'a, to nie mogłem oczekiwać lepszego. **/SBTN/**



BULLET FOR MY VALENTINE
THE POISON
TRUSTKILL



Walijczycy z Bullet For My Valentine zaczynali karierę – jeszcze pod nazwą Jeff Killed John – jako zespół grający covery Metalliki i Nirvany. I to w jakiś sposób określa ich muzykę, choć zdecydowanie bliżej im do tej pierwszej kapeli. Debiutancka płyta BFMV to solidna dawka nowoczesnego thrashu, wymieszanego płynnie z hardcore'em, a na dodatek przefiltrowanego przez doświadczenia nu-metalu. Thrashowa motoryka, potężne brzmienie sekcji rytmicznej, metalowe solówki, niespodziewane zmiany tempa – muzycznie dzieje się tu bardzo dużo. Agresywnie wykrzyczane przez wokalistę Matthew Tucka zwrotki przeplatane są łagodniejszymi refrenami. Widać, że muzycy nauczyli się sporo zarówno od Metalliki i Slayera, jak i od kapel w rodzaju Shai Hulud i Trivium. Nie kopiują jednak ich muzycznych rozwiązań bezmyślnie. Nadają im raczej nową jakość i jeśli utrzymają poziom, to mają szansę jeszcze nie raz błysnąć na metalowej scenie. No i to kolejny – obok Lostprophets czy Funeral For A Friend – dowód na to, że w Walii dzieje się na muzycznej scenie dużo ciekawych rzeczy. **(jd)**



CLAP YOUR HANDS SAY YEAH
CLAP YOUR HANDS SAY YEAH
WICHITA RECORDINGS



Czasy wydają się sprzyjać ambitnej muzyce gitarowej, czego dowodem jest choćby przykład zespołu Clap Your Hands Say Yeah. Brooklyński kwartet zawdzięcza niespodziewaną popularność undergroundowej etyce ciężkiej pracy u podstaw i zamieszaniu wywołanemu w Internecie. Do niedawna nikomu nieznani, dziś Amerykanie mogą cieszyć się statusem indie rockowej gwiazdy. Nie mogliby jednak odnieść takiego sukcesu, gdyby nie solidna, postpunkowo-popowa muzyka. CYHSY hołduje muzycznym tradycjom amerykańskiego artystycznego podziemia i dokonaniom Velvet Underground czy Television, jak i klasykom angielskiej nowej fali. W gąszczu żywiołowych gitarowych riffów i tanecznych rytmów, swoistym przewodnikiem jest zblazowany głos wokalisty Aleka Ounswortha, autora ironicznych i nieco surrealistycznych tekstów. Od was zależy, czy zechcecie klasnąć w dłonie i krzyknąć z aprobatą „Yeah!", ale warto dać brooklyńczykom szansę. Ich album już teraz może pretendować do miana jednego z najciekawszych debiutów 2006 roku. **/SBTN/**



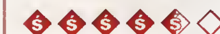
KILLING JOKE
HOSANNAS FROM THE BASEMENTS OF HELL
EDEL / COOKING VINYL



Killing Joke to zespół wyjątkowy. Silnie naznaczony pokręconą, barwną osobowością lidera, Jaza Colemana, wywiera niemal magiczny wpływ na fanów, inspirując również niezliczone rzesze artystów. Do muzycznego (bądź duchowego) powinowactwa z KJ przyznają się tak różne kapele, jak Metallica, Foo Fighters czy SunnO))). Niewątpliwie bez Killing Joke spory kawałek współczesnej alternatywy i metalu wyglądałby zupełnie inaczej. I dobrze przy tym wiedzieć, że również weterani trzymają się mocno. A „Hosannas..." to najlepszy tego dowód. Piątka należy się tej płycie już za sam utwór „Invocation" – długi, porywający, niemal hipnotyczny kawałek z monotonymi niczym mantra riffami, wzbogaconymi dźwiękami smyczków i natchnionym wokalem Colemana. Reszta płyty jednak wcale od tego klimatu nie odstaje. Killing Joke ze swobodą miesza nowofalowe brzmienia z metalowym niemal jazgotem gitar i industrialną motoryką, tworząc melanż może niezbyt łatwy i przyjemny, ale za to fascynujący i niebanalny. W swoim gatunku – jak dotychczas – premiera roku. **(jd)**



LOVE EQUALS DEATH
NIGHTMERICA
FAT WRECK CHORDS



W połowie drogi między cmentarzem a plażą. To właśnie tam przecięły się drogi czterech punk rockowców z Love Equals Death. Nowa kalifornijska formacja (a właściwie nie taka nowa, panowie zdobywali już muzyczne ostrogi m.in. w Tsunami Bomb i Eye Defy) wydaje się czuć jednakową miętę do mrocznego horror punka, jak i słonecznego melodyjnego hardcore'a. Z tych fascynacji wyrósł kawałek energetycznej i bardzo przebojowej muzyki, o atrakcyjności której decydują zasuwające do przodu gitary i mocny głos czarnoskórego wokalisty Chona Travisa, wspieranego

w chórkach przez resztę zespołu. Fani kalifornijskiego punka powinni przychylnym okiem spojrzeć na debiutancki krążek Love Equals Death, bo to bardzo dobra, a miejscami wręcz świetna płyta. Napomknę jeszcze, że jej opracowanie graficzne jest majstersztykiem i ucztą dla oczu każdego fana horrorów, a dwustu szczęśliwców może cieszyć się wydaniem „Nightmeriki" na krwistoczerwonym winylu. **/SBTN/**



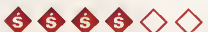
SHAKA PONK
LOCO CON DA FRENCHY TALKIN'
EDEL RECORDS



Shaka Ponk to wesoły zespół. Nie da się ukryć. Już ostrzeżenie na okładce – „Parental Advisory. No-Sens Lyrics" – i szczerzący zęby spoglądający z niej małpiszon dają niejakie pojęcie, jaka to płyta. Na „Loco Con Da Frenchy Talkin'" mamy więc sporo klawiszowo-elektronicznych dźwięków wymieszanych ze złagodzonymi funkmetalowymi brzmieniami, mamy trochę śpiewu i trochę rapowania, nieco dziwacznych, czasami zabawnych rozwiązań muzycznych. Bliżej Shaka Ponk do kretyńskich pomysłów Bloodhound Gang niż do rap- czy funk-metalu z prawdziwego zdarzenia. Czasami w dokonaniach Francuzów słychać bardzo dalekie i ciche echa twórczości Faith No More, chociaż od Shaka Ponk do ekipy Mike'a Pattona jest co najmniej tak daleko jak z Paryża do San Francisco. Dzieje się na tej płycie sporo i nawet to całkiem fajne, ale po kilku kawałkach zaczyna po prostu nudzić. Nawet w błazeństwach trzeba znać umiar, a najwyraźniej chłopaków z Shaka Ponk nikt w porę nie zatrzymał. **(jd)**



THE SLACKERS
PECULIAR
EPITAPH



Od ponad dziesięciu lat The Slackers zaszczepiają jamajskie rytmy na amerykańskim gruncie. Na swojej nowej płycie ten sześcioosobowy ansambl ze świetnym rezultatem łączy kołyszące dźwięki reggae, ska i rocksteady. A ponieważ nowojorczycy pozostają wierni bardziej tradycyjnej szkole jamajszczyzny, kultywowanej w USA przez zespoły z wytwórni Moon Ska, podstawą ich muzyki jest głęboki, pulsujący rytm i oszczędna gra sekcji dętej. Żadnych galopad, brzmieniowych ekstrawagancji czy elementów innych stylów (poza śladowymi ilościami jazzu). Od wielu ska-bandów odróżnia Slackers to, że nie wznoszą oni peanów na cześć zabawy przy piwie i tym podobnych banałów, lecz w piosenkach takich jak „International War Criminal" czy „Propaganda", zabierają głos w aktualnych społeczno-politycznych kwestiach. I trzeba przyznać, że gorące rytmy i gorąca publicystyka łączą się w całkiem atrakcyjną parę. **/SBTN/**



MUDHONEY
UNDER A BILLION SUNS
SUB POP



Wydawać by się mogło, że pompowane przez media zjawisko o nazwie „grunge" zdechło już dawno temu, po śmierci Kurta Cobaina i Layne'a Staleya oraz rozpadzie Soundgarden. A jednak, w Seattle cały czas coś się dzieje. Po czterech latach milczenia nową płytę wydał właśnie Mudhoney. I to płytę nie byle jaką. Na „Under a Billion Suns" punkowa zadziorność miesza się niezwykle płynnie z przynależną raczej latom 60. i 70. psychodelią (z niektórymi kawałkami Mudhoney spokojnie dałby radę na festiwalu Woodstock w 1968). Świetnie wykorzystane instrumenty dęte nadają muzyce zespołu niemal symfonicznego brzmienia, które po chwili ustępuje bardziej agresywnym i dynamicznym dźwiękom. Całości dopełnią dobre, gorzko-ironiczne teksty Marka Arma. Grunge's not dead? Nie wiem, ale Mudhoney na pewno ma się znakomicie. **(jd)**

UWAGA KONKURS!

Mamy dla Was kilka płyt koncertowych zespołu Pogodno „Całe życie z wariatami". Jeśli chcecie zdobyć taki krążek, musicie odpowiedzieć na bardzo łatwe pytanie: **„Skąd wzięła się nazwa zespołu Pogodno?"** i wymienić tytuł choćby jednej z płyt, jakie zespół nagrał (oprócz tej koncertowej, rzecz jasna). Podpowiedzi szukajcie w recenzji na stronie obok i w Internecie na www.pogodno.pl
Wygrywają ci, którzy nadeślą swoje odpowiedzi najszybciej w dniach 8-10 maja na mail **slizg@slizg.com.pl**
POWODZENIA!







WIOSNA W KRAJU, PANIE!!!

Dzisiaj zaczynamy od garści typowych brytyjskich liter - czyli SCARE/SWS. Warto zwrócic uwagę na style - przemalowane kilka razy na tym samym tle. Charakterystyczne dla Wielkiej Brytanii sklepy, ułożone obok siebie, dzięki podobnym stylom i różnym szyldom daja interesujący efekt. SCARE poza działalnością w Zjednoczonym Królestwie podróżuje po Europie - na jego prace można wpaść w Danii, Francji a nawet w... Polsce. Zeszłoroczny tour zaowocował wrzutami m.in. w Warszawie i w Krakowie.
















PRAGUE city 2005



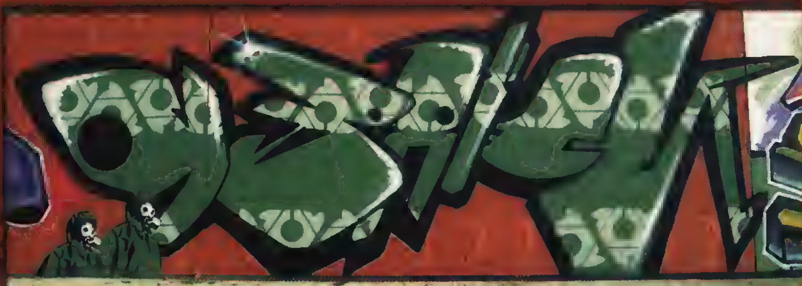

TRACKS
CD's, RECORDS & FILMS
(01273)
677906
ACROSS THE TRACKS

CHEAPSIDE AUTO REPAIRS
01273 - 675220

M & B MEATS
LOCAL DELIVERIES
TEL: 01273 683338

JENNA'S NEWSAGENTS
1 TRAFALGAR STREET
AGENTS FOR THE NATIONAL LOTTERY









QBRICK i funfle- Ateny. W grecką zimę nawet najtańsze farby nie zamarzają. A u nas w końcu wiosna, więc czekamy na Wasze prace. Niektóre media twierdzą, że graffiti w Polsce umiera. Czy rzeczywiście? Co o tym sądzicie?



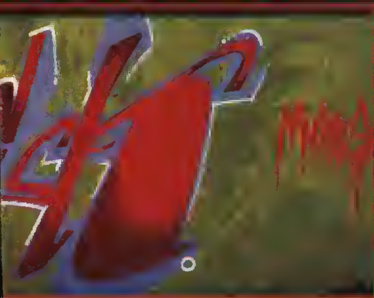












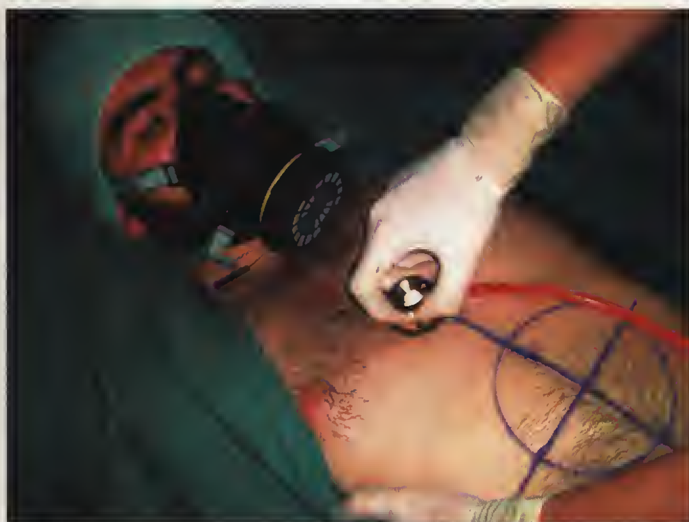






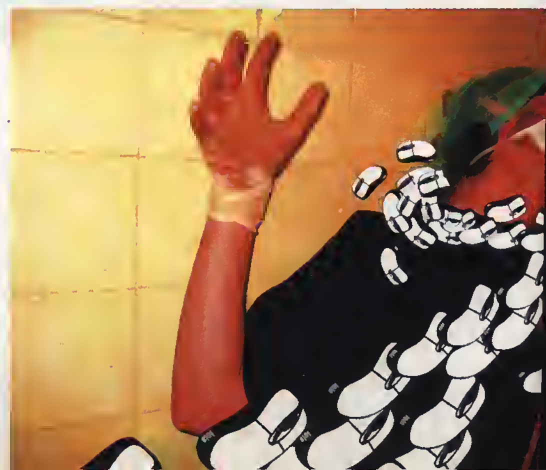












strangelove VS jola













Może nie jest to graffiti, ale z działalnością uliczną
jest tu jak najbardziej po drodze.
Tak zwane dziwne akcje. Brakuje ich u nas,
a jak już są to niezbyt częste i niezbyt odkrywcze.
W ramach inspiracji i wiosennego zastrzyku energii
trochę stuffu od ateńskiego teamu ulicznego:
JOLA i QBRICK.



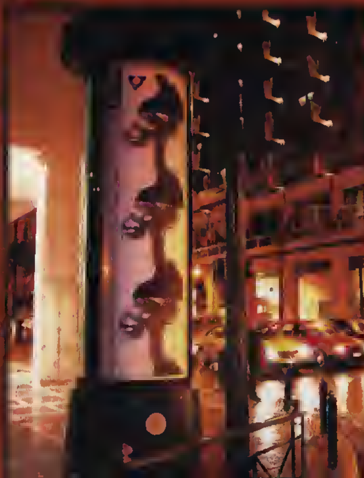




Wszystkie słupy są greckie: JOLA & QBRICK / Ateny

I to by było na tyle. Nie marnujcie wiosny :)









tekst Flint

Zdarzają się wokalistki wybitne. Kiedy słyszysz ich studyjne nagrania, dreszcz przechodzi po plecach i okazuje się, że nawet nie miałeś pojęcia, ile uczuć, emocji, ile głębi da się przekazać poprzez śpiew. Kiedy występują na żywo wraz z innymi, stanowią przyprawę niespodziewanie stającą się daniem głównym. Nawet cynicy wyjmują zapalniczki i kiwają się jak przy ataku choroby sierocej. To nie jest tekst o nich

Trafiają się kobiety z charakterem i umiejętnościami. Gdy wchodzą do gry, ich płeć przestaje być ważna. Nikt nie powie, że na przykład Rah Digga stanowi tło dla reszty Flipmode Squad. Eve ma w Ruff Ryderz silną pozycję. Nie musi prosić o miejsce na mikrofonie. Nie, niestety, nie piszemy tutaj o tego typu dziewczynach.

Bywają damy, o których nie da się powiedzieć, że są klasycznie ładne, ale mają w sobie coś takiego, że faceci tracą dla nich głowy. Coś wyjątkowego, niebanalnego, jedynego w swoim rodzaju. Tę ocierającą się o magię esencjonalną kobiecość. Nie, nie. Tym razem nie przeczytacie artykułu o kimś takim.

Najmocniejszym punktem ostatniej płyty Black Eyed Peas jest kawałek „Like That". Dobry podkład, to na pewno. Fantastyczni goście: Kweli, Q-Tip, Cee-Lo i John Legend. A przede wszystkim jeden istotny detal – najbardziej istotną rzeczą, jaką w kawałku tym robi Fergie, jest pokazanie „pokoju" w wideoklipie. Pokazuje „pokój", mogłaby pokazać sypialnię. A tak poza tym, wypadałoby zacytować jej własne słowa: „Shut up, just shut up, shut up". Z kolei w G-Unit bez większego problemu znajdzie się beztalencie, żeby wspomnieć tylko Tony'ego Yayo (choć przyznaję, że gdybym pracował w amerykańskiej gazecie, nie napisałbym tego z taką beztroską, bo kiepsko chodzi się o kulach). Każdy, kto widział „dżijunitów" na żywo, musiał zwrócić uwagę na przykre meczenie dobiegające z ust Olivii. Wyzwala błyskawiczną chęć sięgnięcia po pilota – ale wcale nie chce się zmieniać kanału, trzeba tylko wyłączyć dźwięk. Olivia umie śpiewać, tak, ale... Olivia Newton-John. Naszą Olivię można by jedynie sporadycznie naoliwiać.

Fergie wydaje się dość pospolitą blondynką, z dobrą figurą i przyjemną buźką. Olivia to przede wszystkim jej wysuwający się na pierwszy plan biust (znacznie większy niż 36C jej koleżanki ze zdjęć obok), a tak poza tym to przykład urody niesłychanie wulgarnej. A jednak chce się na nie patrzeć. Nie chce się? Cóż, w takim razie nagrany przez Paula McCartneya i Stevie'ego Wondera utwór „Ebony and Ivory" (czyli heban i kość słoniowa) pozostanie dla was wykładnikiem seksownego czarno-białego miksu.

Fergie







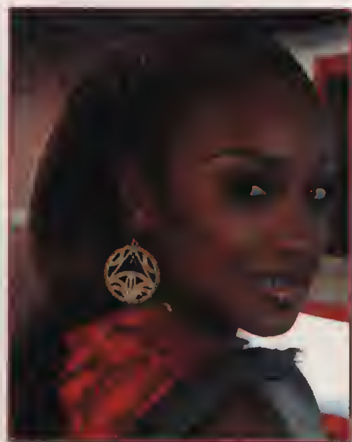




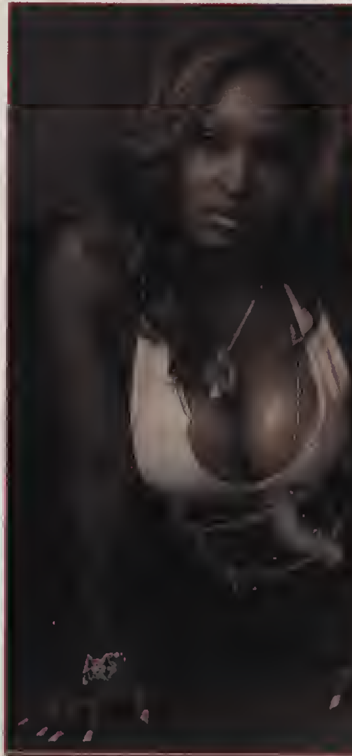
Wbrew pozorom Black Eyed Peas mieli wokalistkę przed pojawieniem się Fergie. Kim Hill była z nimi od debiutu, ale jej rola była o niebo bardziej dyskretna. Na trzecim „Elephunku" jest już pani Fergusson, wcześniej udzielająca się w dziewczyńskiej formacji tanecznej dla dzieciaków Wild Orchid, której udało się wyżebrać odrobinę uwagi w środku lat 90. Tworzące zespół dziewczyny poznały się w liceum, ale po części znały się wcześniej choćby przez to, że były wspólnie przesłuchiwane pod kątem przydatności do reklam. Nic więc dziwnego, że panna Stacy (prawdziwie imię piosenkarki) tak dobrze odnajdywała się w klipach BEP, coraz bardziej idących w stronę gigantycznego product placement. W rodzinnej Kalifornii szykowano ją do kariery modelki i aktorki jednocześnie. Zaczynała w transmitowanym na kanale Disneya „Kids Incorporated", potem przewaliła się przez trochę miernych telewizyjniaków. Wpadła w narkotyki, wyszła z narkotyków, wiecie, całe to gówno będące elementem amerykańskiego snu. Dzięki extasy i innym chemicznym substancjom udało się jej mocno schudnąć, podczas gdy bliskim wmawiała bulimię. Nie próbujcie tego w domu – ani jednego, ani drugiego. Obecnie jest po trzydziestce, wyglądając tak jak wasze panny (bo nie mam obiekcji odnośnie tego, kto czyta ten dział) nigdy nie będą w tym wieku wyglądać. I dostarcza argumentów chłopcom nienawidzącym Black Eyed Peas na forach internetowych, którzy zmęczeni wpisywaniem postów mogą się w spokoju ślinić przy jej zdjęciach. W końcu magazyn „People" umieścił ją w pięćdziesiątce najpiękniejszych ludzi.

A teraz dowcip. Olivia została uznana piosenkarką tygodnia. Niezłe? Trzeba jeszcze zobaczyć przez kogo. Przez portal askmen.com. I wszystko jasne, bo kiedy pyta się facetów, to wiadomo na co zwracają uwagę... Wybaczcie krytycyzm, ale czuję, że można sobie na niego pozwolić. W końcu Olivia niczego się nie boi. „Nie, nigdy się nie lękam", mówi. „Opiekuje się mną bardziej niż sobą. Zawsze stawia mnie przed wszystkim. Jest wspaniały", te z kolei słowa dotyczą 50 Centa. A więc to, że chce on powierzyć rolę pierwszej damy G-Unit Keyshii Cole, musi być ohydną plotką. To jednak teraźniejszość. A przeszłość? Olivia zwróciła na siebie uwagę rodziny i przyjaciół śpiewając w kościelnym chórze (za granicą chóry zapewniają młodzieży komfort pracy, gdyż wygodniej się śpiewa, kiedy nie trzeba unikać rąk dyrygenta), a przede wszystkim interpretując utwory Michaela Jacksona z „nadprzyrodzonym wyczuciem tonów i harmonii". W odróżnieniu od MJ Olivia jednak się nie wybiela, w pełni zdając sobie sprawę z wizualnych zalet bycia egzotyczną kubańsko-jamajską (choć niektóre źródła wskazują raczej na kroplę krwi dominikańskiej i indiańskiej) mieszanką. Biografię ma słodką. Studiowała biznes, inżynierię dźwięku i operę. Pisze poezję. Recenzje jej pierwszej solówki zatytułowanej ambitnie „Olivia" nie były już takie słodkie. John Azipri z allmusic.com komplementuje album... wystawiając mu 2,5 gwiazdki na 5. Wśród słuchaczy zdarzają się opinię sugerujące, że mamy tak naprawdę do czynienia z Olivierem, pierwszym transeksualista G-Unit. Jeżeli jest w połowie tak ambitna, jak wynika z życiorysu, musi ją boleć, że rozpoznawana jest szeroko dzięki „Candy Shop", gdzie wyśpiewuje wyjątkowe kretynizmy nie pokazując choćby cienia indywidualności i sprowadzając się do roli maskotki ciemnoskórej i ciemnej jak tabaka w rogu. Cóż, czekajmy na drugą solówkę, patrząc na fotki.

Olivia











tu kupisz Ślizg

Jeśli chcesz zamieścić na tej stronie logo swojego sklepu, skontaktuj się z nami pod numerem 022 635 84 10 wew. 131 lub na mail monika@slizg.com.pl

PRENUMERATA

Prenumeratę „Ślizgu" możecie zamówić na dowolny okres, wpłacając na konto odpowiednią kwotę 6,90 x liczba egzemplarzy. Dane potrzebne do przelewu (adres wydawnictwa i numer konta) znajdziecie w stopce redakcyjnej na stronie 6.

Nie zapomnijcie na przelewie podać swoich danych (jeszcze raz przypominamy o dokładnym adresie!!!) i numeru, od którego chcielibyście rozpocząć prenumeratę.

Prenumeratę zagraniczną można zamówić w Ruchu. Szczegóły znajdziecie pod tym adresem internetowym:
http://www.ruch.noria.pl/s/sklep.swp

W redakcji możecie również zamówić archiwalne numery „Ślizgu", w tym „Ślizg Limited Edition" z płytą DVD „Adio Rock". W tym celu skontaktujcie się z redakcją pod numerem telefonu
022 635 84 10, wew. 131.



łona druga strona

Tym razem druga strona pod znakiem gorzkiej satyry z zapędem perfekcjonistycznym. Ze szczecińskim mistrzem opowiadania historii, cenionym bardzo nawet poza światkiem hh Łoną rozmawiamy o reżyserce teatralnej, felietonistce i autorce kabaretów, której wróżył śmierć na stosie – Oldze Lipińskiej

rozmawiał Marcin Flint
foto Cess, archiwum

Słychać, że lubisz kabaret, masz sentyment do Młynarskiego, Kabaretu Starszych Panów i właśnie Olgi Lipińskiej. Bo cenisz ją sobie chyba nie jako felietonistkę czy reżyserkę teatralną, a właśnie jako twórczynię kabaretu.
Nie czytałem dotychczas żadnego z jej felietonów, choć wiem, że od wielu lat publikuje w „Twoim stylu", którego nigdy nie kupiłem, zaś w jedynej poczekalni, w której zdarza mi się bywać, tj. u dentysty, czytuję wyłącznie „CKM" i „Życie na gorąco". Widziałem za to parę spektakli, w których zabierała się za Gałczyńskiego. Najwyżej cenię sobie jednak to, co widziałem najczęściej, czyli „Kabaret Olgi Lipińskiej". Nie miałem za to okazji obejrzeć „Właśnie leci kabarecik". Zdaje się, że Lipińska do 1990 była dyrektorem teatru Komedia. Tam też nigdy nie trafiłem. Może dlatego, że miałem osiem lat, kiedy przestała sprawować tę funkcję.
Teatr Komedia zresztą szybko upadł w momencie, kiedy Lipińska została zmuszona do opuszczenia go...
Można przy odrobinie fantazji z tego wyciągnąć dalsze wnioski: telewizja publiczna chyli się ku upadkowi odkąd zabrano, a właściwie wyrzucono, stamtąd Olgę Lipińską.
To ciekawa sytuacja, bo to nie żołnierze IV Rzeczpospolitej zdjęli kabaret z TVP. Zrobił to człowiek z ramienia „inteligenckiej i liberalnej" Platformy. Rozumiesz coś z tego?
Miałem o Dworaku jak najlepsze zdanie, co zmieniło się diametralnie w momencie, w którym wyprowadził Olgę Lipińską tylnym wyjściem. Postępując zresztą strasznie obłudnie, bo przy każdym spotkaniu podkreślał, że szalenie ją lubi i wychował się na jej kabarecie. Pod koniec zrobiła program o telewizji, co spotkało się właściwie tylko ze zgrzytaniem zębów całej jej dyrekcji. Mocno nawiązywała w nim do instytucji telewizyjnych, okrutnie je wykpiwając. Jednak i tak zdziwiony jestem, że Dworak pozbawił ją funkcji, przecież nawet Walendziak nie ważył się jej tknąć, mimo że miałby daleko mocniejsze powody do pozbycia się jej programu. To przecież on wywodzi się z grupy osób myślących w sposób, który Lipińska piętnowała.
Starałem się zrozumieć Dworaka, choć nie przyszło mi to łatwo. To liberał, więc może wyszedł od kwestii takich jak oglądalność, kwestii komercyjnych. Kabaret bazujący na niuansach i subtelnościach wydaje się niedzisiejszy.
Mógł również dojść do wniosku, że jest dla ludzi niezrozumiały... Zdaje się, że to przejaw myślenia zakładającego, że widz jest kompletnym idiotą i należy go raczyć najniższą rozrywką. Widać to niestety w telewizji publicznej coraz częściej. Nieustanne podpieranie się oglądalnością jest niepokojące. Przy tej okazji warto wspomnieć, że Olga Lipińska miała pewną stałą widownię, i to wcale liczną, bo oscylującą podobno gdzieś około 2 milionów. Nie chcę brnąć w spiskowe teorie, ale Lipińska naraziła się wszystkim i spuszczenie jej z anteny wszystkim było na rękę. Miała jednak z pewnością stały „elektorat", który najwidoczniej nie wydawał się Dworakowi wystarczająco cenny.
Kiedyś mieliśmy elity. Kofta, Wallgórski, Osiecka i Lipińska to duże, trzymające się razem talenty. A dzisiaj co? Łże-elity, lumpenliberałowie, moherowe berety i bohemiarskie kluby z door selection.
Tak jest. Dodałbym jeszcze koterie załatwiające wszystko przy wódce :)
Mężczyzną życia Lipińskiej jest z pewnością Gałczyński, którego obdarza wszystkimi komplementami świata, łącznie z „największym polskim poetą". Rozumiesz jej fascynację?
Niewątpliwie Gałczyński wielkim poetą był. Chociaż mi jako dziecku Solidarności (w sensie chronologicznym) nie wypada przejść obojętnie nad jego romansem z socrealizmem. Tym bardziej jednak nie wypada mi tego romansu oceniać. Tymczasem czuję, że błąd związany z Gałczyńskim jest po mojej stronie. Wprawdzie to właśnie dzięki Gałczyńskiemu wiem, że entomolog to „badacz owadzich nogów", że nie wspomnę już o „Teatrzyku Zielona Gęś", którego jestem ogromnym entuzjastą. Ale prawdziwe poznanie Gałczyńskiego jeszcze przede mną. Póki co, wierzę w tych sprawach Oldze Lipińskiej.
Odbijamy znowu do Lipińskiej. Choć to niewdzięczność, bo bronimy artystki, która narzeka, że nasze pokolenie nic nie pamięta i trudno się z nim dogadać, której „wszechobecna perkusja zakłóca rytm serca" i nawet jak ucieka z Warszawy na Mazury, znajdzie się jakiś „opity piwskiem tysol w gaciach za kolana", który „wrzeszczy i kopie wszystko, co się rusza".
Trochę pani upraszcza, pani Olgo. Inna rzecz, że gdybym miał wydawać sądy na temat polskiego rapu na podstawie tego, co widzę w telewizji – bo nie podejrzewam Olgi Lipińskiej o wnikliwość na tyle dużą, by kupowała, nie przymierzając, „Ślizg" – to doszedłbym do podobnych wniosków. Tak czy inaczej, ten mały grzech uproszczenia, komu jak komu, ale Lipińskiej wielkodusznie wybaczam.
Teraz poproszę o komentarz do cytatów. Na wstępie Duda-Gracz o Lipińskiej i jej postrzeganiu Polski: „Bliskie są jej polskie grzechy główne i polskie brzydactwa. Kocha je całym sercem, bo są jednocześnie święte i niewierzące, nabożne i grzeszne, szlachetnie i głupie, bohaterskie i świńskie, patetyczne i pijane."
Jest w tym jakaś przenikliwość spojrzenia, że tak przemądrzale powiem. Piękne jest to pochylenie się nad tym, co się przy okazji się piętnuje.
Duda-Gracz podobnie jak Lipińska był piętnowany przez „warszawkę" i przez „salony". To może ich zbliżać.
Ważna cecha łącząca te i im podobne osoby to fakt, że regularnie pali się je stosach.
Teraz zaś cytat z felietonu z 2004r., choć brzmi właściwie na 2006. Lipińska tłumaczy, dlaczego nie będzie lepiej: „Za dużo zakazów, za dużo głupoty, za dużo chrześcijańskiego fałszu i kabotyńskiego patosu".
Rzeczywiście, żyjemy w kraju, gdzie nieustająco mówi się o moralności i etyce. Z tym że moralność zwykło się tu rozumieć opacznie. Ja na przykład odnoszę wrażenie, że nieustanne eksploatowanie wizerunku nieżyjącego już papieża, anegdot z jego życia czy następnej książki z sentencjami – to już jest na granicy moralności. Polska moralność, ta wystawiana na zewnątrz, która tak chętnie o sobie mówi głośnymi, mocnymi słowami, zupełnie nie istnieje w przestrzeni prywatnej, gdzie okazujemy się świniami, szujami i ludźmi podłymi. Co do zakazów, to mam nadzieję, że Lipińska się paradoksalnie pomyliła, nie w ocenie, a w prognozach. My, jako naród (nie przepadam za tym słowem, ale niech będzie), w pewnym momencie osiągamy kres możliwości w kwestii zakazów. Wtedy po prostu wychodzimy na ulicę i robimy powstanie. Udane czy nieudane – to nieważne. Nie zniesiemy spokojnie zbyt dużej ilości zakazów. Wierzę w to głęboko.
Lipińska wierzy głęboko w to, że wróci jeszcze do telewizji, niezależnie od tego, w jaką stronę ta będzie ciążyć. W to, że profesjonalizm zwycięży, a jej absencja jest przejściowa.
Podzielam jej punkt widzenia i życzę sobie tego, choć wiem, na ile to moje życzenie jest naiwne. Ba, sama telewizja powinna dojść do takiego wniosku. Dobrze jest wszak, ciążąc ku prawej stronie, zaopatrzyć się w wentyl bezpieczeństwa. Kto byłby lepszy od Lipińskiej, której obiektywnie nie można zarzucić, że ciąży w którąkolwiek z politycznych stron?
Oj, słyszała wielokrotnie, że jest wstrętną komunistką. Wiele osób to Ciebie spaliłoby na stosie – dziecko Solidarności popiera „agentkę poprzedniego ustroju".
Istotnie. Spotkałem się z takimi zarzutami. Ale to nic. Ostatnio na przykład ktoś z Radia Maryja zarzucił Benedyktowi XVI – w związku z interwencją Watykanu w sprawie tej rozgłośni – że jest więźniem sił wrogich kościołowi przez fakt, że jako Niemiec panicznie boi się zarzutów o antysemityzm. Zarzuty czyni się w tym kraju strasznie łatwo, bywają zaś tak absurdalne i zdumiewające, że po prostu ręce opadają.


errorcthz.com
info: 0426373740
0603199388
Camey studio
TEKA
PŁYTA TALENT WKRÓTCE